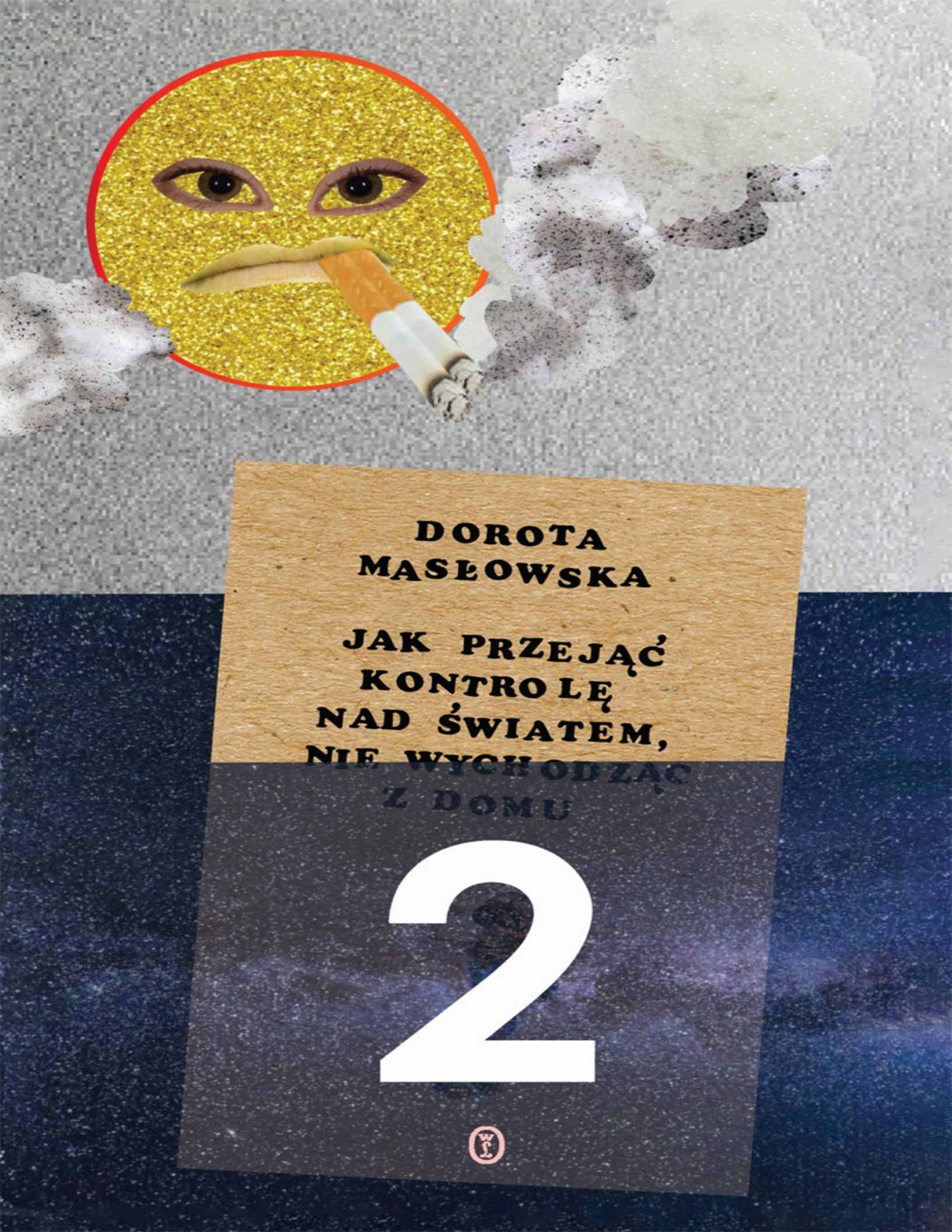

DOROTA MASŁOWSKA

JAK PRZEJĄĆ KONTROLĘ NAD ŚWIATEM, NIE WYCHODZĄC Z DOMU

2

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Dorota Masłowska

Jak przejąć kontrolę nad światem 2

Ilustracje
Maciej Chorąży

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Apetyt na miłość

Kuba

Szycie

En route

Gruziński mężczyzna w ogrodzie – szkic do portretu

Poczta Polska

Jesień w Szanghaju

Problemy

Maska

#hot16challenge

Podziękowania

Przypisy

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: BIANKA DZIADKIEWICZ
Korekta: JOANNA MIKA, JOANNA ZABOROWSKA, JACEK BŁACH
Opracowanie graficzne, projekt okładki: MACIEJ CHORĄŻY
Ilustracje © by Maciej Chorąży
Zdjęcia na stronach: 41, 66, 70, 71, 72, 73, 111–112, 116, 119, 123–127 – Dorota Masłowska;
na stronach: 52–53 – Stanisław Łubieński.
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

Copyright © by Dorota Masłowska, 2020
By arrangement with Agencja Literacka Syndykat Autorów
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2020

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07168-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

APETYT NA MIŁOŚĆ

Apetyt na miłość

Wiadomo, jak to działa. Autor stwarza książkę, a potem książka niejako w odwecie stwarza tego autora. Napiszecie książkę o lisach, będą lisy, lisy, lisy. Napiszecie książkę o lasach, to będą lasy. Będziecie zapraszani do lasów, będą was wszyscy pytali o lasy, będą wam na spotkania przynoszone lasy. Napiszecie książkę o lessach, będą panele o lessach i wizyty w lessach, poupychają was w jury konkursów filmów o tematyce lessowej, każą wam siedzieć w lessach i lessować.

W końcu będziecie czuli, że w jakimś coraz bardziej mdłym teatrze nieudolnie gracie samych siebie, że wasze frenetyczne niegdyś jeremiady stają się ledwie ciepłymi deklamacjami, jakbyście samymi ustami mamrotali wyznanie wiary na mszy świętej, a pod ławką usuwali brud spod paznokci i zastanawiali się, co sobie zjecie, jak wrócicie do domu. To zaś, co było grzeszną przyjemnością, zamienia się w nieprzyjemność, i to co gorsza grzeczną, najgrzeczniejszą z grzecznych.

Tak i ja po swoich felietonach utknęłam w kondycji samozwańczej specjalistki do spraw dziadowskich programów telewizyjnych i nagadawszy się o tej swojej pasji, naobnosiwszy się z nią, naświetliwszy i zanalizowawszy ją publicznie wzdłuż i wszerz, czułam, że mam już swój ogon w ustach i że nie jest on ani smaczny, ani nawet pogryzalny, a ja mamlę, mamlę, żuję, kręcąc mordą, a w myślach myślę: a co wy mi tu będziecie, co ja oglądam. Ja to może kiedyś oglądałam, teraz wcale nie to oglądam! I już na full włączony konkurs chopinowski, i retrospektywa Wan Tu Sana na TVP Kultura NA CAŁĄ EPĘ, tak że każdy w bloku już słyszy!!! A ja poguję po całym tapczanie!!!

Ale też natury nie oszukasz. Minęło tyle a tyle czasu, jak zwykle zapomniałam wszystkie swoje urazy i najmocniejsze nawet postanowienia. I choć wszystko się we mnie wije, by już nie nosić tego drewna, ale drewno tak bardzo się prosi, zanieś mnie, zanieś mnie gdzieś, ciągnie mnie za rękawy, aż nie mam serca mu już odmówić, a ono wtedy bije w maleńkie łapki i piszczy: do lasu! Do lasu, tylko do lasu! I ani się obejrzę, a znowu mam napad TVN-ów, i to taki

z drgawkami i ze ślinotokiem. A wszystko przez program *Apetyt na miłość*.

I znowu cała do bólu przewidywalna choreografia bingu: najpierw jeden przypadkiem zobaczony podczas świąt odcinek, gdy myślę sobie: co za gówno, czysta potworność i zwyrodnialstwo, podajże mi *Księgi Jakubowe*, gdzie moja zakładka? O tu, już jestem na czwartej stronie… Ale mimochodem następnego dnia drugi odcinek, potem jakoś trzeci… I już łapię wiatr w żagle, i płynę, płynę, i już trach, bum, trach, nie wiem kiedy oglądam wszystkie odcinki wszystkich sezonów (a niektóre po dwa razy). Miarą mojej fascynacji niech będzie fakt, że po obejrzeniu niemalże każdej części robię spontaniczne łapanki i kto mnie lubi, a tym bardziej kocha, ten musi ze mną oglądać, a ja go trzymam za łokieć (żeby nie uciekł) i mówię: patrz, patrz, patrz, co on teraz powie!!! Ćśśśśś… słuchaj, co ona mu teraz odpowie! Bo, deklaruję to zupełnie poważnie i z otwartą przyłbicą, dawno mną nic tak nie wstrząsnęło jak niektóre odcinki *Apetytu na miłość*, dawno nic mnie tak nie poruszyło. W tak piorunującą mieszankę potrafią połączyć się w telewizyjnym kotle: marzenia o wielkiej miłości, stres i domowej roboty autokreacje.

Ale od początku: *Apetyt na miłość* to wyrodny pociotek *Randki w ciemno*, więc nie sposób jednego w drugim nie przejrzeć. Ta ostatnia, prowadzona przez Jacka Kawalca w latach dziewięćdziesiątych, była bodajże pierwszą w Polsce telewizyjną fantazją o loterii miłości, w której bębnie prawie wszyscy na pewnym etapie życia się kręcimy. Typujemy kandydatów, chodzimy z nimi do kina, przyglądamy się, czy nie mają kwitnących paznokci (niedobory), a tak naprawdę kwestia jest o wiele poważniejsza, rzekłbyś: ostateczna, fizyczno-metafizyczna. Z kim spędzimy życie? Z kim połączymy geny? Z kim będziemy spać w jednym łóżku i dzielić płyny ustrojowe? Z kim związemy się świętym węzłem kredytu? Kto będzie przynosił kwiaty na nasz grób? Te decyzje obsadowe podejmowane często na podstawie nie do końca racjonalnych przesłanek ciągną się za nami potem przez pokolenia i wcielenia. Taka jest właśnie loteria miłości. Głupia, ale śmiertelnie poważna. Lekka, ale bardzo ciężka.

Nim jednak przejdziemy do etapu prokreacji i scysji w Ikei, dochodzi do rytuału RANDKI. To na jej poligonie odbywają się testowe interakcje, wstępne autoprezentacje, szacowania potencjałów erotycznych i ogólnożyciowych, nadymania się i popisy. Jest w tym dużo naturalnego ludzkiego teatru i programy takie jak *Randka w ciemno* ten potencjał wykorzystują. Poszukujący miłości stroszą piórka pod krytycznym okiem widzów w studiu i przed telewizorami. Jeden bohater/bohaterka oraz aspirujący do jego/jej serca śmiałkowie płci przeciwnej, występujący – tak jak świnki, muszkieterowie i billboardy za Ebbing, Missouri, w baśniowej liczbie trzy. Rozdzieleni symbolem niewiadomego – w tym wypadku gips-kartonową ZASŁONKĄ. (We współczesnym, bardziej dokumentalnym *Apetycie* funkcję tę pełnią drzwi mieszkania uczestnika/uczestniczki).

Ale *Randka* pochodzi z czasów, gdy telewizja była jeszcze w dużej mierze radiem z obrazem, a widzowie – gotowi zadowolić się po prostu klasycznym, sprawdzonym przez wieki słowem mówionym. Miłosny wybór odbywał się więc tu na podstawie autoprezentacji werbalnej (miasto, zawód, hobby), zadawanych przez bohatera/bohaterkę pytań i odpowiedzi spreparowanych, wyuczonych i mniej lub bardziej udatnie wyrecytowanych przez kandydata/kandydatkę. Aura tych exposé była zazwyczaj kokieteryjnie konfrontacyjna i lekko sprośna, jak w Chajzerowskich dowcipach zaludnionych przez wredne teściowe i chytre żony domagające się od mężów futer. Na koniec pojawia się tak zwany GŁOS (rozsądku? przeznaczenia?), czyli sama reżyserka podsumowuje wszystkie kandydatury w tonie żartobliwym, ale ciepłowatym. Właściwie do dziś słyszę uszami wyobraźni ten dystyngowany tembr: „Alicja, zodiakalna Lwica, lubi podróże i żarty… oby nie za śmieszne! Wtedy potrafi pokazać pazurki! Oby nie chciała położyć na tobie… łapy".

(Kiedy jednak dla przypomnienia oglądam dziś parę odcinków *Randki*, widzę coś zaskakującego. Otóż kulminacją programu nie jest wcale moment wyboru kandydata ani nawet symboliczne usunięcie ZASŁONKI, tak by pretensjonalne słowo mogło okazać się mniej lub bardziej ponętnym ciałem. Kulminacją jest losowanie wycieczki: krajowej lub zagranicznej. Jacek Kawalec wyczynia prestidigitatorskie

figle-migle z kopertami. Napięcie robi się już nie do zniesienia. Pocą się nawet widzowie z przyszłości, z roku 2018! Wreszcie jest – wycieczka do Amsterdamu, zwanej Wenecją Północy stolicy Holandii! Albo Pragi – gdzie znajduje się Złota Uliczka – uznawana ze mekkę zakochanych! To wtedy po wcześniej skrępowanych i usztywnionych bohaterach widać realne emocje. Tak jakby w latach dziewięćdziesiątych pełnią w telewizyjno-miłosnych podchodach był dopiero łut fortuny, szczęśliwy traf w postaci wycieczki zagranicznej).

(W roku 2018 uderza też grzeczność, wręcz infantylność programu. „Lubię dalekie podróże, powieści science fiction, no i oczywiście Jodie Foster" – mówi Andrzej, ekonomista z Krakowa. „Ja też tak jak ty lubię fantazjować, w związku z tym jestem fantastyczną dziewczyną!" – mówi Basia, która na nagranie programu przyszła z maskotką. Jak się ma to do pracującej w gastronomii Marty, która w powstałym ćwierć wieku później *Apetycie na miłość* na randce reklamuje się słowami: „Facet musi wyjść ode mnie z PUSTYMI JAJAMI i pełnym brzuchem"?)

Ale poczciwa *Randka* to nie tylko prestiżowe nagrody, to też niewątpliwie dowartościowanie tak zwanego zwykłego człowieka (takiego jak ty i ja: świeckiego, nieaktora, nieprezentera) względem wszechwiedzącego, wszechpotentnego WORONICZA. Zarówno prowadzący, jak i GŁOS w jakiś sposób asystują śmiałkom w ekranowym debiucie: podpowiadają, podpytują, ośmielają, empatyzują. Piszę o tym dlatego, że właśnie ten opiekuńczy stosunek telewizji (i w związku z tym telewidzów) do „szarego człowieka" to jakość, której zmianę widać bardzo wyraźnie w *Apetycie na miłość* w roku 2018. Tak jakby sympatia zwykłych ludzi do zwykłych ludzi zagasła. W opisywanym przeze mnie programie widać jak bardzo: zajeżdżana slapstikowym, skupionym na paradoksach i niedorzecznościach montażem i pełnym przekąsu komentarzem, zamienia się momentami w czystą bekę. Bekę z tych, którzy o tę bekę sami się proszą. TVN-owski głos już nie pomaga, nie oprowadza, nie dodaje odwagi. Choć często zwraca się bezpośrednio do bohaterów (czułym „Martusiu" czy też „Beatko"), daleko mu do ciepłych jak ludzkie dłonie przekomarzań swatki. Żarty często nacechowane są okrucieństwem i niewybrednymi podtekstami (BOHATERKA: „Lubię siadać na…". NARRATOR:

„No powiedz, Kasiu, na czym tak lubisz siadać"), a im bardziej niedorzeczny, atelewizyjny bohater, tym łatwiej między jego słowa wmontowywać ironiczne wtręty.

Czy jednak bez tych komentarzy i złośliwego montażu *Apetyt* byłby dla współczesnego widza OGLĄDALNY? Program rozrywkowy, którego bohaterowie uprzejmie ROZMAWIAJĄ przez godzinę, bez dżingli, przekleństw i napisów na pasku, ma dziś raczej rację bytu w radiowej Dwójce. I chyba nie jest to wyłącznie kwestia utrzymania naszej rozproszonej uwagi – to również ewolucja poczucia „realizmu", norm „prawdziwości" tego, co oglądamy.

Co jeden z drugim będzie tam opowiadał o sobie, opowiadać to każdy może, co tylko mu się zachce: my w czasach postprawdy chcemy prawdy. Nawet jeśli jest nieprawdziwa. Chcemy dokumentu, nawet jeśli jest spreparowany. Chcemy faktów, nawet nie muszą być autentyczne. Dlatego prezentacja bohatera w *Apetycie* to właściwie minidokument o nim (często uatrakcyjniony ujęciami z dronów, a nawet użyciem greenboxu). Kamera odwiedza bohatera w jego naturalnym środowisku, towarzyszy mu w pracy i w czasie od niej wolnym. Poza tym w społeczeństwie, które coraz częściej negocjuje, komunikuje sobie swoje hierarchie poprzez jedzenie, nie może zabraknąć wątku kulinarnego. Kandydaci dokonują autoprezentacji poprzez zaplanowanie menu romantycznej kolacji, wyrażając w języku jedzenia swoją naturę, wyobraźnię, kulturę kulinarną i osobistą, a nawet stosowaną ortografię (dla potraw muszą wymyślić nęcące nazwy). Bohater wybiera dwa spośród trzech menu i ogłasza, że „idzie szykować się na randkę". Potem ukazane są obopólne starania higieniczno-kosmetyczno-stylizacyjne i odbywa się rzeczona kolacja, której towarzyszy kamera.

I z jednej strony trudno mówić tu o realizmie. Bo spotkanie, którego jesteśmy świadkami, jest spreparowane i ma dość sztywny scenariusz, w dodatku asystuje mu ekipa telewizyjna. Na wystąpienie w teatrze randki nakłada się więc wystąpienie w telewizji, w dodatku w paradoksalnej roli: samego siebie. Spiętrzenie psychologiczne jest jednak tak duże, że najwięksi twardziele i udawacze nie potrafią ukryć drżenia rąk, wypieków i kołowacizn językowych. Stawką jest miłość,

choć przecież nie zawsze i nie tylko. Jedni szukają jej aż zbyt zaciekle, skłonni wycisnąć jak cytrynę cokolwiek nieco ją przypominającego, ale drudzy chcą po prostu wystąpić w telewizji. Niektórzy bez zażenowania walczą o przyspieszenie swojego akcesu do świata celebrytów, a jeszcze inni traktują program jako okazję do wymyślenia się, ogłoszenia swojej osoby na nowo. Plus całkowite anomalie, jak mężczyzna, który chciał dogryźć swojej żonie, albo Białorusin, który występował w programie, bo jego dziewczyna i tak o niczym się nie dowie.

Tak więc *Apetyt na miłość* można oglądać z kilku ciekawych perspektyw. Bo to nie tylko pasjonujące badania terenowe na temat „Miłość XXI wieku / oczekiwania / fantazje / desperacje". To także swoisty bestiariusz Polaków. A może wielkie kompendium ich handmade'owych autokreacji? Plus jak zawsze w TVN-ie: najnowsze trendy, błędy językowe i patologie.

Gdyby na podstawie *Apetytu na miłość* spróbować odtworzyć strukturę społeczną Polski, to żyjemy w kraju szczerego multikulti. Castingi ewidentnie promują obcokrajowców, głównie Ukraińców, ale są i Białorusini, jest Afgańczyk, Ormianin, a nawet Mamadou z Gwinei. Czy występ w programie to sposób na asymilację, czy rzeczywiście cudzoziemcom trudno znaleźć w Polsce partnerkę w sposób analogowy? („Od razu Ania mi się spodobała – mówi Mamadou. – Ładna kobieta. I czysta. Czystość ma znaczenie. Bo kiedy czysto wyglądasz, wtedy ładnie wyglądasz").

Oprócz tego właściwie nie ma tu profesorów, docentów ani doktorów. Polska to kraj telemarketerów i pracowników ubezpieczeniowych, oprócz tego silna reprezentacja osób nierobiących nic, kilka piosenkarek, kilku aktorów, a także… pisarzy. Co ciekawe, akcje tych ostatnich na rynku seksualnym stoją wyjątkowo nisko. Skonfrontowani z wykonawczyniami mniej uduchowionych zawodów, zostają oskarżeni o niemęskość, niechlujność, fatalny styl. Szczególnie żal Mateusza, który inwestuje w rolę pisarza wiele wysiłków na różnych polach, i tak pisarzy, tak pisarzy, że jest już bardziej pisarski niż Hemingway, Faulkner, Stasiuk i Świetlicki wrzuceni do blendera ze szklaneczką dobrej whisky, cygarem i odrobiną Bogusława Lindy. Ma

dużą marynarę i mówi modulowanym, niskim głosem, wplatając między słowa znaczące pauzy i westchnienia („kobieta przede wszystkim musi dobrze smakować"), w dodatku ma przygotowane do wyrecytowania jakieś wyjątkowo perfidne coelhizmy („Strasznie mnie to znudziło od razu, tak naprawdę nie wiem, o co mu się rozchodziło" – komentuje to rzeczowo odwiedzająca go w zapuszczonym mieszkaniu Marlena).

Niewątpliwie ciekawym wątkiem socjologicznym jest duża liczba pracowników sektora disco polo. To ostatnie, do niedawna kojarzone z wąsami i plerezami, dziś zdaje się ewoluować w całkiem poważną gałąź gospodarki. Jeszcze chwilę temu można było mówić o disco polo jako o subkulturze, dziś to kultura, która ma własne subkultury: disco polo metali, disco polo hiphopowców i, uwaga, disco polo hipsterów. Wszyscy jak jeden mąż deklarują, że „disco polo niby nikt nie słucha, a potem i tak wszyscy do tego tańczą".

Ciekawe tendencje można zaobserwować wśród najmłodszych uczestników, zwłaszcza mężczyzn. Tu bardzo często powtarzają się trolle, ostentacyjnie łamiący całą właściwą randce niepisaną umowę i pierdzący głośno w jej teatrze. Dlaczego ta postawa jest tak upowszechniona i tak, uderzę w ten dzwon, pokoleniowa? Czy to czysta beka, czy może zasłanianie nią swojego egzystencjalnego przerażenia? Tu moim ulubionym bohaterem jest dwudziestoletni Krystian, który ewidentnie nieśmiałość i niskie poczucie własnej wartości tłumaczy symultanicznie na język wulgarności i programowej obelżywości spod znaku Big Cyca. „Kurwa, zaraz będą mi się włosy lokowały, muszę se czapkę założyć" – mówi, marynując kurczaka w znalezionej na podłodze siatce („Mam nadzieję, że nie będzie miała po tym ostrego srania"), wkłada nieświeżą koszulę („jeszcze mi śmierdzi wódką"), a podczas randki popija wino prosto z gwinta. O względy Asi, fanki Dody, która ma dwadzieścia lat, a w życiu, jak twierdzi, „twardą dupę", rywalizuje z Kamilem. Ten z kolei wrażliwą naturę skrywa pod maską twardziela. („U kobiet najbardziej podoba mi się delikatność. Nie chciałbym, powiedzmy, dzielić życia i łóżka, spać z kobietą, która wcześniej miała w sobie, czy że tak powiem, w innych otworach, dużo, wiadomo… członków męskich, tak?")

Interesującą strategię programowego antyuwodzenia prezentuje też Dawid, który na randce prowokacyjnie ogrywa swoje wiejskie pochodzenie. W rozmowie używa słów takich jak „pierw" i „tera", tam gdzie inni krewetki w tempurze, przygotowuje makaron z cebulą, opowiada o zbieraniu puszek i wraca do tematu swoich krzywych zębów. „Seks w życiu miałem dwa razy, no i jak wyszło, tak wyszło. To nie było tak jak w filmach pornograficznych, co się rozczarowałem, ale też się spodziewałem, że to tak będzie" – opowiada o sobie.

Zupełnie nie przystaje to do modelu randkowania starszego pokolenia, „za młodego na sen, za starego na grzech", które lubi całowanie w rączki, taniec, nalewki, czekoladki, cukiereczki, ciasteczka. Choć i tu zdarza się lekki trolling, tak jak w wypadku Andrzeja, który swoim partnerkom przynosi w darze *Sztukę pierdzenia* i *Niebezpieczeństwa onanizmu*. Jednak starsi uczestnicy zdają się o wiele bardziej romantyczni i dbali o kindersztubę.

Tu ciekawym przypadkiem jest starszy aktor z Krakowa, Jacek, który jak gdyby sam pada ofiarą rozsiewanego przez siebie czaru. Ma tak niski, głęboki głos o tembrze zardzewiałej czekolady, że nawet jak mówi kobiecie: „Gdzie jest łazienka?", to jakby mówił: „Chcę cię pożreć CAŁĄ", a gdy mówi: „nie", to jakby mówił: „tak, tak i jeszcze raz tak". Tak przynajmniej czyta to handlarka z warszawskiego Różyca, Lidka, która właściwie już w połowie wizyty proponuje mu wspólne zamieszkanie. Jakim zdziwieniem musi dla niej być, kiedy Jacek ostatecznie wybiera Nadię, ukraińską gosposię. Ta z kolei piecze dla niego trudny do wytłumaczenia torcik stanik, prowokując scenę, której nie powstydziłby się Bruno Dumont.

Na koniec zostawiam sobie odcinek w moim odczuciu najbardziej poruszający. Korpulentna pracownica call center Agnieszka na loterii miłości trafia dwóch kandydatów. Pierwszym z nich jest Sławek, pozbawiony jedynki magazynier-złota rączka, domorosły tancerz disco. Choć sam nie jest najprzystojniejszy na świecie, ewidentnie dzieli kobiety na piękne i nieistniejące. Gdy po otwarciu drzwi stwierdza nieprzynależność Agnieszki do tej pierwszej grupy, właściwie oddaje karty, zamyka się w sobie i nawet można powiedzieć, że trochę żal mu przygotowanego jedzenia. Ona z kolei przynależy do kultury „wszystko

ma zniknąć z talerza", nie wyjdzie, póki nie skończy. On najchętniej w ogóle by z nią nie rozmawiał, ale ze względu na obecność kamery solidarnie brną w rejsoidalne dialogi:

– Powiedz mi, jak masz na imię.

– Noooo… Tak jak w drzwiach mówiłem, Sławek.

– Sławek, mhm… A wiek twój?

– Trzydzieści siedem.

– Trzydzieści siedem, mhm. (*pauza*) Czym się zajmujesz?

– To znaczy oprócz pracy co lubię? To zależy od pory dnia, pory roku. No i otoczenia. Znaczy towarzystwa.

– Mhm.

– A ty?

– No ja też główną część swojego dnia poświęcam pracy. Pracuję po osiem godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu od poniedziałku do piątku. A pracuję w call center.

– Mhm. No ja też mam pracę teraz już, znaczy na jedną zmianę. Też pracuję osiem godzin dziennie. (…)

– Kino? Teatr?

– Kino akcji.

To prawdziwa ulga dla storturowanego widza, gdy los uśmiecha się wreszcie do Agnieszki, stawiając na jej drodze Mariusza, ochroniarza-wewnętrznego artystę, który w wolnych chwilach lubi się wybrać ze sztalugami w plener pomalować… martwe natury z kwiatami w wazonach. Z zaskoczeniem oglądamy, jak między tymi dwojgiem WYBUCHA uczucie, aż nie wiem, jak to opisać, bo jest to bardzo poruszające, wręcz zawstydzające, że obserwujemy z bliska (nieco podkręcony, jak to bywa, alkoholem i dużą ilością cukrów prostych) wybuch namiętności, być może dla obojga pierwszy w życiu.

I ludzie, mówię wam wprost: to mnie nie wzrusza może aż tak jak *Zimna wojna*. Ale wzrusza mnie naprawdę bardzo. Bo chociaż po niektórych odcinkach *Apetytu na miłość* można stracić apetyt na cokolwiek, a świat wydaje się podły, to ewidentnie wydarza się w tym programie czasem coś dobrego, słodkiego, pięknego; jest w tej beczce

dziegciu trochę miodu. I nawet jeśli Agnieszka i Mariusz kłócą się teraz w Ikei, czy kupić regał Kallax w okleinie imitacja brzozy, czy efekt dębu bejca biała, to nic im nie odbierze chwil wspólnego fałszowania *Zawsze tam gdzie ty* do programu karaoke.

Natomiast osobom nieromantycznym, których takie historie w ogóle nie ruszają, a które lubią rzeczy nieodgadnione, tajemnicze, a czasem powiedzmy sobie wprost: dziwne, chore i nieprzystające do niczego, wciąż mogę polecić wiele odcinków, wątków i scen z działu „Anomalia", w których wszystko niby zapowiadało się dobrze, a jednak sytuacja w którymś momencie wymknęła się spod kontroli:

– aktor Jacek je tort stanik samą twarzą, bez użycia sztućców;
– polska „unbreakable Kimmy Schmidt", której rodzice nie pozwalali się spotykać z chłopakami i prawdopodobnie też dotykać piekarnika, próbuje upiec pizzę w pięćdziesięciu stopniach;
– handlarz walutami po zaserwowaniu steku z kangura otwiera kuchenną szafkę pełną broni palnej i proponuje modelce z Rybnika wspólne strzelanie w ogródku;
– aktor Remigiusz demonstruje pochodzącej z Ukrainy Julii arkana aktorstwa: miny z uszami (stanowczo jeden z najdziwniejszych uczestników, któremu bardzo zależy na niewspółżyciu przed ślubem);
– pracownik call center zawile tłumaczy, dlaczego uważa się za osobę szaloną. („Bo gdzieś tam nawet sobie wymyślam, jak trasę, jak jadę do pracy, to codziennie staram się wybrać inną trasę, codziennie inny autobus. Inaczej jakoś pójść, żeby nie codziennie było tak samo. Nie ta sama droga, nie tak samo schodzić ze schodów, czy windą, czy codziennie, na przykład raz windą, raz schodami. Nawet przy spaniu, tak? Ciągle szukam różnych pozycji, w różnych konfiguracjach, żeby to nie było codziennie tak samo").

Kuba

W zeszłym roku, ulegając wpływowi starszych i silniejszych rówieśników, trafiłam do kościoła pod wezwaniem Przenajświętszej Marie Kondo, O Której Już Nikt Teraz Nie Pamięta. Ale wtedy Czytali Ją Wszyscy i ja, zakupiwszy egzemplarz jej ewangelii pod tytułem *Magia sprzątania*, w której Marie głosi porzucenie nadmiaru zalegających w naszym życiu przedmiotów, też zabrałam się do Wielkich Porządków. Szczera konfrontacja z zebranym z upływem lat dobytkiem była bardzo pouczająca, bo dotychczas uważałam się za osobę niematerialną, a okazało się, że udało mi się zgromadzić całkiem pokaźne zapasy wszystkiego.

Zapasy z tymi zapasami zdawały się trwać bez końca. Miałam bardzo wiele przedmiotów zagadkowego pochodzenia, sygnifikacji i funkcji. Może nawet nie ja miałam, ale jakieś tam rzeczy były u mnie w domu, te rzeczy miały swoje rzeczy, ich z kolei rzeczy – małe rzeczusie, a one z kolei dostawały darmowe długopisy i brzydkie torby z festiwali, furbisie, jogusie i gangi świeżaków. Przez wiele dni walczyłam z nimi zaciekle, ale w miejsce każdej uciętej głowy wyrastała nowa. Wszędzie leżały jakieś kolonie, podkolonie, sekcje i podsekcje, FARMY i podfarmy przedmiotów. „Ubrania zostawione przez gości / zimowe / akcesoria", „Brzydkie nagrody / statuetki / przed 2015", „Pamiątki po osobach, których nie chcę pamiętać", „Płetwy pojedyncze", „Włosy zwierząt / pies". Nie mówiąc o pięciu kilogramach monet, siedemdziesięciu kilku zapalniczkach, nigdy nieodpakowanych prezentach. Nieużywane, zakurzone, bezsensowne, w stosach, pryzmach, rzędach, górkach, workach, pierdolnikach, przypominały nie tylko o tym, co było złe i niby minęło, ale ciągle trwało w NICH, trwało w ICH idiotycznym trwaniu, ale też o tym, co było piękne, ale sczezło i zgniło, a jedyne, co pozostało, to te głupie przedmioty: paradoksalnie odporne na przemijanie, a niektóre nawet, jak się zdaje, obrzydliwie wieczne.

Cóż można było zrobić? Część rozdać osobom jeszcze nienawróconym na mariekondyzm i beztrosko obkładającym się czym popadnie. Resztę po prostu wyrzucić na śmietnik – w ten sposób przekazując je chaosowi, ale zawsze z bolesną świadomością, że to nie

pozbycie się ich; to tylko buńczuczny, lecz pusty gest, bo większość z nich przetrwa może nawet koniec świata.

Ale mniejsza z nimi, bo tu chodziło przecież o moje życie. Te żmudne dni sprzątania naprawdę je odmieniły. Czułam się lekka, wolna, świeża, świeża jak świeżak. Przynajmniej przez dwa–trzy miesiące. Jednak dzień po dniu uniesienie neofitki niepostrzeżenie opadało. Alarmy antyrzeczowe stopniowo traciły czujność, w rezultacie czego przedmioty znowu swoim zwyczajem zaczęły się zakradać, podpełzać, porozumiewać się między sobą bandyckimi gwizdnięciami, a oczywiście gdy rozglądałam się spłoszona – cisza jak makiem. Mariekondyczne nawrócenie okazało się tym gwałtownym krokiem w przód, po którym następują dwa, trzy, cztery ciche, nieświadome niby nigdy nic w tył. A to, bo takie ładne. A to żal, bo słodkie. A to, bo za bezcen w Lidlu. Bidecik. Balonik. Spiralizator do warzyw. Dziesięciopak skarpetek. Rzeczy, rzeczy, rzeczy. Pamiętam, że gdy ołowianym świtem pędziliśmy na lotnisko, jeszcze mnie goniły, jeszcze za mną biegły, jeszcze próbowały wskoczyć na chama do mojej niedomykającej się walizki, na której musiałam kłaść się i tak skakać po niej na leżąco… skakać po niej na leżąco… by jakkolwiek ją w ogóle zapiąć…

W samolocie włączyłam sobie *Panią Bovary* i teraz myślę, że nie był to przypadek, że w drodze na Kubę towarzyszyła mi właśnie ona, poetka zakupów, ikona gadżeciarstwa, pełna pasji reżyserka w teatrze przedmiotów i ubrań, na którego scenie odgrywała swoje wyczytane w powieściach role. „Nie kupuj tej sukni, jest za droga. Kup skromniejsze, ale dwie. Albo poczekaj, poczekaj, idiotko, na posezonową promocję!” – wykrzykiwałam rozemocjonowana w myślach, wpychając do ust pięćsetną paczkę precelków pakowanych po dziesięć gramów i popijając każdy łyczek herbaty z nowego kubka nową łyżeczką, a folijki od nich wszystkich rzucając sobie pod nogi. Piękna Emma grana przez Isabelle Huppert akurat wymieniła całą tapicerkę, wszystkie meble, kupiła już japońskie wazy i stosowną czapeczkę z kutasikiem, by biec na spotkanie z Rodolphem, kiedy samolot zaczął obniżać się nad Hawaną…

Tępe tąpnięcie o asfalt; zapalają się światła… ludzie, z grubsza upewniwszy się, że żyją, zaczynają się gramolić ze swoich siedzeń, ze

swoich barłogów, ze swoich usypisk, stosów, kup, hołd. I jest ten moment, gdy wszyscy wychodzą i widać cały ten burdel… tę całą ruinę. Pokiełbaszone kocyki i rozrzucone kubki, talerzyki i butelki, folie i folijki, nadgryzione kanapki, słuchawki, rozdrapane gazety i różne inne oczywiste (jeszcze dla nas wtedy) odchody istot, które siedzą znudzone dziesięć godzin w miejscu całkowicie BEZ INTERNETU… Jednak na pogłębioną refleksję nad faktem, że cały ten idiotyczny śmietnik wyląduje w wielkim worku, ten zaś, ciasno opakowany w kolejny worek, w kolejny i kolejny, będzie wirował w kosmosie jeszcze biliardy i septyliardy lat, nie ma czasu. Bo już jesteśmy na lotnisku z zepsutą klimatyzacją, już torby przeszukują nam piętnastoletnie urzędniczki w białych podkolanówkach i chędogich koszulach, których urzędowa surowość topi się i memła w gorącu i nudzie. Na pasie bagażowym już od pół godziny krąży jedna walizka i, uwaga, bo widzę to pierwszy raz: opona samochodowa… Mija kwadrans, rodzi się i druga… i krąży nonsensownie, krąży, ciągnąc jakieś taśmy, folie, chaosy… Trwa to wszystko bardzo długo, jak to w światach, w których czas to nie pieniądz, lecz po prostu czas, substancja względna, rozciągliwa, plastyczna i zdecydowanie nieluksusowa, której każdy ma tu w nadmiarze.

Tymczasem my już w samochodzie, jedziemy przez parną ciemność. Ciemność! Nie żadną tam żółtą, neoniczno-ledową ciemność Warszawy, tylko prawdziwą, czarną, z której wyłaniają się zarysy palm, bud, starych chevroletów i ład, maluchów i powozików konnych. Chyba jeszcze wtedy bierzemy to za rodzaj żartu czy jakichś posamolotowych urojeń, tak samo jak naszą kwaterę w Boca Ciega, której bramę właśnie przekraczamy i…

…i teraz skupiam się bardzo, modląc się do Wielkiego Wszechmożnego Basenito, boga basenów i soundsystemów, boga drących papę kobiet i ciężkich basów, aby pomógł mi precyzyjnie wyrazić, jak jest w Casa Carlos… i ostatecznie muszę stwierdzić, że Casa Carlos jest to rodzaj permanentnego party nad basenem otoczonym pokojami mieszkalnymi bez okien. Trzeba też zaznaczyć, że jest to przyjęcie niezbyt oblegane, niezbyt udane frekwencyjnie, za to z głośną muzyką taneczną uruchamianą już o szóstej–siódmej rano, której

dźwięki całymi godzinami odbijają się od betonowych murów, marszczą powierzchnię pustego basenu i wprawiają w turbulencje nawet szyby w nieistniejących oknach… Ale akurat tego dnia, którego przyjechaliśmy, był piątek, więc pamiętam, że były tam jakieś baunsujące czikity, jacyś mężczyźni ze swoimi muskulaturami i że gdy weszliśmy, wszyscy zamilkli nagle i czy było to sączenie drinka, ściskanie czyjegoś cyca, pokątne czy niepokątne fellatio, zawiesili wykonywane właśnie czynności, całkiem jakby weszły jakieś dwie złachane nauczycielki z dziennikiem i globusem, które jak zawsze muszą zepsuć całą zabawę…

Więc od początku było tam jakoś dziwnie, podejrzanie, rozwiązle. Ale w zaoferowanym nam ubogim pokoiku były ściany, było łóżko, była cieknąca klima ustawiona na dziesięć stopni i rozpadająca się meblościanka, zatem wszystko, czego akurat potrzebowaliśmy, by umyć się, zamknąć oczy i zasnąć. Więc leżę już w tym chłodzie… zamykam oczy i słucham różnych tych dziwnych hałasów. Dudniące *Despacito*, woda wirująca w rurze… klimatyzator wydający dziwne szczęki, ciumkania, siorbnięcia… fantomowe karaluchy zakradające się do moich uszu, S. kąpiący się, wątłe strumyczki lodowatej wody wężujące po jego ciele… lód, kostki lodu, szczękające zęby… Słucham, słucham… już odpływam… już spomiędzy tych hydraulicznych bełkotów i strug wychodzi po mnie Orfeusz, już bierze mnie za rękę i delikatnie prowadzi na oblodzone pustkowia rojeń i snów… gdy trach! nagle ktoś szarpie za klamkę. Do pokoju tanecznym krokiem wpada rozchichrana, przyciśnięta przez naturę czikita. Boże, dziewczyno, co jest takie śmieszne, może powiesz nam wszystkim, może wszyscy się pośmiejemy? Widząc mnie, w ogóle się nie wycofuje, tylko coś papląc i gestykulując, chyłkiem, niezwykle chytrze i prawie niezauważalnie zmierza wprost do… A kto zna moje wcześniejsze teksty, ten wie, że nawalone dziewczyny chcące skorzystać z mojego kibla to w moim życiu powracający motyw. Więc może warto by to w końcu przeanalizować na terapii, bo to, co wydaje mi się, że mi się „przydarza”, ma prawdopodobnie głębokie podświadome ugruntowanie w krzywdach doznanych ze strony rodziców w dzieciństwie i mimo że bardzo stanowczo krzyczę: DONT DONT

DONT! NOU NOU NOU! itepe, ona tylko uśmiecha się i idzie tam jak po swoje! Jak po swoje! Czuję, że już nijak jej nie powstrzymam, że zaraz będę musiała wstać i zasłonić drzwi własnym ciałem… a to krok desperacki, który zostawiam sobie na sam koniec, bo ona jest w kostiumie odsłaniającym obfite, obłe, opalone, ociekające wodą piersi i uda, i zsuwającym się raz po raz z nich ręczniku, a ja jestem w swojej repulsywnej poplamionej rosołem pidżamce z worka jutowego w bożonarodzeniowe reniferki i aparaciki ortodontyczne i… ostatecznie jakoś udaje mi się ją wypędzić, no ale czy z tymi dzisiejszymi dziewczynami nie jest teraz coś nie tak, jeśli myślą, że każdy chce, żeby się wyszczały w jego kiblu, i że to wielki zaszczyt?

Tak czy siak już rano… rano czy nie rano, trudno powiedzieć, jak nie ma okien; posłuchajcie, okna w domach czy nawet hotelach są niepozornym, ale wspaniałym wynalazkiem. Żeby czy to złapać trochę światła, czy chociaż domyślić się, jaka jest pora dnia; prosty trick, szyba, odrobina drewna czy czegokolwiek. Jeszcze w Polsce, kiedy mieszkasz w pokoju bez okna, to jakoś dajesz radę, bo sprawdzisz sobie w Google'u, która godzina, jak wygląda ulica, jakie są promocje, przeciwko czemu manifestacje. Tutaj, w rzeczywistości bezinternetowej – próżnia, nicość, nic. Tylko dudnienie soundsystemu, muzyka chwaląca, zaklinająca, antycypująca stosunek seksualny.

Wychodzimy więc z naszego bunkra w dzień jasnobłękitny i posępny. Na lince nad basenem przypięta klamerką suszy się, wydymając się tragicznie na wietrze, siatka foliowa… (Szybko odkrywamy, że na Kubie absolutnie nikt nie zrozumiałby piosenki *Siatka foliowa lata nad domami* zespołu Gówno. Siatka foliowa lata nad domami??! Czy to śpiewają jacyś nihiliści, sataniści? Siatka czyściutko wymyta, złożona w kosteczkę leży w sejfie! Siatka to tutaj rzecz niezwykle cenna, tożsamościowa, którą szanuje się, kocha, której nadaje się imię. Ile to jeszcze razy będziemy w toku naszej podróży mówić do siebie: „Weź, już trzeba będzie chyba umyć naszą siatkę". Albo: „Ach, fajna ta nasza siatka, porządna, długo trzyma, nie rozciąga się w myciu". Albo: „Rzadko myjesz naszą siatkę. Chyba przestaje ci zależeć". A wreszcie: „DLACZEGO JA JĄ CIĄGLE MYJĘ?? NIE DBASZ O MNIE ANI O NASZĄ SIATKĘ!!").

Tymczasem wyszliśmy na drogę łączącą Boca Ciega z pobliskim Guanabo i procedowaliśmy nieśmiało przed siebie wśród palm i wiązów. Wszystko było zupełnie nowe, zupełnie zaskakujące. Drzewa były bardzo wielkie, pradawne, włókniste i opasane lianami. Na rogach ulic leżały sterty obrzydliwych śmieci, w których poczynały sobie śliczne, granatowe z perłowym połyskiem koguty. Mijaliśmy wiele ruin jakichś wielkich wygasłych willi. Same ściany, same schematy budynków; na nich świeżo poprzykręcane obłudne tabliczki, ogłaszające w wielu językach, że budowa jest *in progress*. Sprytny sposób, by zatrzymać złe języki, zaraz gotowe pleść trzy po trzy, że to ewidentnie zrujnowane miasteczko jest zrujnowane! Tak w najlepszym ze światów bezkosztowo ucina się głupie plotki. Wreszcie dotarliśmy do Guanabo. To była jakby taka kubańska odpowiedź na Mielno. Choć Mielno to przy nim tętniący nadmorski ośrodek, ociekająca luksusem perła wybrzeża kołobrzeskiego. Tutaj to wersja niskobudżetowa. Bezbudżetowa. Za odpowiednik kebabów mogą uchodzić śmierdzące jatki, w których szczątki jakichś nieszczęsnych istot rąbie się siekierą na gazecie, ku apatycznej uciesze też ledwie żywych psów. Za sklepy „Alkohol 24 h" – ciemne upadłe bodegi, w których posiadacze kartek mogą nabyć olej, cukier, rum i papierosy. Za dyskoteki – burdelowate kafeterie, w których starzy Włosi i Niemcy bajerują znudzone lokalne piękności.

Tymczasem miasteczko w głębokim mozole gramoli się ze snu. Trwa sprzątanie. Jakaś baba bez przekonania zamiata płynącą ulicą rzekę. Sprzątacz ze stacji benzynowej z rozpędu kopie puszkę, by leżała trochę dalej. Nie nazwałabym Kubańczyków „Niemcami Karaibów". Nie nazwałabym ich nawet „Polakami Karaibów", a wiecie, co to oznacza. Co położyło się, to już leży. Co zawisło, wisi. Co śmierdzi, dalej śmierdzi. Zniszczone przez huragan Irma miasteczko nie pali się do porządków. Wybrzuszony beton, strzaskane pasaże i całe ulice stojące ciągle w wodzie czekają na boże zmiłowanie. Choć są wartości, o które Kubańczycy dbają. Na przykład samochody. Jak zadbali o swoje fiaty 126p, czyli niezwykle popularne tu *polakitos* (kosztujące na Kubie nawet sześć i pół tysiąca euro) (sic!), to nie do wiary. Wypacykowane, pomalowane na najpiękniejsze kolory, bardzo często srebrny, ale i złoty!

Nie gdzie indziej, jak w Hawanie, widziałam też zresztą po raz pierwszy w życiu człowieka myjącego ładę gołą ręką…

Ale teraz sprawy przyziemne. Jesteśmy głodni. Może nie jest to aż tak interesujące, żeby opisywać to całymi akapitami, ale takie zagadnienia staną się tu treścią naszego życia. Jesteśmy jeszcze wtedy młodzi, naiwni, niczego nieświadomi, przybywamy ze świata, w którym na każdym rogu stoi, kipi obfitością Groszek albo inny skarbiec sułtana. Tu przed kartkową piekarnią niecierpliwi się spory ogonek ludzi ze świeżo umytymi siatkami. W końcu pojawia się chleb, czy raczej buła. Rosnąca w ustach trocinówa, już stara, kiedy jeszcze jest świeża, za to, oddajmy sprawiedliwość, w wielu różnych rodzajach: dużym i małym. Stoimy cali zadowoleni z naszą bułą. Jakiś menel palący cygaro pokazuje nam napis PASSPORT na swojej bluzie, zawile coś przy tym tłumacząc. No dobra, niech mu będzie… otwieram mu szlaban, wypuszczam go za granicę… O, już, już poszedł. Ale my wciąż z tą bułą. Co z tym się robi dalej? Bułę dużą przekłada bułą małą? Dużą opieka, a tamtą wsadza do środka? Tymczasem otworzyło się *mercado*, więc pańskim gestem oddajemy plecaki do depozytu i wchodzimy jak po swoje…

Jeśli jednak czegoś jest tam dużo, to wyłącznie pracowników. Nie licząc dwóch bab, które pilnują toreb, jest jeszcze baba, co pilnuje wejścia, baba, co obserwuje kasę, kasujący, przy każdej półce administrator półki, w każdej alejce superwizor alejki. A cała ta machina rozkręcona wokół ryżu, makaronu, keczupu i dżemu. No i rumu. Postanawiamy kupić sobie rum. Jednak niestety podczas płacenia człowiek strasznie się stresuje, kiedy każdy jego ruch obserwuje siedem, osiem, dziewięć czy też dziesięć osób… Butelka tłucze się. Stoimy nad rosnącą kałużą rumu jak niegrzeczne dzieci. Nikt z nami nie rozmawia, nikt nie patrzy nam w oczy. Pracownicy wymieniają między sobą jakieś niezobowiązujące uwagi. Jednocześnie nikt nie śpieszy się ze sprzątaniem. Właściwie myślę, że kałuża stoi tam do dziś, tylko pływają w niej jeszcze jakieś zwłoki ludzi, którzy wdepnąwszy w nią, nigdy się nie odkleili albo przewrócili się w nią twarzą, a nikomu nie śpieszyło się im pomóc. Nie widząc wyjścia z impasu, postanawiamy się oddalić, ale… Hola, hola, gagatki! Ze sklepu wybiega parę osób, gestykulując i wykrzykując. Wracamy. Znowu stoimy skruszeni, czekając na obelgi,

tortury. Przez okno widzimy, jak do sklepu nadciąga wezwana z innego sklepu kierowniczka, w otoczeniu rozpytlowanej ciżby różnych podkierowniczek i pomniejszych subiektek, sadząc susy nad kałużami i wybrzuszonymi płytami chodnika, brzęcząc wielkim pękiem kluczy do lokalnego więzienia, lodowatego lochu pewnie bez prysznica, bez płynu micelarnego, bez nici dentystycznej… Trwa narada. Już chwilę później, ku naszemu wstrząsowi, zostaje nam przyznana kolejna butelka rumu, w dodatku większa! Językiem ciała i hiszpańskim na poziomie A minus jeden wyrażamy skruchę, radość, ulgę i w atmosferze przyjaźni bratnich narodów kubańskiego i polskiego wyruszamy na dalszą wędrówkę…

Ale ogólnie już dochodzi do nas, że w Guanabo nie ma aż tak bardzo gdzie wędrować, zwłaszcza że powoli robi się gorąco i psy leżą w poprzek chodników jak trupy. Ludzie chodzą w tę i we w tę po błocie z siatkami pełnymi buł, duże w jednej, małe w drugiej. Albo odwrotnie. Jest pasaż handlowo-usługowy, w nim manikiurzystka i zegarmistrzyni – oto rzeczywistość, w której w zegarkach zmienia się baterię, a nie po prostu je wyrzuca. Jest i telefon stacjonarny stojący uroczyście na taborecie, a także cukiernia oferująca tragiczne, jakby już zjedzone przez jakieś podłe dzieci, ale wyplute i ulepione od nowa przed przyjazdem rodziców torty. Po ulicy telepią się bryczki PCV zaprzężone w chorowite, obsiadłe przez muchy kulawe koniki i nierzadko zaopatrzone w donośne soundsystemy.

I tu muszę choć akapit poświęcić temu, jak ważną rolę w życiu Kubańczyków odgrywa porządny, o dużej mocy soundsystem. To inherentny element życia osób zarówno dopiero dążących do reprodukcji, jak i tych, które już jej dokonały i tylko jakby wspominają, jak to było. Rodziny wystawiają go jak spazmujący LED-ami ołtarz na tarasiku czy ganku i siedzą przy nim, niezależnie od wieku i stopnia własnego zreprodukowania, a także głębokości swojej depresji. Często nawet nic nie piją, zadowalając się tylko toksycznym dudnieniem i niskobudżetowym patrzeniem w dal z wielkim *saudade*. W piosenkach smutni mężczyźni (nigdy kobiety!) śpiewają o stosunkach, które odbyli, odbędą, odbywają, mogliby odbyć… Bo życie Guanabo jakby całe kręci się wokół reprodukcji. Jej teatr ma ubożuchne scenografie, skromne kostiumy i głodowe cateringi. Ochoczymi statystami, kibicami i chórem

greckim są tu włóczędzy i beznodzy dziadkowie, sekundujący i dogadujący kojarzącym się parom, i włóczące się za nimi psy.

Połamane palmy falują, morze wojuje, pachnie śmieciami, kobiety się chichrają. Czasem coś zatańczą, jakby ich ciała nagle zostały od wewnątrz napadnięte przez jakieś niecierpiące zwłoki elektryczności, namiętności, erotyczne demony. Głównie zajmują się byciem pięknymi. Śmieją się tymi szalonymi zębami, jakby kupiły właśnie w 1001 Drobiazgów „ZĘBY BIAŁE SZTUCZNE, 32 sztuki, XXXL". Wywijają błyszczącymi brązowymi rękami, łyskają oczami saren. Jednak co tylko zauważymy jakąś turboprzepiękną kobietę, zza winkla, zza krzesła, zza drzwi WC wyłania się tatuńcio: również niezamierzający dać się wysiudać z reprodukcji podstarzały Niemiec/Amerykanin/Włoch. Brzuchaty gapcio lub też wręcz przeciwnie: uwiędły samiec alfa, obtatuowany, obwisły, pobrzękujący kastanietami bransolet, w koszulce z napisem „Los Angeles". Podchodzi do pięknej piętnastolatki, całuje ją rozpustnymi, ropuszymi ustami, w wilgotnej jamie łyskają świeżo zrobione licówki. Ona nie tyle odwzajemnia pocałunek, ile jakoś bardzo gwałtownie nie oponuje, patrząc martwym wzrokiem w telefon. Rozmawiając z europejskim podnajemcą swojego ciała, ziewa przeciągle i sprawdza stan manikiuru...

Następnego dnia jest niedziela, słońce i wielki wiatr! Kąpiemy się, wrzeszcząc w oszalałym błękitnym morzu, cali pochłonięci przez spienione grzywy, zwariowane perlaże fal. Ale po wyjściu na brzeg w kafeterii Las Palmitas musimy jeszcze spędzić trochę czasu z Tonym i jego wujkiem, nie ma na to rady. Piszę, jakbym ich znała, ale tylko robię dobrą minę do złej gry, bo wiem tyle co i wy. Tony to przymenelony *latino lover*: ma odblaskowe okulary i koszulkę Lakersów. Wujek może więcej w życiu zobaczył, a zwłaszcza wypił, jego oczy są bardzo jasne i wymyte z wszelkich złudzeń, a cera mało jędrna, mało wypoczęta i niepełna blasku, jakby nie używał l'oréala. Tony bardzo drąży temat mojego stanu cywilnego i charakteru łączącej mnie z S. relacji. Ogólnie mówi bardzo dużo i natrętnie, do nas, do siebie, do świata i po prostu; potem razem z wujkiem, popijając sikowate piwka, obmawiają nas przy nas... Słowem, wziąwszy z tej znajomości wszystko,

co pozytywne, a wymykając się temu, co mogłoby wyroić się z niej ewentualnie negatywnego, wracamy do naszego betonowego casa-kurwidołka…

A nad basenem już tam coś. Już nie próżnują, już kombinują, już reprodukują, a przynajmniej zakasują rękawy i się biorą do roboty! Od wczoraj przy ogłuszających dźwiękach *Despacito* miesi się tam dziwny (choć doprawdy, co tutaj znaczy dziwny?) trójkącik: dziaduńcio, jakaś niezwykle chuda lokalna parapiękność (zwana dalej Chudą) i gość, nazywany przez nas roboczo Daddy Cool. Ponieważ jest to mężczyzna bardzo czarny, skórzasty, ogromny, o namiętnych ustach i figlarnym spojrzeniu. Ma czapkę z prostym daszkiem, bokserki z dużą ilością złotych napisów wystające wysoko ze spodni, złoty kolczyk i bransoletę, i zegarek, a nade wszystko nie jeździ żadnym moskwiczem, ładą czy maluchem tak jak wszyscy, tylko ma nowy chiński samochód Geely i stąd wiemy, że jest to gość, który nie żartuje, kiedy proponuje nam podwózkę do Guanabo.

Dziaduńcio zostaje na miejscu. Musi sobie poprawić sztuczną szczękę, przetrzepać tupecik, poza tym Chuda potrzebuje trochę rozrywki, też chce mieć coś z tego życia, a nie tylko patrzeć na jego walające się po kafelkach protezy nóg i rąk… Chuda dość ma takiego czegoś: wsiada do geely, zapalając mocnego papierosa. Z drugiej strony Daddy Cool, wrzuca jeszcze do schowka dużo zmrożonych sikopiw w puszkach. Dokąd jadą? Z języka ciała, w którego czytaniu wchodzimy tutaj już powoli na poziom *intermediate*, wiemy tylko, że raczej nie na panel o przyszłości kultury polskiej. My, jak to dzieci, zostajemy usadzeni z tyłu. Między nami duży blok sera żółtego. Kochankowie jeszcze chwilę radzą nad doborem muzyki… Okej, jest konsensus. Płyta trafia do odtwarzacza i z soundsystemu dobywa się ryknięcie potwora. Ratuj się kto może! Pędzimy uliczkami, uciekając chyba sami przed sobą… sami przed sobą… a im szybciej jedziemy, tym szybciej musimy jechać! Dudniąc, rycząc, siejąc reprodukcyjny terror!! Z palm spadają kokosy, zmarli wstają z grobów… Oszołomieni, a przede wszystkim zupełnie głusi, z piskiem w uszach wysiadamy…

W Guanabo szybko odkrywamy, że niedziela jest tu dniem chrupek. To ważne. W niedzielę wszyscy chodzą z paczkami chrupek Pelly. Kiedy

siedzimy w Pepe, czujemy się jak śmieci z tymi naszymi podłymi sandwichami, gdy oglądamy przechadzające się pary dumnych, roznamiętnionych chrupkowiczów. Chrupki to oznaka statusu i klasy, chrupki to zdrowie, uroda, styl i pewność siebie. Dla zachowawczych, konserwatywnych, szanujących tradycję – paprykowe. Dla silnych, nowoczesnych, ceniących niezależność – bekon. Nie mając swoich chrupek, udajemy się na taras *centro comercial*... Trochę już zaznajomieni z burdelicznym charakterem Guanabo, ale wciąż naiwni jak dzieci i mierzący wszystko własną idealistyczną miarą, rozsiadamy się przy stoliku. Jako para budzimy tu jakąś lekką konsternację, ale na szczęście jesteśmy za mało bystrzy, by to pojąć. Klientela to raczej opaleni w dziwnych miejscach starsi panowie w odzieży funkcyjnej. Słowem sympatyczne typy. Przed nami starszy pan bez koszulki, dobrze mu z oczu patrzy. Jego pokiereszowane, poznaczone plamami wątrobowymi ciało zwisa z krzesła jak przerzucony przez nie żywy brudny ręcznik, żywy kostium na Halloween. Obok schludny chytry latynoski typek w różowym polo. Za nim budzący zaufanie gość w typie Pawła Huelle, w chodakach i ogólnym stylu chirurgiczno-ortopedycznym. Między nimi rozmaite lokalne kobiety piękne i znudzone jak pumy, sondujące cały czas salę czujnymi biznesowymi spojrzeniami.

Stopniowo zaczynamy rozumieć, że jesteśmy na lokalnym seksbazarku, lokalnych targach kobiet i mężczyzn. Jak na każdych targach, z przodu stoiska toczy się tyle samo życia, ile z tyłu, gdzie jest czajnik elektryczny. Więc odbywając te swoje chłodne i znudzone flirty, kobiety pumy robią rzeczy zupełnie zwykłe, jedzą jakieś przyniesione w pudełkach jedzenie, pikają na komórkach, dzwonią do ZUS-u, załatwiają sprawy. Pod nogami plączą się różne córeczki, które dobrotliwi europejscy dziadkowie obdarzają pieszczotą, żartem i figlem, a może nawet jakimś dewizowym łakociem... Cóż, nic tu po nas, myślimy po dziesięciu drinkach, które wypiliśmy, powtarzając sobie „w burdelu można". My przecież też mieszkamy w burdelu, więc co to dla nas za nowina.

Wracamy. Mijamy pijanych erotycznych ludzi i ryczące soundsystemy, ściskające się pary stare, młode i mieszane. Ale nagle

przez płot jednej z rozwałkowanych willi, z której dobiegają dźwięki totalnego *Despacito*, gwałtownymi gestami przyzywa nas młody czarnoskóry mężczyzna… Myśląc, że jest ranny albo ktoś próbuje zmusić go do podpisania niekorzystnej umowy kredytowej, wchodzimy, by mu pomóc. W ten sposób trafiamy na wiksę młodych *despacitos*, z której wyjście nie jest tak łatwe jak wejście.

Muzyka jest bardzo głośna, więc z gospodarzami porozumiewamy się wrzaskami i pantomimą; to z niej dowiadujemy się o wartościach, których zabawa ta jest wyrazem, apologią, inscenizacją. Niewątpliwie chodzi o West Coast, choć z pewnymi wymuszonymi racjonalizacjami, cięciami budżetowymi. Tak krawiec kraje, jak materii staje. Bohaterem wieczoru jest półlitrowy johnnie walker, lokalny symbol OSTATECZNEGO bogactwa i prestiżu. Jest też basen. Może nie jakiś wielki, kąpałabym w nim dwoje, troje dzieci lub maks dwoje beznogich i bezrękich dorosłych, ale na sprytnie zrobionym selfie wygląda pewnie jak Inflancka.

Despacitos decydują się w nas nawet ostrożnie zainwestować, wręczając nam drinka w kubku plastikowym: johnnie walker plus jakiś mózgotrzep. Pełnimy tam funkcję jak gdyby gości specjalnych, egzotycznych zachodnich białasów, choć każdy ma takich białasów, na jakich zasłużył: S. w wymiętej koszuli typu safari, ja natomiast w bardzo mało westcoastowej sukni. Ale za to z aparatem na zębach, który od biedy może uchodzić za grill z bardzo rzadkiego złota, tak zwanego złota niezłotego. Plan jest, jak się zdaje, taki, że wchodzimy wszyscy do basenu i wspólnie pozujemy do selfie, udając, że jesteśmy przyjaciółmi i mega się bawimy…

Impas nadchodzi z nieoczekiwanej całkiem strony: otóż nogi. Nasze nogi po przejściu z Guanabo są bardzo brudne, ciągną się za nimi wiechcie trawy, koniki morskie, martwe ryby, stare podarte nieumyte siatki, bardzo duże okazy bakterii i wirusów. Chłopaki zasępiają się nad nogami. Komisja do spraw naszych nóg decyduje się na krok radykalny: zza basenu wyjeżdża szlauch… (Jakie to wyzwalające! Ile to razy, gdy ktoś do mnie przychodził na urodziny czy imieniny, też miałam ochotę porządnie wymyć go szlauchem, ale zaraz popadałam w te mieszczańskie minoderie: ale czy się zgodzą? czy nie będzie im

przykro? czy nie pomoczę im kurtek?) Pomysł wydaje się świetny, ale jakoś tak… tak jakoś od razu… Nagłe rozbicie decorum. Szlauch jako przedmiot z obrządku innego niż złoto i dziwki chłodzi nastroje. Ekscytacja opada, muzyka cichnie; nasza karoca zamienia się w dynię. Żegnamy się z *despacitos*, obiecując obłudnie, że przyjdziemy później. Ale wciąż stoi mi w oczach ten grubaseiro, który by pokazać nam, co tracimy, wskakuje jeszcze do basenu i polewa w szale szlauchem swoje pokaźne twerkujące cycuchy…

Tymczasem w naszym kurwidołku bez zmian. Nad basenem ryczy *Despacito*. Chuda już lekko porobiona macha do nas bardziej niż trzeba. W telewizji reportaż o Wenezueli, w którym jak zacięte zmieniają się trzy sceny. Przemawiają jacyś wojskowi, jacyś generałowie… Do tego dużo tańczących i śpiewających *despacitos*… *Despacitos* pojedynczy… podwójni, potrójni… Całe zastępy, drużyny, formacje *despacitosów*. Ostatecznie po całym dniu w tych wszystkich burdelach jesteśmy głodni i po ciemku omijając willę naszych baunsujących przyjaciół, by przypadkiem znowu nie chcieli nas wykąpać, brniemy do Guanabo. W kompletnych ciemnościach na potłuczonych przez huragan chodnikach stoją policjanci. Dwójkami, trójkami, szóstkami – jest ich chyba więcej niż przechodniów. Turkoczą bryczki… Cały park obsiadły jest przez ludzi, którzy próbują ugrać coś z internetem, zdzwonić się przez Skype'a z krewnymi z Miami. (W końcu, gdy zapytamy jakiegoś człowieka naiwnie, jak się podłączyć do bezpłatnej sieci, wybuchnie on śmiechem, klepiąc się po brzuchu, i jeszcze zawoła kolegów, by powiedzieć im, że my myślimy, że internet jest za darmo!) Szukamy czegokolwiek do jedzenia. Wreszcie w ciemnościach natrafiamy na restaurację Mamma Mia…

Towarzystwo jest eleganckie. Są różni lokalsi, dla których kolacja tutaj to potwierdzenie statusu. I tak: dwoje bardzo grubych i brzydkich Afroamerykanów, którzy naprawdę nie chcieli zostać wzięci za jakichś obdartusów. Nie widziałam tyle złota, odkąd wujaszek Scrooge pozwolił mi zajrzeć do swojego skarbca. Zegarki pięciocentymetrowej grubości… sygnety… kolczugi, misiury… Obok rozsiedli się trzej mężczyźni o twarzach starych prostytutek. Wyglądają, jakby przed chwilą

odprawili tratwę z uchodźcami, tylko trochę dziurawą, za zgarnięte hajsy postanowili przyćpać ostro najdroższego makaronu, a potem niech się dzieje, co chce. Swoje bogactwo raz po raz dokumentują ponurymi selfie. Telewizja jak zwykle emituje teledyski przedstawiające młodych mężczyzn zawodzących żałośnie na motorówkach w towarzystwie obrażonych modelek. Ja tymczasem kompletnie napalam się, że wreszcie zjem coś, co nie jest bułą.

Panująca tu bułoza zaczyna mnie powoli wykańczać. Wypadają mi włosy i zęby, rano przy łóżku znajduję okruszki, które osypały się ze mnie w nocy… Marzę o skrawku pomidora czy czegoś w podobie, czy żądam dla siebie tak wiele? Jak okrutnie zaraz zadrwi ze mnie los, gdy na stół wjedzie moja sałatka (surowa kapusta, ogórki i karbowana marchew z puszki) i minestrone (wszystko powyższe zalane słoną pomarańczową wodą!). Tak samo naiwnie niech się łudzi i oblizuje S., przed którym zaraz pojawi się gargantuiczny kopiec makaronu o wdzięcznej nazwie carbonara, z czego wyłącznie „nara" ma coś wspólnego z realiami.

Kuba to jednak nie tylko ogniści *despacitos* i obrzydliwe jedzenie, to także obowiązki zawodowe. Jako goście Tygodnia Teatru następnego dnia prowadzimy w Hawanie seminarium. Zaczyna się o dziesiątej, więc jeszcze zdążamy zajrzeć w jakąś krzywą okoliczną uliczkę. A tam to już jak wejść na chwilę za róg Krainy Czarów… Wchodzisz i już… Wrze, gotuje się, kipi. Z każdego okna, okienka, okieneczka na naszych oczach pączkują jakieś szalone światy. Ferment, rozbuzowanie, fantastyczne rozmnożenie, zgazowanie tutejszej ulicy zupełnie nas oszałamia! Smród śmieci, gówna i mydełka. Zrujnowane fasady, obtłuczone syreny, pieczołowite konstrukcje ze śmieci, spuszczane przez sąsiadki torby na zakupy. Światy wychodzą ze światów, wychodzą ze światów, wychodzą ze światów, wychodzą ze światów!

Wchodzimy do kawiarenki, której cała oferta zamknięta jest w lichym termosiku. Kawa kosztuje jednego peso, piękna *mamita* nalewa nam po łyczku na dno szklanek. My w tym czasie dyskretnie rozglądamy się po jej skromnym lokalu… Stary wypoczynek i zapalona już, wyszmelcowana i nieco spłowiała od słońca choinka. Na ścianie

oprawiony w ramy plakat Spice Girls, tak stary i wyjarany słońcem, że Geri Halliwell wygląda zupełnie jak Mel B, a Mel B jak Mel C…

Chce się powiedzieć: my mamy przedmioty, my mamy komputery, internety, smartfony, odzież funkcyjną i niefunkcyjną, taką i śmaką, designerską i niedesignerską. Ale ci ludzie tutaj, oni mają życie.

Wracając jeszcze jednak na chwilę do *Magii sprzątania* Marie Kondo… Tylko gdzie ja ją mam? *Pożegnanie z nadmiarem. Minimalizm japoński*? Nie, to nie to… *Hygge, duńska sztuka* czegoś tam? *Życie zero waste*? W panice przetrząsam swoją półkę „Książki o tym, że mam za dużo rzeczy". A może położyłam ją na „Książki o tym, że mam za dużo książek"?

Kiedy właściwie refleksja nad nadmiarem przedmiotów, w którym żyjemy, sama zdążyła zamienić się w nadmiar przedmiotów? Jakbyśmy funkcjonowali w jakimś urzeczywistnieniu mitu o Midasie, w którym wszystko prędzej czy później obraca się w produkt, gadżet i powerbank, a już chwilę później śmieci, śmieci, góry śmieci, które będziemy segregować za pomocą niezbędnych do tego segregatorów, segreterów, segregaczy i aplikacji smart-segreGo! Już do kolejnej edycji *Magii sprzątania* wydawca dofoliuje „organizer porządków" albo atomizer Mini Pronto. Ponieważ Marie Kondo woła na puszczy w świecie, który na każdy moment życia ma dla nas stosowne, zmieniające się co sezon kostium i wyprawkę, a każdy festiwal – pełną ulotek i gównoprzypinek torbę. A przecież produkty zawłaszczają nasze jedzenie, ubieranie, gody, seks, narodziny, chorowanie, umieranie – a także niejedzenie, nieubieranie, brak seksu i PLANOWANE dopiero narodziny. Ale nie tylko je – bo jeszcze zespół niespokojnych nóg i suchość oczu, różne potrzeby daleko bardziej subtelne i jedynie odrobinę niepotrzebne. A jeszcze cały sektor produktów do kupowania innych produktów – czyli magazyny o zakupach – choć właściwie które czasopisma nie są teraz o zakupach? Przecież niemal całe „Panie", „Sukcesy" i „Obcasy" to wyliczanki rzeczy, które można kupić. Na koniec produkty służące do fotografowania siebie z innymi kupionymi produktami – to już naprawdę perwersyjne… Poziom przyjemności, bezpieczeństwa, komfortu od dłuższego czasu zdaje się przecież nie wzrastać –

przedmioty mnożymy jedynie dlatego, że tworzą jakby rodzaj trójwymiarowego języka obrazkowego, którym wywrzaskujemy różne swoje baśnie i stojące za nimi tęsknoty, aspiracje, rozpacze, niespełnienia…

DZIE, T
NOWO
KTÓ
ODKRY
3
ZAWSZE PRZY MNIE
„Glacce bottles" to delikatne, ale przepiękne, szklane bidony, stworzone dla osób duchowych. Zawierają w środku kryształ w celu rewitalizacji wody. Dają niezastąpioną energię i dobre samopoczucie.

I w tym wszystkim nagle ta Kuba. Świat bez rzeczy.

Kompletna konsternacja. Bo dotąd, zwiedzając nawet ubogie kraje, przyzwyczajona byłam do pewnych standardów: autochtoni wiedli gdzieś tam to swoje nieróżowe życie, jednak w oazach dla turystów fontanny dobrobytu i toblerone, choćby i otoczone drutem kolczastym i kwarantanną, biły rytmicznie 24/7. A na Kubie nie chodzi o pieniądze czy niepieniądze, tu rzeczy i jedzenia PO PROSTU NIE MA. Żrąc buły, buły przekładane i garnirowane innymi bułami, przechodzę wszystkie fazy: niedowierzanie, zaprzeczenie, wreszcie kryzys, a po nim powolne godzenie się z losem, nawet pewna jego afirmacja. Na przykład odkrycie, że to, co początkowo brałam za wiecznie jedną i tę samą bułę, to różne rodzaje buł, zwodniczo do siebie podobnych. Buła słodkawa

i gliniasta. Buła sucha, z elementami grahamowymi. Buła wciąż mokra po tygodniu leżenia. To samo sandwiche. Ułudnie identyczne. W abnegacji myliłam sandwiche śniadaniowe z tymi obiadowymi i kolacyjnymi, a przecież podawane były o zupełnie różnych porach. Myliłam ryż z fasolą z ryżem z fasolą i solą... To wcale nie było to samo.

I tak z dnia na dzień dostrzegałam coraz więcej odcieni całej tej sytuacji. W obliczu niemożliwości rzeźbienia w codziennych aktach konsumpcyjnych, a i odseparowani od internetowych ułud, chcąc nie chcąc zdecydowaliśmy się po prostu na jedyny możliwy tu wybór: życie. W Hawanie wystarczyło wyjść na ulicę, a już jego gorące, obsesyjnie ruchliwe cząsteczki kompletnie uderzały nam do głowy. W liściach fikusów buszowały kolorowe ptaki. Pod wielkimi drzewami gniły złożone w darze dla lokalnych bóstw kury w siatkach, świńskie łby patrzące wzrokiem „mnie to już naprawdę wali" i kiście bananów. Wrzeszczały natrętnie klaksony *taxi colectivo*. W krzywych budkach dekapitowano kurczaki. W tym samym czasie zza płotu wyskakiwał jakiś gruby kogut i biegł przed siebie rzeczowym, pospiesznym krokiem, jakby wracał po zapomnianą z domu altówkę... Cuchnęło spalinami. Podkoszulki szarpał wiatr. Klaksony! Bulwar, zza którego spienione morze wpadało wprost do miasta, zalewając przechodniów i samochody. Wieżowiec Girón, gigantyczny kawał omszałego betonu, wisiał nad dzielnicą jak skała nad piknikiem; cały zrobiony z chytrych prześwitów jak rajtuzy prostytutki, przez które prześwitywał lazur zwariowanego morza. W bramach jakieś pokątne siłownie, w których sztangi łamały się jak trawa. Dalej galeria handlowa, ponury przybytek o charakterystycznej architekturze zubożałego promu kosmicznego. Dewizowy sklep spożywczy, asortyment symbolizowany przez wielotonową partię wietnamskich ciastek typu markizy i dramatyczny smród zepsutego mięsa. Wieczorami zaglądanie w okna. W postkolonialnych willach wysokie mieszkania zmyślnie przedzielone na pół, więc w dolnej części widać głowę dziadka gotującego ryż z fasolą, a nad nią sufit i nogi kogoś, kto zamiata podłogę.

Z perspektywy namiętnego życia, które tam wiedziemy, życia, w którym bezustannie zatyka nas z jakiejś niemożności, z jakiejś obsesji, wzburzenia, bo przecież już jesteśmy odzwyczajeni ŻYĆ, a tylko

oglądamy, przeglądamy, scrollujemy bezustannie jakieś tam rzeczy na tych wytłuszczonych ekranach… więc nagle ZATRUCI gęstym, śmierdzącym, wrzaskliwym dzianiem się tych ulic, tych placów, parków, nie możemy już uwierzyć w Warszawę. Że gdzieś tam jak cmentarzysko migocze w ciemnościach neonami swoich arkadii, swoich złotych tarasów, obwieszczającymi nonsensowne promocje, obniżki, kolekcje. Że potrafimy błądzić po niej całymi dniami wraz z innymi zombie, szukając budulca na swoje bowaryczne pożal się boże światki, scenografie, w których potem występujemy nieudolnie, udając jakieś coolowe osoby z reklam H&M-u. Dzień po dniu uderza nas coraz wyraźniej, że przedmioty, gadżety, bajery, systemy, technologie dały nam tak wiele, ale zabrały coś kluczowego.

Życie. To po nie przyjeżdżają tu zachodnie wampiry, kraść tę cielesność, erotyczność, staminę. Ostrzykiwać się tą gorącą, żywą krwią; patrzeć, jak ludzie tu chodzą, jak tańczą, jak krzyczą, jak żyją. Tanio ćpać te wesołe, błyszczące ciała, barterować je za zombiczne zachodnie pieniądze, za które z kolei te ciała kupią sobie zaraz maki i smartfony.

Choć widać też gołym okiem, że Kuba robi bokami jak chuderlawa szkapa wlokąca przez Guanabo chrypiący soundsystem. Przez dziurawe burty wciska się zgniły Zachód. Tam gdzie można złapać jakiś wątły internet, w parkach i przy dużych hotelach, gromadzą się pionierscy smartfoniarze. Wygląda to zupełnie nadzwyczajnie w tutejszym kontekście – gdzie w miejskim krajobrazie widoczne są wciąż prawdziwe nudy, letargi, impasy; ludzie, którzy po prostu analogowo siedzą, analogowo patrzą, szukając tematu, zaczepiając się nawzajem, grając w domino… Więc nagle ci z tymi smartfonami, odrealnieni, zahipnotyzowani, tłoczący się, łowiący w powietrzu coś niewidzialnego… Tu najlepszy ze światów pęka, rozszczelnia się i pewnie za parę lat m&m'sy, billboardy, fabryki-obozy pracy i niereglamentowane siatki zasypią go tak jak nas w latach dziewięćdziesiątych, zamieniając w tęczujący śmietnik.

W naszym mieszkaniu też widać już ten proces. Zrobione pod zachodnich turystów, obfituje w udogodnienia schlebiające naszym gustom i dziwactwom. Własne nieśmigane mydło. Kubki z napisem „Cappuccino" i rzecz zupełnie tu niewiarygodna: pojemnik na sztućce

z Ikei! Wielka lodówka Samsung; kiedy widzimy, ile miejsca zajmuje w sercu właścicieli, aż strach jej używać. Dostajemy też wieszaki, w tym jeden jednorazowy, taki po majtkach damskich. Śniadania będzie przygotowywać nam poczciwa sąsiadka, którą nazywamy pieszczotliwie Zumbitą.

Każdego dnia punkt dziewiąta kochana Zumbita w pasiastej sukni, zagubiona w lianach czarnych warkoczyków, zjawia się u nas, brzęcząc naczyniami i wykonując dużo gestów przepraszająco-łagodzących „Co złego to nie ja". W dłoniach ma wyplamioną serwetę koronkową, mogącą też być fragmentem firany, stary świątobliwy dzbanek z puttami i talerze każdy z innej parafii. Mówiąc bardzo dużo, Zumbita obdziela nas bułami i rzeczą niezwykle ostatnio luksusową, czyli jajkami. Podobno przed huraganem wybito wszystkie kury na wypadek, gdyby miały sczeznąć, przez co od wielu dni nie ma jajek. Jednak Zumbita skądś je dla nas sprowadza. Kiedy my jemy, stoi koło nas, patrząc, uśmiechając się, kibicując i machając, albo zmywa nasze naczynia proszkiem do prania i językiem ciała przeprasza za swoje podłe występki.

Bycie tutaj turystą to dla mnie w ogóle dość mdły kawałek chleba. Trzeba chodzić po różnych miejscach, w których Ernest Hemingway zrobił coś tam, powiedział coś tam czy wypił, i w związku z tym Kuba wystylizowana jest tam na eksterytorialny kraj Unii Europejskiej, mojito kosztuje cztery pesos i wszędzie panoszą się straszne, nudne do zrzygania, obwieszone aparatami białasy z plecakami Quechua. Całą sytuację ratuje fakt, że zamiast przewodnika Pascala mamy przewodnika Oscara. Ten humorystyczny, wykształcony w Szczecinie Kubańczyk jest specjalistą od budowy silników okrętowych. Pytałam Oscara, czy buduje jakiś silnik okrętowy, ale odpowiedział, że jeszcze ciągle się namyśla. Dużo razem żartujemy i Oscar robi wtedy zawsze charakterystyczny sztubacki unik, jakby ciągle był w Szczecinie na wykładzie z typów silników okrętowych i miał zaraz dostać od nauczyciela dziennikiem po łbie...

Nie napisałam jednak ciągle nic o naszej działalności kulturalnej, naukowej, intelektualnej. A my nie próżnujemy i śmiało wnikamy

w kulturalne struktury Hawany. Opowiadamy wszystkim o sytuacji w Polsce… o tym, jak skrzywdzono nas podczas wojny, lecz nie tylko, bo także wcześniej oraz później. Jak okrutni zaborcy próbowali depolonizować polskie dzieci, lecz te dzielne sieroty nie pozwoliły na to i wolały śmierć niż poddanie się kulturowej zagładzie!!! O tym, jak Unia Europejska bezustannie wyciąga od nas pieniądze i defrauduje je na jakieś lewe, nigdy nieukończone autostrady i brzydkie jak noc niepotrzebne nikomu budynki, tymczasem nasza cierpliwość się kończy i jeśli tak dalej pójdzie, będziemy musieli obłożyć inne państwa członkowskie sankcjami, karami finansowymi, a ostatecznie nawet wyrzucić Unię z Unii i być w niej sami! Tak może się to skończyć. Jednak nie zawsze każdego to interesuje. Tak było na przykład w centrum kulturalnym Dulce Maríi Loynaz, gdzie zostaliśmy zaproszeni na rodzaj… no właśnie nie do końca wiadomo czego.

Centrum ma siedzibę w podupadłej willi pisarki Dulce Maríi Loynaz, świeć, Panie, nad jej duszą. Nie znam jej twórczości, ale musiała chyba pisać jakieś kryminały i jeszcze mieć kontrakt z Mercedesem, bo chata około czterystu metrów kwadratowych, wysoka na osiem metrów. Wewnątrz parę miłych drobiazgów, teraz już trochę obłupanych z brylantów, ale mimo to ciągle z dużą ilością diamentów, topazów i szmaragdów… Różne rzeczy, których my z S. w domu w ogóle nie mamy. Czyli fortepiany. Czyli gobeliny japońskie, wazy chińskie, schowki na niewolników, schody marmurowe, a nie jak nasze z najlichszego drewna.

Ale oto zostajemy zaproszeni do gabinetu dyrektora… DYREKTORA. (I teraz jak pomyślę sobie o tych wszystkich mydłkach, których spotykałam w Polsce na każdym kroku, a którzy koło dyrektorów nawet nie stali, nie leżeli! Wyświecony, wypchany na łokciach garnitur… tiki starego komucha, gesty mycia rąk podczas rozmowy o finansach. SWETER TURECKI! Szarość, szarość, po trzykroć szarość plus poduszka z kory odbita na twarzy!) Tymczasem ten dyrektor… Ni to stary krokodyl, ni to Neptun, ni to król plemienia. Fantastycznie wielki, czarnoskóry, z kolczykami, tatuażami, puklami siwych loków i w fenomenalnej koszuli, różowej jak kabriolet Barbie… Jak to jest tu w zwyczaju, spotkaniu asystuje, nalewając napoje, oglądając paznokcie

i czekając na jego koniec, śliczna sekretarka. Nalewa dyrektorowi do szklanki soku, a on fantazyjnym gestem słodzi go sobie wieloma łyżkami cukru.

– Cóż – mówi, ścierając rozlany na biurku sok ręką jak pęk kiełbasek…

Towarzyszą mu pisarze kubańscy… dwaj starsi goście. Jeden umie mówić po polsku „TAK”, co sprawia mu taką przyjemność, że chce ją bezustannie eskalować, powtarzając: tak, tak, tak w różnych tonacjach, barwach. A ma naprawdę szczęście, że trafił na poczciwych ludzi, bo nie chcę myśleć, co by było, gdyby trafił na jakichś skurwysynów, którzy by zabawiali się nim najokrutniej, zadając różne pytania. (Czy golisz się „tam”? Czy tolerujesz kurię? Czy wciągasz serial *Dom*? I tak dalej…) Ale my uśmiechamy się uprzejmie, także wtedy, gdy rozmowa schodzi na kulturę polską, którą nasi interlokutorzy znają całkiem dobrze, bo w latach siedemdziesiątych abonowali pismo „Polonia”, i niemal na wyścigi, przekrzykując się, wymieniają teraz nam polskich pisarzy: Sienkiewicz! Andreh Ważda! Stefan Milos! No, no, no, Czoslew!! CZOSLEW MILOS! Co jednak ma z tego wszystkiego wyniknąć, nikt nie wie i każdy wygląda na trochę onieśmielonego tą niewiadomą, niepewnością, zupełnie nieograniczonymi, a z drugiej znów strony bardzo ograniczonymi potencjałami tej całej sytuacji…

Równie tajemniczy zdaje się wernisaż wystawy młodego hawańskiego fotografa, inspirowanej Stańczykiem. TYM STAŃCZYKIEM. Tym smutaskiem w czerwonym pijamalu! Jednak gdy my żartujemy sobie z pewnej niedorzeczności tego przedsięwzięcia, przed Centro Hispanoamericano gromadzi się coraz więcej osób… coraz więcej osób… Sztuka stańczykistyczna jest tu wyraźnie nurtem ważnym, popularnym, magnetyzującym publiczność. Pierwszy kongres stańczykologiczny w Hawanie można uważać za otwarty. Wzięci stańczykolodzy z San José. Ekscentryczny profesor stańczykologii z uniwersytetu trynidadzkiego.

Właściwie już zaraz po uroczystej inauguracji stańczykolodzy okazują się bardzo głodni. Wystawa, inspirowana Stańczykiem dość luźno, bo pokazująca jakby wymazy czy mikroskopowe ujęcia bakterii z jego kapoty, może poczekać. Hostessie z tacą towarzyszy osoba wspomagająca, odpędzająca najagresywniejszych, najwprawniejszych

w rozszarpywaniu przekąsek stańczykologów, drogą zasłaniania, odgradzania, pacania ich po chytrych łapach. Również wino musi być dystrybuowane w sposób powściągliwy, aby wernisaż mógł trwać dwadzieścia minut, a nie dwie. Ci stańczykolodzy to jednak niezwykle żarci specjaliści…

Po wielkim sukcesie konferencji zostajemy wyciągnięci przez sekcję polskich stańczykologów na clubbing. Panuje tu selekcja ostra jak w Piekarni w 2001: przy wejściu biurko z telefonem tarczowym; śmiałków wpuszcza urzędnik, po czym dopiero ochroniarz zatwierdza wcześniejsze ich prewpuszczenie. Co prawda słomki w mojito mają jawne ślady zębów poprzednich użytkowników, ale kosztują po piętnaście pesos, czyli tyle co nieumyta siatka z zerwaną rączką. Potem idzie się na lokalną pizzę w cenie podobnie niezawrotnej. Przed barem wisi wielka tablica wymieniająca wszystkie dodatki, których nie ma, co dosyć skraca proces wyboru pomiędzy pizzą z serem a właśnie tą pizzą.

Placków skwierczących w wielkim pradawnym żeliwnym piecu pilnuje kucharczyk w błękitnym polo, pod pachami – od lat słońca i potu – ma ceglastoczerwone plamy, jednak na Kubie ciągle kwalifikuje się ono do użytku. Tak jak złachane liberie portierów w windach albo kompletnie zrudziałe na ramionach mundury policjantów i kalosze zamiast oficerek. Pizzeria zdecydowanie jest bardzo popularna, choć nasi przewodnicy po Hawanie prawdziwej: Dorota, Hubert i Łukasz, twierdzą, że znacznie się ostatnio pogorszyła. No i już jakiś czas temu zginęło gdzieś radełko, więc pizzę trzeba jeść w całości. Wjeżdża ona na stół na blaszkach, jako serwetki towarzyszą jej pocięte na pasy kartki z drukarki. Jeśli chodzi o smak, to owszem, udaje mi się zjeść nieduży kawałek, ale jeszcze przez dwa dni czuję na wąsach i brodzie zapach sera żółtego siedemdziesiąt procent tłuszczu…

Może zresztą nie jest to wcale ser, bo w nocy przestaję czuć się aż tak świetnie… Desperacko chce mi się pić, wtaczam się do kuchni i odbiwszy się kolejno od wszystkich ścian, przytulny kącik znajduję sobie na podłodze. Jest mi tam wygodnie jak jeszcze nigdy, nieprzytomna, daleka, ciężka, leżę sobie na mięciutkich kafelkach. Widzę ary latające nad miastem, pogryzione słomki, cytrynki, widzę siebie malutką, leżącą w łóżeczku, tak że mama musi chyba wyjmować

mnie z niego pincetą; widzę S., który nachyla się nade mną, mówiąc coś bezgłośnie jak ryba. Taki mądry, tak rozsądnie mnie próbuje przekonać, że powinnam wstać, a już niedługo sam też zaczyna ślinić się i bełkotać. Ten dzień nie należy więc do specjalnie ciekawych, a następujący teraz akapit, w którym rozwlekle opisuję różne zwiedzone przez nas łazienki, różne widziane tam kafelki, armatury i terakoty, usunęła korekta jako przydługi i pełen błędów ortograficznych i składniowych, które w malignie popełniałam…

Ale kolejnego dnia już nieco podleczeni, a przynajmniej mogący chodzić i mówić, jedziemy do Trynidadu… Wiezie nas busik-taksówka razem z bandą młodych Hiszpanek, dwoma starymi holenderskimi bon vivantami i milczącym młodym Anglikiem o zrozpaczonych oczach, który, jak teraz myślę, prawdopodobnie jechał tam popełnić jakieś wyjątkowo wymyślne samobójstwo, na przykład dając się rozszarpać lokalnym taksówkarzom, sprzedawcom naszyjników czy osobom wciskającym mu do rąk menu. Widywałam go jeszcze na zapętlonych uliczkach – z mapą i przewodnikiem, i szalonymi oczami, chodził w kółko szybko i bez sensu, na nic nie patrząc. Ale wtedy, jeszcze w tym busie, droga nam się dłuży. Jest upał, paraautostrada jest nudna jak flaki z olejem i raz po raz grzęźniemy za jakimś koniem, traktorem, smrodliwym kamazem czy popularnym tu autobusem, czyli ciężarówką, w której na pace na ławkach siedzą ludzie. Wokół zielenią się chaszcze i dżungle, z których od czasu do czasu wyłaniają się niedorzeczne pomniki, zniszczone stadiony, opustoszałe wieżowce, niegdyś wesołe, a dziś niewesołe miasteczka w stanie daleko posuniętego rozpadu, pogryzione przez dzikie zwierzęta billboardy cytujące na przemian Che i Fidela.

Po drodze kierowca – młody Latynos w złotym łańcuchu, koszuli rustykalnej i znoszonych czarodziejach – niezwykle często się zatrzymuje, dokonując jakichś transakcji, interesów, przejęć, podmianek, zostawień jednych kartonów w krzakach, innych z kolei powzięcia. Ale jakoś wreszcie dojeżdżamy do tego Trynidadu. Dotychczas byliśmy w Guanabo i Hawanie, która oprócz wypreparowanych dystryktów dla turystów wiedzie swoje niezależne, wypięte na nich zupełnie życie. Tutaj – wręcz przeciwnie. To część turystyczna pulsuje, roi się i mrowi, podczas gdy wokół niej martwieje tkanka biednego jak mysz kościelna miasteczka.

W turystycznym centrum mieszkańcy włażą na głowy bogatym Niemcom, Włochom, Anglikom i Holendrom, próbując wycisnąć z ich portfeli tyle, ile się da, podczas gdy pozostali czekają na nich na obrzeżach w stuporze, półśnie, letargu. Wysadzeni na jednej z ciemnych, nisko zabudowanych, parnych uliczek jeszcze nie wiemy, że właśnie znaleźliśmy się w kubańskim Kazimierzu Dolnym. Pradawne

kamieniczki mają otwarte partery, więc można zajrzeć do środka. Tam każda rodzina ma coś w rodzaju wystawy swojego życia: najpiękniejsze meble, kwiaty, w złotych ramkach zdjęcia różnych krewnych z Miami. Życie właściwe, domyślam się, że nieco skromniejsze, rozgrywa się natomiast w kulisach tych teatrów.

„Italia?" „Alemania?" „Holland?" – krzyczą za nami ludzie. *„Polonia"* – mówimy na początku, oczywiście głupi jak buty. „Lewandowski!" – odpowiadają oni. Zmieniamy więc strategię. *„Italia"* – odpowiadamy, ale oni wtedy mówią: „Berlusconi!". Znają odzew na każde hasło. *„Holland?"* Sos holenderski. *„Alemania?"* Hitler. Mówiąc to, niezwłocznie przechodzą do wciskania nam do rąk jakiegoś szmelcu – okazuje się, że podczas tej pogawędki kupiliśmy od nich już różne rzeczy, teraz wystarczy tylko za nie zapłacić. Próbujemy uciec, ale z każdego rogu, zaułka i winkla wyskakują następni. *„Chicken is good, pork is good..."* – mantruje mi do ucha aksamitnie niskim głosem ubrana na biało Murzynka, ale z drugiej strony sypią się już inne propozycje, dzielące się z grubsza na podwiezienie (*taxi, taxi*), podwiezienie kiedy indziej (*taxi tomorrow*) i sekcję rozmaitości (*horses! waterfalls! horses to waterfalls!*).

Na początku nas to śmieszy, stopniowo jednak dochodzi do nas nasza kondycja zepsutego mięsa: nie możemy ani na chwilę usiąść albo się zatrzymać, bo od razu obsiadają nas ludzie i masują, masują, moszczą się na nas tymi łapkami! Gdy tylko gdzieś znużeni przycupniemy, dopada nas Silvio i zaczyna robić pokaz sztuczek: tu piłeczki, tam skrzyneczki, tu karty, kubeczki! Widząc to, sprzedająca jakieś amulety z jarzębiny babcia też nie chce się sfrajerzyć i przyłącza się do urabiania nas, od razu jak spod ziemi pojawiają się kelnerzy i wciskają nam swoje wodniste paramojito, a wszyscy pozostają w jawnej zmowie i ścisłej współpracy, i już siedzimy, a oni wymachują naszymi rękami, biegają naszymi nogami, kręcą naszymi głowami jak piłkami, cały czas naliczając za to jakieś opłaty. W dodatku zewsząd dochodzą te karaibskie plumkania i trele, na początku urocze, ale bardzo szybko nawet ktoś, kto umie liczyć tylko do trzech, może z łatwością policzyć wszystkie piosenki. Organizowany dla turystów spektakl ma bardzo krótkie nogi, ale jego aktorzy są nigdy niestrudzeni i właściwie mogą odtwarzać go bez końca, bo nie mają za bardzo nic

innego do roboty. Pod dworcem autobusowym koczują tłumy naganiaczy, gawędząc niespiesznie – gdy tylko pojawia się autokar, zrywają się jak stada wron. Już kawałek dalej, na mniej turystycznych uliczkach – jakiś straszny spokój, zawieszenie. Człowiek ogląda telewizję. Koń śpi. Pies szczy. Starowina stoi i się gapi. Facet obcina sobie paznokcie, a jego żona z córką się na to patrzą. Na plaży ochroniarze pilnują, by nie wchodzili na nią tubylcy.

Nie płakałam po Trynidadzie. Ale do Polski wracałam z pewnym żalem. W poczuciu duchowej odmiany, całkowitej resocjalizacji. Jeszcze nigdy nie czułam się tak obrzydliwie bogata, jak po powrocie z Kuby. Mieszkanie – może tylko odrobinę zapuszczona rezydencja Carringtonów. Siatkami cygara sobie możemy podpalać. Przepych, rozpasanie. W lodówce dwa keczupy. BOGACTWO. Na tym jednak korzyści się kończyły. Ciemność. Internet. Między betonowymi fortecami przemykają ludzie. W metrze znacząca cisza, każdy gra w kulki. Zakupy. Samochody. Zero muzyki. Alienacja, samotność. Zupełnie nierealne, że jeszcze chwilę temu szliśmy sobie beztrosko, szczęśliwi i żywi, żywi jak nigdy.

Szycie

Nigdy niesyta awantury, swojego czasu zapisałam się na kurs szycia. Dzięki temu spędziłam wiele godzin w fascynującym świecie szwów, lamówek, zamków krytych, wiskoz, zaszewek, karczków biodrowych i włączonego na półgłośno Radia Plus. Wykroje „Burdy" objawiły mi się jako ponadpisywane na sobie dziesiątki map; map westymentarnych skarbów, które mogą nie zostać przeze mnie odnalezione nigdy. Ale samo zanurzenie się w plątaninie linii, wśród których wprawne oko potrafi namierzyć rękaw lub odszycie dekoltu, a moje widzi tylko bełkot rozpełzających się zarysów i zmylonych tropów, już przyprawiało mnie o poczucie niemożności, obezwładniającej pokory i konieczności uznania swojej całkowitej bezradności wobec tajemnic kroju, konstrukcji i mody.

Jeszcze kręciło mi się w głowie, a już na stoły wjeżdżały bele tkanin; brzydkie żorżety, których nie szkoda na niewprawne ręce uczennic; już oko dręczyły desenie kojarzące w przykre, ale rozsądne małżeństwa kwiatki i kratkę albo jakieś gorejące błędne maziaje, zwane tu „picassami" („podaj mi tą w pikasy"). Oszpilkowane w intymnych miejscach manekiny i slalomujące wśród nich szykowne krawcowe – które w swoich świetnie skrojonych i dopasowanych kostiumikach tak bardzo różnią się od nas, dziodów, strachów na wróble w banalnych, nieforemnych projektach z sieciówek. Standaryzowanych łachach pasujących na każdego i na nikogo: za luźnych w łydkach, a za ciasnych w kroku, pijących w nadgarstkach, bułkujących się na piersiach; zwisami i deformacjami tkaniny drwiącymi sobie z ciała ludzkiego, że narodziło się tak niedoskonałe, rarogowate, nieprzystające do surowych wymogów H&M-owej rozmiarówki.

I choć rzeczy, które uszyłam, nie włożę ani na bal debiutantek, ani na rozmowę o pracę, to kurs bardzo zmienił mój stosunek do odzieży. Co innego wciągać bezmyślnie co rano bluzkę kupioną za równowartość obiadu, co innego skonfrontować się z niegramotnością własnych rąk,

które stają okoniem nad wdaniem głupiego rękawa albo na kwadranse zawieszają się nad jedną kieszenią. Tymczasem wielkie fabryki tłoczą, tłoczą, tłoczą, małe rączki szyją, szyją, szyje chylą się w mozole nad lichą bawełną, zapełniając H&M-y i Bershki bieżączką, która po kilku praniach nadaje się tylko do mycia okien. Jako że od pierwszych zajęć wiedziałam, że moje wysiłki i starania krawieckie niejako SYSTEMOWO naznaczone są bezsensem, zajęłam się obserwacją zawiązującej się podczas nauki wspólnoty.

Choć ta nie formuje się też od razu. Początkowo osiem kobiet w wieku czterdzieści minus dystansuje się do siebie w różnych zwyczajowych oględnościach. Podczas przedstawiania się, może ze względu na wchodzącą już w odruch ochronę danych osobowych, prawie każda mówi, że „pracuje w firmie". Sześć z nas pracuje więc w firmie, dwie są z dziećmi w domu, jedna wychowała się w Irlandii, jedna ma ciągle zdjętego adidasa, bo ją boli noga. Choć pierwsze gadki szmatki przy ekspresie do kawy idą topornie, to atmosfera stopniowo się rozluźnia, a praca zaczyna wrzeć. Godzina za godziną pochylone, skupione przy robótkach, nieświadomie odtwarzamy figurę „kobiety przy krosnach".

W Radiu Plus pada wciąż ten sam zeszłoroczny śnieg; siedzimy ze szpilkami w ustach, tylko od czasu do czasu którąś zakołysze nagle strumień wiecznie zielonych evergreenów; z ust wyrwie się tęskne, bezwiedne „Mój sokole gromowładny" albo mimowolne, rzeczowe „*na na na na – poker face!*". Między nimi pierwsze poszukiwania płaszczyzn porozumienia, pokrywających się gustów czy uwarunkowań; tak właśnie zrazu nieufne, powoli zaczynamy konstytuować się w grupę. Nieodzownym elementem tego procesu stanie się zaś wspólne jedzenie słodyczy.

Czym dla grup spotkaniowych w *Antropologii codzienności* Rocha Sulimy podawane z ręki do ręki, przechylane, odwracane i ostukiwane butelki piwa, tym w naszej ściśle damskiej grupie są ogrywane na różne sposoby bułeczki, rogaliki, karpatki, „leśne mchy" i ciasta marchewkowe. Inne, „powszednie" produkty spożywcze przynoszone na kurs – wędliny, sałatki, zupki ekspresowe, napoje energetyzujące i bagietki z pobliskiej Żabki – konsumowane są na boku, chyłkiem.

Występne, obfitujące w zbrodniczy gluten, tłuszcz palmowy i sacharozę słodycze podlegają natomiast obrzędowym podziałom i komuniom, a towarzyszące im rozmowy i śmichy-chichy rozlegają się w ustalonych sekwencjach. Cukier ma jakoby subtelne działanie sedatywne, ale jest t r a n k w i l i z a t o r e m niewątpliwie bardziej metaforycznym niż alkohol. Jak pisze Sulima, spożywanie tego ostatniego przez grupy mężczyzn stanowiło (i chyba wciąż stanowi) „swoistą manifestację bezinteresownego b y c i a, szczególnie wyrazistą w czasach realnego socjalizmu, jako kontestacja zasady «każdy człowiekiem pracy»". Otóż NIE KAŻDY! – krzyczy swoim zachowaniem grupa spotkaniowa. Analogicznie cukrowe libacje kobiet to gremialne zawieszenie obsesji wokół ciała w czasach REALNEGO PERFEKCJONIZMU.

Słodkości, obłożone zdrowotną ekskomuniką i wyegzorcyzmowane (przynajmniej deklaratywnie) z codzienności, stają się tu rekwizytem anarchii. Wspólny występek przeciw restrykcjom dietetycznym integruje grupę, a śmiechy i pogwarki zmieniają status grzechu ze śmiertelnego na lekki. Tu znów nasuwa się paralela z grupami spotkaniowymi. Bo tak jak początkujący „spotkaniowcy", aby wkupić się w grupę, podkreślają osiągnięcia w piciu, ilość wypitego alkoholu i czas, który na to poświęcili, tak jedzeniu słodyczy przez kursantki towarzyszą podobne „przechwałki": hiperbole własnego rzekomego łakomstwa („Ja to nie zaczynam w ogóle, bo jak zacznę, to nie skończę") i licytacje na żarłoczność („Ja to jak wezmę ciastka, to od razu paczkę", „To jeszcze nic, ja to..."). Nieobca jest tu też idea „składki", „zrzutki" – delicje są systematycznie pieczone lub kupowane przez kolejne ochotniczki, a starania aprowizacyjne podejmowane z intuicyjną symetrią i w nawoływaniu do sprawiedliwości.

Przy i po konsumpcji padają nieodmiennie żarty o tyciu, biodrach i konieczności uszycia szerszych rzeczy, następują narzekania na bycie bardzo grubą. Co ciekawe, podejmują się ich, czy to w ramach solidarności, czy też nie chcąc ściągnąć na siebie gniewu bogów, również adeptki krawiectwa niemające żadnego problemu z tuszą („Ty to jesteś bardzo szczupła" – mówi koleżanka do kursantki o zjawiskowej figurze. „To się tak zdaje, mam straszną dysproporcję między talią a biodrami" – zaklina się kursantka, składając prewencyjną samokrytykę na składkowym ołtarzu Kościoła cukrowego).

Chwilami zdaje się, że kurs szycia to imadło, ściskające nas z dwóch newralgicznych stron. Jedna to konieczność ciągłego konfrontowania się z „burdową" rozmiarówką – probierzem NORMALNYCH, PRAWIDŁOWYCH rozmiarów ciała: na każdych zajęciach trzeba zmierzyć swoje poszczególne obwody i długości kończyn i wpasować je w te z tabelki („Jak to, wychodzi mi 38?? Nie chcę 38! – mówi jedna z kursantek, na pograniczu trochę udawanego, trochę prawdziwego płaczu. – Ja spodnie zawsze kupuję 36!"). Druga to gremialna negacja tych absurdalnych pomiarów, a przynajmniej chwilowe zagranie im na nosie, którego aktem jest wspólne łasowanie. Pozostałe żarty na kursie dotyczą lenistwa (na przykład o kupnej bombonierce mówi się:

„Poczęstujcie się, zobaczcie, jakie pyszne upiekłam, ale się napracowałam!") i stanowią popularne (znane między innymi z T-shirtów) deklaracje o byciu niegrzeczną dziewczynką, jędzą, heterą („Z czarnych rzeczy to jeszcze mam czarny charakter").

W tym czasie niedojedzone wypieki leżą na paterze, pełniąc funkcję wiecznego ognia; mamią, magnetyzują, kuszą i grożą jednocześnie. Na koniec prowadząca kurs nauczycielka – niby kapłanka – zamyka węglowodanową mszę serią kojących stwierdzeń afirmujących kobiety w ich słabości i niedoskonałości („Słuchajcie, takie jesteśmy: każda inna, każda piękna"; „Słuchajcie, nie ma ideałów. Każda ma coś"; „Umówmy się: my jesteśmy fit i koniec kropka").

Ta inspirowana femvertisingiem, potoczna samoakceptacja jest w pakiecie, jest częścią rytuału. W ten sposób co zajęcia wykonujemy pełen wspólnototwórczy obrót na diabelskim młynie cielesnego terroru: „Powinnaś być szczupła, chuda, bardzo chuda, żadnych obrzydliwych dysproporcji między talią a biodrami! Bo jesteś za gruba, ale od czasu do czasu daj się ponieść przyjemności, spraw sobie odrobinkę niekontrolowanej rozkoszy, na którą zasługujesz, bo w końcu jesteś piękna taka, jaka jesteś, fit i koniec kropka. Tylko trochę za gruba, więc weź się wreszcie w garść i ściśnij się nią mocno. A potem wyluzuj". Wyposażone w ciastka i torty oraz wszelkie narzędzia do poszerzania ubrań po konsumpcji słodkości, bierzemy się do dalszego szycia.

Innymi tematami poruszanymi w jego trakcie są dzieci (imiona, charaktery i zwyczaje, w kogo się bardziej wdały, wspólne oglądanie zdjęć), ciągły brak czasu, nowinki medyczne i toksykologiczne (co podobno jest trujące, co jest najgorsze, co gdzie wykryli, ile czego jest podobno w czym), ból głowy („Chcesz? Mam ketonal") („Najlepszy apap forte") („To z odwodnienia, wypij szklankę wody, od razu ci przejdzie, zobaczysz"). Dalej: bieżące wydarzenia społeczne lżejszego (niezapalnego) kalibru, sposoby na urodę i przede wszystkim – co będzie nas tutaj najbardziej interesować – jakość odzieży powszechnie dostępnej w sklepach.

Ta, jak wiadomo, jest niska. Podczas rozmowy integracyjnej, próbując wyjaśnić swoją motywację do nauki szycia, niemal wszystkie kursantki

wymieniły bylejakość rzeczy „sklepowych". Złe kroje, tandetne tkaniny i wykonanie, powypychane kolana i łokcie, konieczność wiecznego dopasowywania, wysokie ceny. Jedna z kursantek miała za sobą epizod pracy w sieciówce – często była powoływana jako ekspertka, mogąca potwierdzić z „wewnętrznej" perspektywy niską jakość popularnych wyrobów tekstylnych.

Ta rozmowa również prędko nabrała cech fatycznych: wspólne przechodzenie wciąż od nowa przez te same, uznane już argumenty nadawało naszym próbom krawieckim jeszcze większego sensu i mocy. Nie mogłam też im nie przyklasnąć: i ja dopiero co kupiłam sobie w znanej sieci sweter, w którym po pierwszym praniu ukazała się tajemnicza, niezgodna z prawami fizyki dziura. Oburzona niosłam go do reklamacji, całą drogę powtarzając gorzkie słowa, które wykrzyczę w twarz sprzedawcy, gdy ten odmówi jej przyjęcia. Jednak mężczyzna przebrany za nastolatka nawet nie podniósł na mnie oczu; wziął sweter i rzucając go na kupę podobnych, wybrakowanych egzemplarzy, polecił mi wybrać sobie coś w tej samej cenie. Patrzyłam z niedowierzaniem. Ledwie odcięłam od niego metkę – tę pępowinę łączącą go ze światem fabrycznej nieskazitelności – a już leżał na hałdzie szmat. Do zmiany statusu wystarczyły dwa dni. I jedno pranie. „Cóż, sprzedajemy tu śmieci, ZDZIWKO?" – mówiłaby może mina sprzedawcy.

Gdyby miał jakąś minę albo w ogóle na mnie spojrzał. Z głośników dudniła muzyka taneczna. W powietrzu unosił się upojny zapach perfum. Blade manekiny miały twarze bez rysów i ręce w bezradnym obwisie; wracały właśnie z brutażu, jutro jadą na Hel na kite'a, pojutrze do Berlina na koncert Swansów. Prezentując jednorazowe ciuchy, w których możesz przebrać się za kogokolwiek; kogoś, kim najbardziej nie jesteś. A potem jak bandyta po akcji, jak złodziej po napadzie na bank tożsamości, wyrzucić je do pierwszego napotkanego kosza. Szyte za ułamki centów, nie mają właściwie żadnej realnej wartości. Tej ostatniej nabierają dopiero, gdy ktoś dopisze do nich marketingową baśń, podinscenizuje ją, puści stosowną muzykę i chmurę perfum. Albo chociaż umiejętnie o nich opowie; słowami jak zaklęciami nada im cechy, których być może wcale nie posiadają. Hokus-pokus – i oto woda

szytych w Bangladeszu za bezcen szmatek zamienia się w cenne wino NAJNOWSZEJ KOLEKCJI.

Sposób konsumpcji odzieży zmienił się radykalnie w ciągu paru ostatnich lat – widać to gołym okiem. Cykle rynku skróciły się i rozmnożyły; paradoksalnie właśnie teraz, gdy pory roku zanikają: jest tylko wielomiesięczny listopad, a potem niekończące się upały. Tymczasem w sieciówkach z dawnych dwóch sezonów zrobiły się raptem cztery, a potem osiem; popyt na nowości właściwie się nie kończy. Sezony, śródsezony, przedwyprzedaże i powyprzedaże; kupujemy ubrania coraz tańsze, coraz szybciej przeceniane, dawno poza naiwnymi, archaicznymi kategoriami niezbędności, użyteczności, trwałości, „porządne, starczy na długo" wcale nie musi tu być zaletą; każda nadmiernie trwała rzecz ruminuje po szafie jak wyrzut sumienia; stara, nudna i ciągle taka sama rzuca cień na zakup nowej, innej, lepszej. Coraz częściej chodzi nam przecież o sam akt kupna – czasem nawet nie trzeba zakładać czy używać, wystarczy wejść w posiadanie. To irracjonalne. Ale w przymknięciu na ten fakt oka pomagają nam marketingowe nadbudowy: opowieści, teatry, mające przywabić nas w wykreowane światy, rozbudzić nasze marzenia i aspiracje.

A te są naprawdę rozmaite. Odpowiadają na różne potrzeby, odpowiadają na ich brak. Świecące pustkami butiki domu handlowego Vitkac przypominają KOŚCIÓŁ DROGICH RZECZY: buty i akcesoria, torebki spoczywają na atłasach i uroczystych postumentach, odpowiednio oświetlone, niedotykalne, wyniosłe, osamotnione w gablotach, przeszkleniach, kubikach, tabernakulach. Strzegą ich wyelegantowani, samotni, mówiący językami konsjerże, pogrążeni w półkomie jak strażnicy w Zachęcie: tu sakralnie zdejmą pyłek, tam przesuną butem chodniczek. W grafitowych półmrokach pustych korytarzy czają się straże, a wystrój sklepów przypomina swoim przepychem grobowce, piramidy. Do jeszcze większego uwznioślenia aktu zakupu zaprzęgnięto literaturę – szyby Vitkaca zdobią najprawdziwsze wiersze:

Mroczny Vitkac tkwi więc w samym rozgorączkowanym centrum Warszawy niewzruszony jak skała, jak świątynia: cicha, pusta, wonna, tajemnicza. Do wysokich, niedostępnych dla zwykłych śmiertelników cen doliczone są stosowne kwoty za wszystkie te dygnięcia, ukłony, choreografie, pracę asystentów, czujne muśnięcia ich czystych pachnących palców. Tymczasem już kilka ulic dalej w TK Maxxie przy Marszałkowskiej podobnie wykwintne ubrania wiszą na zbiorczych wieszakach z charakterystyczną ulotką „ich cena: 1028375047 zł, nasza cena: 199 zł". To żer dla skner: te same przedmioty, ale po odliczeniu teatru i wierszy Adama Zagajewskiego. Wyrwane z kontekstu wycyzelowanych kolekcji i rzucone w chaos, podrapane łakomymi pazurami łowców okazji, przeczołgane po ikeowskich torbach stylistek i kostiumografek, włóczone po podłogach studiów produkcyjnych, nierzadko wypaprane pomarańczowym podkładem i z powyrywanymi guzikami, kieszeniami, w których ktoś zostawił bilet ZTM i nie wyjął go przed zwrotem. W głośnikach Brodka i Podsiadło.

Całkowitym rewersem tych światów może wydać się zlokalizowany na załamaniu Ochoty i Włoch zabałaganiony bazar Bakalarska, gdzie przenieśli się sprzedawcy z dawnego stadionu: Wietnamczycy i Afrykańczycy, Kirgizi i Ormianie. Tu w burdelicznych alejkach pachnących chemikaliami do klejenia sztucznych rzęs i paznokci hybrydowych piętrzą się ubrania w stanie rąbanki, sprzedawane bez żadnych aranżacji i inscenizacji, nieraz wprost z chodnika; z kopy, z wora, nakładane łopatą.

W nieosłoniętych kulisach walają się niezidentyfikowane szczątki ludzkie; obite korpusy nagich manekinów i ich zdekompletowane giry z kryminalnymi śladami lasotaśmy. Wybebeszone torby sumki prezentują odzież w stanie surowym, pastewną bezkształtną masę tekstylną prosto z fabryk – dając ciekawy wgląd w to, czym jest moda bez słów, które wpisywałyby ją w jakiś nęcący styl życia. Tu nie ma poezji na witrynach, nie ma nawet witryn, akt sprzedaży zaś odbywa się w języku ciała albo w polskim zdekompletowanym i porąbanym jak tutejsze manekiny: pani, kup, spodnie, spodnie fajne, spódniczka, kup fajne. Samorobne etykiety anonsują SKAFETY i PODKOLONOWKI, a zdobiące ubrania napisy stanowią cudowną, niezamierzoną kpinę z zachodniej neurozy marek: firmuje je parzące się między sobą, upośledzone potomstwo znanych projektantów: Galviny Cluiny, Chluiny Kalwiny i Calculiny MacKalkuliny. Same zaś kroje i tkaniny z typowo orientalnym okrucieństwem miksują zachodnie trendy w modowe frankensztajny, mutanty, parodie.

Nisko, najniżej plasują się w hierarchii te ciuchy bez opowieści: tekstylne bękarty, dzieci śmieci. Wystarczy jednak parę słów (no, może trochę więcej) (paręset) (parę tysięcy słów), by najtańsze nołnejmy zamienić w MARKOWE PRODUKTY W NAJLEPSZYCH CENACH. Jak? Na to pytanie odpowiadają nam z kolei katalogi firm wysyłkowych Atlas for Men i Personal Shop, które od czasu do czasu wypadają z „Gazety Wyborczej".

Już same ich nazwy tworzą aurę szeroko pojętej ZAGRAMANICZNOŚCI; wnosząc po perwersyjnie niedbałych fotomontażach imitujących sesje zdjęciowe, dostępność rozmiarów XXXXXXL, a także wytłuszczonym na każdej stronie numerem

telefonu („łatwe zamawianie!”) – kierowane są do osób starszych albo w inny sposób wykluczonych z bardziej oczywistych obiegów konsumpcyjnych.

Byłożby to analogowe Zalando – tylko zamiast wirtualnego koszyka mamy tabelki, kupony, przelewy pocztowe, telefaksy, które z zakupu sześciopaku gaci robią niemalże akt notarialny. Sprzedawane w gazetce „Personal Shop” ubrania zdają się nijak nie odbiegać krojem ani jakością od tych z Bakalarskiej. Różni je wyłącznie to, że OPOWIEDZIANO O NICH, dołączono do nich narrację. A właściwie ją zaimitowano. Rozbuchane opisy i specyfikacje pełne są sformułowań takich jak: „Bliskość luksusu – w super ofercie”; „Buty w kolorze koniaku stworzone dzięki włoskiej pasji – stwarzające wrażenie już noszonych”; „W środku jest tak miękkie, jak Twoje najwygodniejsze spodnie do biegania. Nie będziesz chciał ich szybko zdejmować”; „Damski sweter z efektem strukturalnym”; „Te modele to gwarancja najlepszego wyboru!”; „Stylowe bokserki przekonują nieporównywalną miękkością tkaniny”; „Szeroki pas sprawia, że bokserki są niezawodnymi towarzyszami na każdy dzień”.

Twórcy dotarli do granicy, za którą bez problemu można sobie wyobrazić zanęty w rodzaju: „Dwie nogawki czynią spodnie jeszcze wygodniejszymi”; „Rękawy stanowią zrównoważone środowisko dla ramion”; „Praktyczny dekolt umożliwia wygodne umieszczenie głowy w bluzce. Swobodne oddychanie!”; „Przyjemna tkanina z miękkiego materiału”; „Bluzka do noszenia”.

Fake sięga tu tak daleko, że nawet tandetny katalog imituje katalog, a pusta narracja – narrację. Słowa krzaczą się i tautologicznie gliczują jak komórki nowotworowe. Promocje imitują promocje.

A jeden z oszałamiających prezentów powitalnych – PIĘKNY DESIGNERSKI ZEGAREK – prezentuje zagadkowe miasta takie jak: RIO (po prostu Rio) albo chociażby tajemnicze (może ktoś słyszał, był, nie wiem) Jumeau. Fatamorganiczny charakter przedstawionych światów nikomu tu nie przeszkadza. Liczą się „optymalny komfort noszenia w każdej sytuacji" i „kołnierzyk stabilny wymiarowo".

Bo wcale nie chodzi tu o TREŚĆ tej opowieści; już sama jej obecność sprawia, że nabywanie „koszul w popularną szkocką kratę" Henson & Henson, sztruksów z bawełny Royal Quest czy też „nieprzemakalnych polarów" z kolekcji Góry Skaliste jest teraz jeszcze większą przygodą!

A co do zegarka, uwidacznia się w nim jeszcze jedna ciekawa, coraz śmielej moszcząca sobie miejsce w potocznej świadomości konsumenckiej kategoria – „designerskość". To dziwne słowo wytrych otwierające serca (portfele) ludzi, którzy są już znudzeni sztampą, fabrycznością, masówką – chcą czegoś zindywidualizowanego, niemasowego, ZAPROJEKTOWANEGO specjalnie dla nich przez

PROJEKTANTÓW. W ten sposób designerskość (czyli, za słownikiem: wizualna oryginalność, niepowtarzalność) rozszczelnia się i upowtarzalnia, tworząc zaskakujące schizofreniczne fuzje trendów w rodzaju Gosia Baczyńska dla Rossmanna albo młodzi łódzcy projektanci dla Biedronki.

Na tym tle zaskakującą oazą sensu wydają się lumpeksy; te obozy przejściowe dla niepotrzebnych już ubrań, które się opatrzyły, zawiodły. Wyszły z mody, zniszczyły, ich właściciel wyjechał, zmienił osobowość, styl albo płeć, utył, schudł, a może po prostu oddał łyżkę. Hurtem przywożone tirami z innych rzeczywistości, są chaosem, który na powrót próbuje się uporządkować.

Wzruszające są tu wysiłki sprzedawczyń, które oddolnie ze zdekompletowanych, rozszczepionych elementów tworzą naiwne autorskie kolekcje, układy i ustawienia hellingerowskie, kierując się kluczem kolorystycznym albo szukając innej pierwszej z brzegu logiki tam, gdzie jej nie ma.

W tej narracji też ważna jest światowość. Używane ciuchy są z „Zachodu”, ze „Szwajcarii” i z „Londynu”. Wydaje się, że te ich zagraniczne proweniencje to nie tylko wabik na spragnionych światowych trendów – od dłuższego czasu przez europejskie kraje przetaczają się przecież te same tkaniny i fasony. Może więc

„szwajcarskość” i „angielskość” w jakiś sposób odczynia biologiczną intymność używanego już przez kogoś ubrania: dezaktywuje wyobraźnię co do pochodzenia ciucha; szwajcarskie plamy z dżemu i krwi są jakby łatwiejsze do zniesienia? Albo lepsze, elegantsze, bardziej cywilizowane? Niewątpliwie używane ubranie ma silny ładunek metafizyczny: gdzieś w splotach tkaniny, pod pachami koszuli, po kieszeniach czai się mniej lub bardziej metaforyczna substancja byłego właściciela. Oto koszula, która oblekała czyjeś plecy, oto kurtka, której kołnierz ktoś stawiał w chłodniejsze dni, tak jak my, gdy zerkamy w lustro przed wyjściem. To prowadzi nas do kolejnej, skrajnej już kategorii odzieżowej: ciuchy znalezione w przestrzeni publicznej.

Myślałam o niej ostatnio, mijając na ulicy spodnie damskie rzucone w nienaturalnej pozie na betonową donicę. Nie zdążyłam się nadziwić, a już parę kroków dalej kolejne spodnie damskie pozostawione na chodniku. Skąd raptem tyle spodni wałęsających się samopas, bez nóg, po moim mieście? Z doświadczenia wiem, że odłowieniu

i przygarnięciu takiego bezpańskiego ciucha do własnej garderoby towarzyszy specjalny, głęboki dreszcz, dreszcz loterii życia. Wszystkie zgubione przez nas na imprezach szaliki i czapki, porwane przez morze okulary, porzucone u kochanków skarpetki, zdeparowane rękawiczki przepadają na zawsze w odmętach świata, wirach miasta, jeżdżą same tramwajami, lądują w śmietnikach albo dnach szaf i tam transformują, transformują, mutują się, dzielą, przeliczają i nie wiadomo kiedy wyskakują nagle na naszej drodze w zmienionej postaci, czy to torebki zawieszonej na drzewie, czy tejże ślicznej, niezwykle praktycznej śródsezonowej puchóweczki bez rękawów…

Kursu nie ukończyłam. A oto i dlaczego: w dniu ostatniego zjazdu uszyłam połowę spodni, wieczorem były urodziny „Dwutygodnika", nietrudno się domyślić, że w niedzielę nie wstałam w ogóle na zajęcia. Być może połówka spodni kuśtyka teraz po jakimś kontenerze czy wysypisku jak zombie, pozostawiona w tym okrutnym bardo niedokończenia, a porządne spodnie Atlas for Men z DWIEMA OSOBNYMI WYGODNYMI NOGAWKAMI wyśmiewają się z niej, dokuczają najokrutniej. A ja też błąkam się dalej po świecie, ani mądrzejsza, ani głupsza, umiejąc (albo raczej wcale nie umiejąc) uszyć spódnicę ołówkową, poduszkę z zamkiem krytym, sukienkę i pół spodni, i ciągle tylko tyle mojego, że potrafię to wszystko opisać.

En route

Zawsze miałam się ku fudze histerycznej. Już w dziecięcym szale potrafiłam wybiec z mieszkania na ciemną klatkę, choćby tylko po to, żeby błąkać się pomiędzy filodendronami, wpijając się pazurami w dermę drzwi sąsiadów, płacząc i lamentując. Albo w urazie koczować pod zsypem, czekać, aż któreś z rodziców zreflektuje się, że jednak może jeszcze się im na coś w życiu przydam, i przyjdzie wywieść mnie z niewoli wściekłości i wrzasku. Podróż jako gest niezgody, negacji, może nawet oskarżenie rzucone domowi i jego regulaminom, obowiązkom, nudom, rutynom. Czy moje tegoroczne wielkie tournée jesienno-zimowe znowu nosiło takie znamiona?

Raczej nie. Choć pod względem intensywności, słabej koordynacji, chaotyczności przemieszczeń – na pewno tak, po trzykroć tak. Moi nieliczni, policzalni na palcach jednej ręki bez niektórych palców, ale za to zdeterminowani stalkerzy nie mieli łatwego życia. Już wakacje były intensywne, zrobiliśmy sześć tysięcy kilometrów, jednak tak naprawdę wszystko ruszyło we wrześniu. Zaczęło się niepozornie od Ciechanowa, potem Hiszpania: Segowia i Madryt. Göteborg, a po powrocie: Poznań, Wrocław, Olsztyn. W Mińsku niby byłam trochę dłużej.

I w Mińsku naprawdę mi się spodobało. Mieszkałam w hotelu Belarus, wyglądającym jak przeterminowana gigarakieta, która nigdy nigdzie nie poleci, ale za to jak góruje, jak przytłacza, w jak imperialnej erekcji sterczy, rzucając cień na wielki, pusty, wybetonowany park. Moim hitem był czynny do rana penthouse, chadzałam tam usiąść sobie z boczku przy śnieżnobiałym obrusie, skryć się wśród udrapowanych w łabędzie serwetek i zza nich patrzeć, jak pijane Wadimy i Losze w strojach oficjalnych (ale w ekspresowym tempie poluźniających się, dekompletujących, deoficjalizujących, pokrywających się morsem okruchów, kapek sosów i plam perspiracyjnych, w których szyfrował się cały przebieg wieczoru) bawią się do ruskiego techno w euforycznym świetle dyskotekowej kuli. Taniec odbywał się na schemacie koła:

mężczyźni, kręcąc biodrami, zmierzali rytmicznie ku jego centrum, by tam symbolicznie zawahać się i cofać znów fantazyjnym krokiem na swoje miejsca, dłońmi a to przygarniając, a to odpychając wyimaginowane obiekty. Nietrudno było o kolizję, jednak taka nie tylko nikomu nie wadziła, a nieraz jeszcze była pretekstem, by rzucić się na szyję ukochanemu kompanowi i całować, pieścić w odurzeniu jego wygolone odświętnie policzki, przylgnąć do niego całym ciałem i dyszeć w obojczyk; tulić mocno jego spoconą czaszkę do swojej, a nierzadko nawet w takim uścisku uciąć sobie drzemkę. Te heterogody tylko od czasu do czasu przerywały czujne, wystrojone ni to małżonki, ni to matki, wparowując na parkiet i holując takiego delikwenta na pobocze, by tam przywołać go kilkoma technicznymi policzkami do rzeczywistości. (W tym hotelu też pierwszy raz od dawna widziałam karaluchy. Mam nadzieję, że ostatni. Dochodzę do wniosku, same w sobie nie są obrzydliwe. Dopiero ta sataniczna, umykająca ślamazarnemu ludzkiemu oku szybkość czyni z nich wysłanników piekieł).

Z kolei znów sklepy odzieżowe, sklepy zabawkowe, domy towarowe. Ślepe manekiny z dłońmi wzniesionymi w nieodgadnionych gestach, i odpychających, i zapraszających jednocześnie; tak samo pełnych dystyngowanej rezerwy, jak dziwnie lubieżnych; niekoherencje emocjonalne, na które może pozwolić sobie wyłącznie istota posiadająca nadgarstki o obrocie trzystu sześćdziesięciu stopni. Perfidnie brzydkie zabawki w foliowych worach, na których widok przypomina mi się dzieciństwo, ostry flauszowy zapach uszu misia.

I te śniadania. Takie śniadania mogą być wyprawiane tylko w rzeczywistości, w której gdzieś w powietrzu wiszą ciągle jeszcze fabryki, zakłady, kombinaty, kołchozy. To są te skale, skale totalne, stołówki na tysiąc ludzi, długie rzędy bemarów, w nich góry, kopy, masywy najlichszej paszy; porąbane siekierą ogóry, sine jajka na twardo, wygotowane z rozumu szaroróżowe kiście serdelków, słonin, wiechcie boczków. Na końcu zaś najważniejsze – departament tortu; Białorusini to fanatycy tortów. (*Białorusini to fanatycy tortów. Pół kraju zajebane tortami, najgorsze. Średnio raz w miesiącu ktoś wdepnie w leżący na ziemi tort czy torcik i trzeba wyciągać w szpitalu. Druga połowa kraju zajebana Tortem Białoruskim, Światem Tortu, Supertortem itepe. Co tydzień Białorusin robi objazd po wszystkich cukierniach w mieście, żeby skompletować wszystkie tygodniki o tortach*). Więc wcale nierzadko widuję ten zestaw na talerzach współbiesiadników: serdelek i marcello albo: płachta słoniny, tort Sachera plus kopczyk sałatki Olivier, jak kropka po wyjątkowo zmyślnym zdaniu.

A w stołówie zawsze pełno. W całym hotelu pełno! Ciągle jakieś zjazdy. Więc jednego dnia: sami popi. Każdy rodzaj popa, jaki istnieje: pop gruby, pop chudy, pop poprzeczny, podłużny, mieszany. Innym razem: wyelegantowani wuefiści z Kazachstanu w czarnych lśniących kamizelkach, obwieszczających kolorowymi literami nazwy klubów sportowych. Żyrandol w holu wielkości pokoju! Kryształowy! Basen z mozaiką współczesną. Recepcjonistki. Dwudziesto-, dwudziestopięcioletnie, ale już genetycznie tak wściekłe i surowe, że nie baw się przypadkiem przy nich długopisem, nie dotykaj mapki, której wyraźnie TOBIE NIE DAŁY, nie hałasuj rączką walizki, nie wyjeżdżaj poza ramkę w karcie pobytu pod groźbą wyjścia zza kontuaru

i przypierdolenia ci grubym jak wąż strażacki postsowieckim warkoczem.

To Mińsk. Ale potem znowu dzień po dniu: Wrocław, Katowice, Toronto. W dodatku wybuchły strajki LOT-u. Był overbooking, byłam chora, opóźnienie rosło i rosło, koczowanie na lotnisku. Znużeni czekaniem pasażerowie wyjmują coraz więcej rzeczy, coraz więcej jedzeń, książek, ubrań i właściwie kiedy w głośnikach wybrzmiewa ogłoszenie, że jednak lecimy, to już moczą nogi w miednicy, już zakładają przyłącze gazu i zmieniają wykładzinę przy naszym gejcie. Ja po kolejnym theraflu w jakimś osobnym stanie jaźni, wyciszona, pogodzona, biernie unosząca się na falach wzburzenia i podminowania innych oczekujących. Bo wtedy czułam już wyraźnie, że rozbijam jakiś bank, przekraczam pewien Rubikon, za którym podróż przestaje być ekscytującą odmianą, awanturą, a staje się moim obiektywnym statusem. Tak, podróż stała się moim domem. A ja ją inhabitowałam. Zamieszkałam w podróży, stałam się lokatorką autobusów 128 i 175, obywatelką Okęcia. (Już znałam na pamięć snujące się tam typy: międzygalaktycznych nomadów czekających na transfer. Mamuśki lecące z wałówką do synów na wyspy. Panie wracające do Chicago. Smukłych szwedzkich biznesmenów w nieskazitelnych garniturach, z blackmirrorowymi pulsomierzami, monitorami wellnessu i synchronizatorami rozwoju personalnego; diody pulsujące cały czas na ich bezprzewodowych słuchawkach. Zawsze też pracownik fizyczny z Litwy z konopnym wąsem, w mokasynach do dresu i z całym życiem w jednej torbie sportowej. Prince Polo za osiem złotych, książka KAŚKI Nosowskiej, stare zdezelowane krokodyle w gablotach, brzęczące klamry zdejmowanych pasków).

Toronto… W Toronto jak to w Toronto. Oto progresywne społeczeństwo, w którym pisarza traktuje się z należną mu specjalną troską i nadopiekuńczością, dbając, by się nie zgubił, nie znudził, a przede wszystkim by nie zgłodniał. Nawet na wycieczce autokarowej do Niagara Falls dostajemy torebki z prowiantem (soczek, jogurcik, wafelek, jabłko), a potem panie pionizują nas, wiedząc, jak ważne po karmieniu pisarza jest porządne odbicie i zapobiegnięcie w ten sposób ulaniu czy bolesnym kolkom.

Również życie towarzyskie jest tu sztucznie zapładniane i moderowane: oprócz licznych obiadków, cateringów i przyjęć co wieczór w hotelowym penthousie odbywa się party. Ja – wiadomo – maniaczka, kolekcjonerka penthouse'ów z jak na razie jednoelementową, ale prężnie rozwijającą się kolekcją, jestem tam pierwsza, i już smalltalkuję, już zagaduję o rzeczy, które kompletnie mnie oczywiście nie interesują, już wygłaszam zdania krągłe i stosownie banalne, ale z mogącym zaczepić uwagę interlokutora „złamaniem" („O, a dlaczego tak uważasz?"), już to dokładam cyfrowego drewna do parakominka, który jest projekcją płonących szczap. Ponieważ ten penthouse, tak jak i miński, stanowi kompleksową fantazję o bachanaliach, tylko z innego obrządku kulturowego: nieceniącego sobie tak bardzo łabędzi z serwet, kul i tańców w kole, za to mającego inne fiksacje. Przestrzeń zaaranżowana jest więc nowocześnie, na luksusowe mieszkanie rapera, rapera z *Klanu*. Wszystko udaje tu wszystko: kompozyty – drewno, asymetryczne kanapy i porcelanowe farmazony – design, fabryczne obrazy – sztukę współczesną. Całość udaje przyjęcie – jednak byłby to jakiś szczególny rodzaj przyjęcia bez gospodarza, z samymi tylko pisarzami udającymi (wyjątkowo słabo) rozbawionych gości (bez generalizacji, ale rzadko są to osoby ładujące się z modelkami do jacuzzi i podpalające cygara studolarówkami), snującymi się neurotycznie po pokojach udających pokoje.

Kluczowe jest to, że gdy wracałam, negocjacje LOT-u z pracownikami wcale nie miały się ku konsensusowi. Wręcz przeciwnie: przebukowywanie, opóźnienia, bieg przełajowy przez lotnisko we Frankfurcie; wróciłam do domu późnym popołudniem, a już następnego dnia o dziesiątej rano miałam pociąg do Krakowa. Więc znowu ten Kraków, nie mówiąc o tym, że po powrocie lecieliśmy od razu na Sycylię. To był nasz planowany od dawna urlop, zalecany przez amerykańskich naukowców wypoczynek aktywny: rejs, siedem wulkanów w siedem dni. Śmierdząc jeszcze w pociągu wulkanami: Bydgoszcz (tu bardzo wyraźnie pamiętam, że po przebudzeniu w nocy jestem całkowicie pewna, że znajduję się ciągle na jachcie, że czuję pod sobą zimne cielsko morza, pomiatające moimi narządami fale.

Wrażenie to utrzymuje się długo i wiele argumentów mi potrzeba, żeby zrozumieć, że wszystko to jednak jakieś za duże, za przestrzenne jak na kajutę, a Bydgoszcz ma spore szanse na dostęp do linii brzegowej, ale nawet przy obecnym galopującym tempie ocieplenia dopiero za jakieś dwadzieścia lat) oraz Łódź. (Ta ostatnia akurat 11 listopada i to pamiętam bardzo wyraźnie). Do Warszawy wracam późno, ulice wciąż nabuzowane są niedawną celebracją Święta Niepodległości; na dworzec przyjeżdża po mnie mój chłopak, by pomóc mi uniknąć niepotrzebnych znajomości.

Potencjał tych ostatnich jest duży: w okolicach Centralnego trwa swoisty karnawał, hordy już bardzo nacelebrowanych, ale ciągle niesytych młodych mężczyzn aktywnie szukają tam okazji do dalszej celebracji. Tak właśnie tkwiąc na przystanku, stajemy się świadkami spektakularnej bójki dwóch nawalonych typów z gościnnym udziałem równie nawalonej kobiety, która z kaskaderską brawurą z rozbiegu rzuca się to na swojego partnera („Kurwa, Dominik!"), zwanego dalej roboczo Dominikiem, to na jego adwersarza („Odpierdol się od niego, chuju!"), zwanego dalej Chujem. Alkohol drażni ego, podsyca wyobraźnię, obniża zwrotność i celność. Figury walki stają więc się coraz bardziej fantastyczne, inspirowane jakimiś widzianymi dawno albo wcale filmami kung-fu; kopy chybione, ale pełne zawijasów, bluzgi tak zawiłe, że nieartykułowalne grzęzną w rozbitych ustach. I w pewnym momencie, gdy żylasty Dominik drobi kogucimi kroczkami w kierunku Chuja, skupiony lub usiłujący się skupić, z pięściami gotowymi do powąchania, z głową jaszczurczo zwieszoną i wysuniętą, widzę, po prostu widzę – to znaczy wiem, że nie widzę – ale NIEMALŻE widzę REPTILIAŃSKI GRZEBIEŃ na jego karku, przysięgam. (Ciekawa też jest postawa nas, zwykłych ludzi stojących na przystanku, którzy obserwujemy to wszystko znużeni, spoglądając na telefony, wymieniając zmęczone spojrzenia, w jakiejś beznadziei czy może właśnie nadziei, że zaraz wybuchną z głośnym bum! wśród swędu siarki, zostawiając tylko nadpalone wylinki). Wreszcie koniec; jeszcze kilka kontrolnych bluzgów i szamotanin i dziewczynie udaje się wepchnąć repti-Dominika do przejścia podziemnego. Chuj za to wraca, jakby niepewien wyniku, licząc na opinie, recenzje, gratulacje, uwagi

techniczne, wyrazy solidarności. Nie doczekawszy się ich, zaczyna aktywnie szukać rozmówcy, powiernika, u którego mógłby zdeponować swoją narrację o tym, co się stało, intuicyjnie opowieścią próbując kontynuować to, czego nie mogły skończyć zmylone etanolem pięści. I oczywiście kogo wybiera, nie muszę mówić („Ale wykurwiłem mu, mordo, aż mnie ręka jeszcze boli, całą pięść mam zdartą, takiego dzwona dostał, mordo").

Tułaczka jest dziwnym stanem ducha. Percepcja zmienia się: droga rwie rzeczywistość na strzępy, obrazy, refleksy, wrażenia. Rzeczy dzieją się w pośpiechu, chaotycznie, niedożyte i niewybrzmiałe; kumulują się, ale nie tworzą żadnej opowieści, fluktuują w pamięci jak stłuczone szkiełka w kalejdoskopie, składając się za każdym potrząśnięciem w inny kształt.

Tułaczowi nie rosną rośliny w jego ogrodach, tułaczowi więdną bukiety rzucone obok kolejnej koszmarnej torby festiwalowej (katalog, dziesięć ulotek, plakietka, przypinka, tomik niechcianej poezji, broszura, krówka, koszulka za brzydka nawet do spania) na hotelowe łóżko. Łóżko, które spowija zawsze ciasno sztywna opalizująca kapa, wetknięta rękami pokojowej pod materac tak mocno, że cierpną nogi. (Casus Waldemara Bawołka, który na tegorocznej Gdyni codziennie przeklinał swoje łóżko, samościelące się, gdy tylko opuścił pokój. „Kolejny raz mówię jej, aby mi nie ścieliła! Ale nie, kurwa, wracam i znowu pościelone, i znowu wetknięte"). Waldemar, rzadko ruszający się ze swojego domu w Ciężkowicach, okazał się szczególnie cięty na hotelowe udogodnienia, świadomy swojego prawa do nieposłanego łóżka i zaciekle go broniący. Jego emancypacja w tej kwestii wydała mi się tyleż zaskakująca, co odkrywcza. Bo pozornie sytuacja, w której ktoś sprząta po nas bezszelestnie, jest wymarzona. A przecież człowiek, którego obecności ślady bezustannie się usuwa, doznaje pewnego pomieszania; oderwany od ciągłości swoich działań, pozbawiony prawa do swojego barłogu, do swoich zaniechań i abnegacji. Ściera mu się i usuwa, sprawdza i uzupełnia poziomy, wymienia ręczniki czyste na czyste, puka się do niego i budzi go telefonicznie, nie pozwalając spokojnie abnegować, spokojnie gnić.

Świdnica. Po odczycie już chcę iść do hotelu, ale coś mnie kusi, żeby jeszcze zajrzeć na chwilę do kawiarni Teatralna. Tam zastaję seans stagnacji i zaniechania, w którym udział biorą trzej mężczyźni i ich jakby wychowawczyni, pani Jola. Razem melancholijnie gapią się w telewizor, który jak LED-owe ognisko pełga w ciemności niemrawym ogniem przestarzałych hitów (Metallica, Limp Bizkit, Bruce Springsteen, O.N.A.). Mężczyźni nabywają i spożywają swoje trunki metodycznie, sumiennie, w milczeniu, jakby wyrozmawiali swojego czasu wszystkie rozmowy, wysłowili wszystkie słowa, a teraz już tylko niespiesznie pozbywali się sił, usypiali w sobie plany i ambicje, ciekawość świata, resztki woli. Czuję się tam jak jakaś przemotywowana pracownica korporacji w leśniczówce w Złotopolicach: z tymi swoimi budzikami nastawionymi w telefonie na każdą możliwą godzinę, wiecznie ZAROBIONA, trafiam nagle w bezczas, próżnię, suspens, bezsens. Moi kompani mają trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat; oczy zamglone, nieczujne; zęby nieliczne. Te łagodne puste usta, niemowlęce albo starcze, nie gryzą, nie wpijają się w szyje przeciwników ani sutki kochanek, ale bezbronnie chłepczą z miseczek kolejne piwka i soplice. Do pani Joli mówią „Mamuniu". Niby żartobliwie, ale widać, że jest ona piastunką ich mizernej kondycji. Przy tej kobiecie starzy synkowie mogą gasnąć bezpiecznie, degradować się w kulturze i godności. („Być sobą, być tylko sobą, nic nie udawać. Pośmiać się, porozmawiać kulturalnie, nie fisiować, nie bluzgać jeden z drugim, bo myśli, że jest nie wiadomo czym" – mówi jeden z mężczyzn, afirmując spędzony wspólnie wieczór). (I wiadomo, że tylko ze wstydu nie dodaje: „Prawda, Mamuniu? Prawda, że dobrze im powiedziałem?")

Ze Świdnicy jadę do Ełku (tak: ze Świdnicy do Ełku). Podróż ta zajmuje mi dosłownie cały dzień. Jaką więc radością jest, gdy nagle podczas przesiadki na Centralnym przez szybę kawiarni dostrzegam tego starego farbowanego lisa, Janusza Rudnickiego, spożywającego kanapkę; i już życie nabiera znajomych, chaotycznych jak odcienie szamponów koloryzujących Londa barw. Już kawa, ładowanie telefonów, już squatujemy 1 Minute, już pożyczamy sobie wałki, wsuwki i grzebienie, już dyskutujemy, przekrzykujemy się, więc dwie godziny

upływają mi we względnej wrzaskliwej ekscytacji, ale co z pozostałymi jedenastoma, to przemilczę.

Gdy tylko udaje mi się uporać z Ełkiem, ciągnąc za sobą wszędzie charakterystyczny turkot kółeczek walizki na polbrukowych zagonach, jadę do Zielonej Góry. Z zalet tej ostatniej to to, że śpię w hotelu zlokalizowanym właściwie na dworcu – rano po prostu wychodzę z łóżka i wsiadam do pociągu; jeszcze tego samego dnia ląduję w Tbilisi (wyjeżdżam o siódmej rano zimą, jestem o drugiej w nocy wczesną jesienią). Nie myślcie, że kłamię, ale zawożą mnie do jakiegoś lekko przyrujnowanego pałacu. Budzi mnie rano śpiew papużek za oknem. Wieje wiatr, wysoko w powietrzu wirują kolorowe liście, zakutane babiny sprzedają pomidory i wiechcie ziół, żebracy modlą się głośno i teatralnie dygoczą w udawanej febrze. Piękni mężczyźni tłuką się po mordach w namiętnych bójkach z krzykami, płaczami, wyklękami skrzyżnymi. Jest dziko, nienormalnie, przepięknie, fanatycznie.

W drodze różnie bywa. Przeważnie fantastycznie, choć równie często okropnie; mało to razy wychodząc ciemnym świtem, rzucałam ostatnie spojrzenie na piękne twarze śpiących bliskich i miałam ochotę zawyć boleśnie nad swoim losem. Czasem dalsza tułaczka zdawała się już wprost niemożliwa, nie do wytrzymania, a wnętrza flixbusów i hotelixów U Luizy przebrzydłe; zdawało mi się, że jeszcze chwila i zacznę rwać tapicerkę w PKP, wskoczę w butach na kanapę i destrukcyjnie zacznę kręcić wszystkimi gałkami, ogrzewanie, światło, radiowęzeł!!!

Choć przecież zdaję sobie sprawę, że jestem tułaczem na swój sposób uprzywilejowanym: z noclegiem, z biletem, z obiadem. Najczęściej w obrządku jest jakiś sposób celebracji mojej osoby, czeka kierowca; jestem szanowną panią, panią Dorotką lub też po prostu PANIĄ. („Mordo, gdzie jesteś?" „Nie mogę gadać, wiozę PANIĄ". „Wzięłeś mi ten kabel USB, ten z kwadratowym bolcem?" „Nie, dopiero jadę". „No to ja już kurwa nie wiem". „Stary, nie mogę gadać, wiozę PANIĄ").

W każdym z tych miast czeka na mnie coś. Instytucje. Teatry, domy kultury, biblioteki. Osoby. Konstelacje osób. Społeczne mikrokosmosy. Czasem otwarte, czekające na gościa jak na zbawcę. Pazerne wręcz,

gotowe zassać go, usynowić, wziąć na zakładnika konfliktów, rozjemcę, świadka w sprawach rozwodowych, żyranta kredytów. Równie często hermetyczne tak, że relacja nie wykracza poza small talk, podpisanie umowy i samotny powrót do hotelu.

Tam spożycie sałatki bulgur z Żabki we wstrętnym pokoiku z widokiem na ścianę ostańca, z majaczącym we mgle wielkim neonem SALON MEBLOWY. (Ale zanim usłyszę: „Ach jej, a latte było? A na sojowym było?", powiem, że nie mam nic do sałatki z Żabki, a wręcz przeciwnie. Żabki, Rossmanny i Carrefoury wydają się ostojami bożego ładu, gdy wizytuję ich delegatury w kolejnych miastach, by czasem nawet nic nie kupić, a tylko zobaczyć, że wszystko jest mniej więcej to samo i w tym samym układzie. Żyjąc na walizkach, w walizkach, w przedziałach, żak expressach i apartamentach gościnnych, człowiek łapie się czegokolwiek, próbuje zbudować sobie jakąkolwiek przewidywalność). (Ale jest tak, jakby to robił w rytm piosenki *Push the Tempo* Fatboy Slima).

Przypomina mi się gorące popołudnie tego lata w Dusznikach-Zdroju. Na tyłach zdobnych kamienic, wśród chlewików, starych wózków dziecięcych i zmęczonych upałem kwiatów omy i starzyki chłodzą się piwkiem. Niespodziewanie – huk, harmider, hałas. W okienku na jednym z poddaszy dostrzegamy wielkiego mężczyznę w zapoconej koszulce żonobijce. Cały zgrzany, czerwony jak cegła wygraża on, wyrzeka i lamentuje, wywija pięścią, po wariacku eksplikuje swoje żale, doznane od ludzkości krzywdy i nadużycia, których ogrom nie mieści się w tym małym oknie i gwałtownymi falami wylewa na ulicę, nie spotykając się z żadną reakcją, z żadnym odzewem czy próbą empatii. I wtedy on, niezrozumiany, niewysłuchany, zbywany, zostawiony sam sobie, wskazuje na mojego chłopaka i w ostatecznej desperacji woła boleśnie: PROSZĘ CIĘ, BĄDŹ TAK SZCZERY i PRZYJDŹ TU DO MNIE! To uniwersalne żądanie, tak nagle klarowne i konkretne w profuzji wariackiego larum, ciągle brzmi mi w uszach. Bądź tak szczery i przyjdź tu do mnie. *Come as you are.* „Ehe, już idę!" – odkrzykuje mu przytomnie, mrugając do nas, jakaś kobieta wracająca z pracy i wybuchamy wszyscy śmiechem. I śmiejemy się, śmiejemy, śmiejemy głośno, bo tak

naprawdę płaczemy, płaczemy, płaczemy razem nad żałością jego, a może przede wszystkim swoją. Nad wieżą samotności, po której jak wariat tłucze się każdy z nas, nie mogąc się doprosić, by wreszcie ktoś wpadł do niego na herbatkę i powiedział, co tak naprawdę jest grane.

Droga zmieniła moje wyobrażenia o samotności. W drodze trzeba nauczyć się nią zarządzać, administrować. Co innego życie we wspólnocie, w swojej wynegocjowanej w niej roli, co innego wymyślanie się i ustanawianie co parę dni od nowa wobec zupełnie nowego otoczenia. Stopniowo, wyjazd po wyjeździe, zaczęłam widzieć zachodzące w swoim byciu względem innych ludzi zmiany; a może zauważyłam je dopiero, spotykając podobnych sobie literackich akwizytorów, którzy jeszcze wczoraj byli na Festiwalu Poezji w Mozambiku, dziś już na Conradzie, jutro w Bremen, a pojutrze na Spitsbergenie. Często artyści w drodze ulegają pewnej psychodyfuzji; widać ją w szybkiej likwidacji dystansów, zaskakującej łatwości obejścia, potoczystych small talkach, beztroskich aktach *„too much information”*, nadużywaniu swoich kompetencji społecznych. I ja też, taka zawsze *sometimes antisocial – always antisocial,* teraz wirowałam na parkietach, wskrzeszałam z popiołów gadki szmatki, animowałam party i moderowałam dyskusje, swatałam pary; gadałam, gadałam i gadałam, już nie wiedziałam, z kim o czym ani kto jest kim: czy te osoby są mną, a ja nimi, czy odwrotnie, jeszcze inaczej, nie wiem jak. Coś pękło i rozlałam się po tych wszystkich ludziach, a oni rozlali się po mnie.

Tak często byłam sama, ale niemal zawsze i wszędzie wpadałam na kogoś, z kim już zaraz czułam się blisko, kto zawierzał mi swoje sekrety i kompleksy, a komu ja zawierzałam swoje, kogo terapeutyzowałam albo kto terapeutyzował mnie. To, że nigdy się już prawdopodobnie nie zobaczymy, w niczym tu nie przeszkadzało, wręcz wzmagało jeszcze ten spontaniczny ekshibicjonizm, tak jakby trzeba było szybko nadrobić te wszystkie lata, kiedyśmy się wcale nie znali, a i tak do nadrobienia pozostawały ciągle te, kiedy się już nigdy nie spotkamy. Przyjaźń i międzyludzka bliskość rozkwitała na jedną noc jak kwiat paproci, tym bardziej wybujały, im bardziej nie dało się ani go zerwać, ani przesadzić, ani wziąć zeń odnóżki. (I tylko raz we Wrocławiu w jakiś okropny wieczór z nieklejącym się życiem towarzyskim powiedziałam

złośliwie do świeżo poznanego pisarza z Malty, z którym nie mogliśmy wyjść z kołowrotu nudnych small talków: „*See you in the next incarnation*"). (Już jakieś trzy tygodnie później wpadłam na niego w lobby hotelu w Kanadzie).

Ostatnim przystankiem mojej podróży była Moskwa. Jej władze tak dokładnie obwiesiły ją światełkami, gwiazdeczkami, kiśćmi i girlandami lampeczek, jakby iluminacje były częścią profilaktyki najgorszej od lat fali depresji, samobójstw i zbrodni. Całymi nocami przez okno naszego pokoju wpadała dziwna mlecznoniebieska jasność, dzięki czemu do pisania nie musiałam zapalać świecy i znowu ryzykować zajęcia się ogniem szlafmycy.

Choć wrażeń i przygód było znowu mnóstwo, to i tak naszą ulubioną rozrywką było chodzenie wieczorami do dyskontu Dixie. Jego kraina, bidna i niezbyt schludna, działała na nas jak magnes – intuicyjnie lgnęliśmy tu, gdzie nie obowiązywał obrządek turystyczny, szatnie, strażnicy, bramki i caffè latte, a liczyły się syr, suszone rybki, kompot z mirabelek oraz dwaj nikczemnej postury i urody ochroniarze. Nie sposób było nie zauważyć, że swoje role traktują poważnie i nie zwykli cackać się z takimi, co paczkę XL chipsów Moskiewski Kartofel wsadzają sobie pod polar i twierdzą, że są w ciąży. „Szukajcie innego frajera" – mówiły gibki, militarny krok, którym kłusowali alejkami, bojowe spojrzenia, a zwłaszcza dzierżone w dłoniach duże, pozlepiane przylepcem pejdżery, może nawet z możliwością emitowania promieni laserowych, oślepiania przeciwnika wiązką światła czy paraliżowania go za pomocą supernowoczesnej siatki ultradźwięków.

Wciągał nas też i magnetyzował podziemny świat metra: chmurne herod-kasjerki w sylwestrowych koafiurach, zaganiani kurierzy Yandexu, babinki w futrach niedawno ściągniętych z niedźwiedzi, dopiero co wygarbowanych, i brwiach świeżo powiedzionych czarną kredką. Szuby i lisy okalające twarze kobiet śliczne i pomalowane jak bombki; czerwone usta, opalizująco fioletowe powieki, kwaśny róż zmarzniętych policzków.

Mróz i zalegające ulice sztywne białe zaspy – to wszystko przypominało coś strasznie miłego, sprzed globalnego ocieplenia –

chrupanie śniegu pod kozakami, zapach kożucha, dymu z kominów i obieranych mandarynek. (Wtedy już zupełnie zaczęłam się czuć jak bohaterka jakiegoś s.f. z nutą PRL-owskich sentymentów, która weszła do zaczarowanej szafy i przez cały film błąka się wśród pogód, klimatów, ustrojów politycznych i czasów, wszędzie natrafiając na te same napisy „Coca-Cola").

Teraz już jestem w domu. Od nowa uczę się porządku codzienności, kształcę i pielęgnuję rutyny. Od jednej z pań bibliotekarek dostałam nawet (nie pierwszą, zapewniam, że nie pierwszą) „roślinę, której nie trzeba podlewać", dziękuję, z bożą pomocą zrobię, co będę mogła. (I tylko co jakiś czas, gdy na ulicy mijam autobus 175 z napisem „Lotnisko Okęcie", zamykam oczy i to jest jak słyszeć piosenkę jeszcze przed założeniem słuchawek; wiedzieć, co leci właśnie w słuchanym często radiu – wiem, po prostu wiem, kto nim jedzie). Na tych dwóch podwyższonych siedzeniach pytlujące niezrozumiale dwie wymalowane Tajki. Za nimi elegancka pani, sądząc po porządnych ciuchach, Brytyjka. Dwaj mnisi z gitarą. Gruby ciemny gość, przez ramię widzę nieidentyfikowalny dla mnie język na jego smartfonie. Farbowany żulik (jak wejdą kanary na Baleya – nie będzie miał biletu). Coś we mnie dalej jedzie, umysł pokątnie odtwarza algorytm fugi.

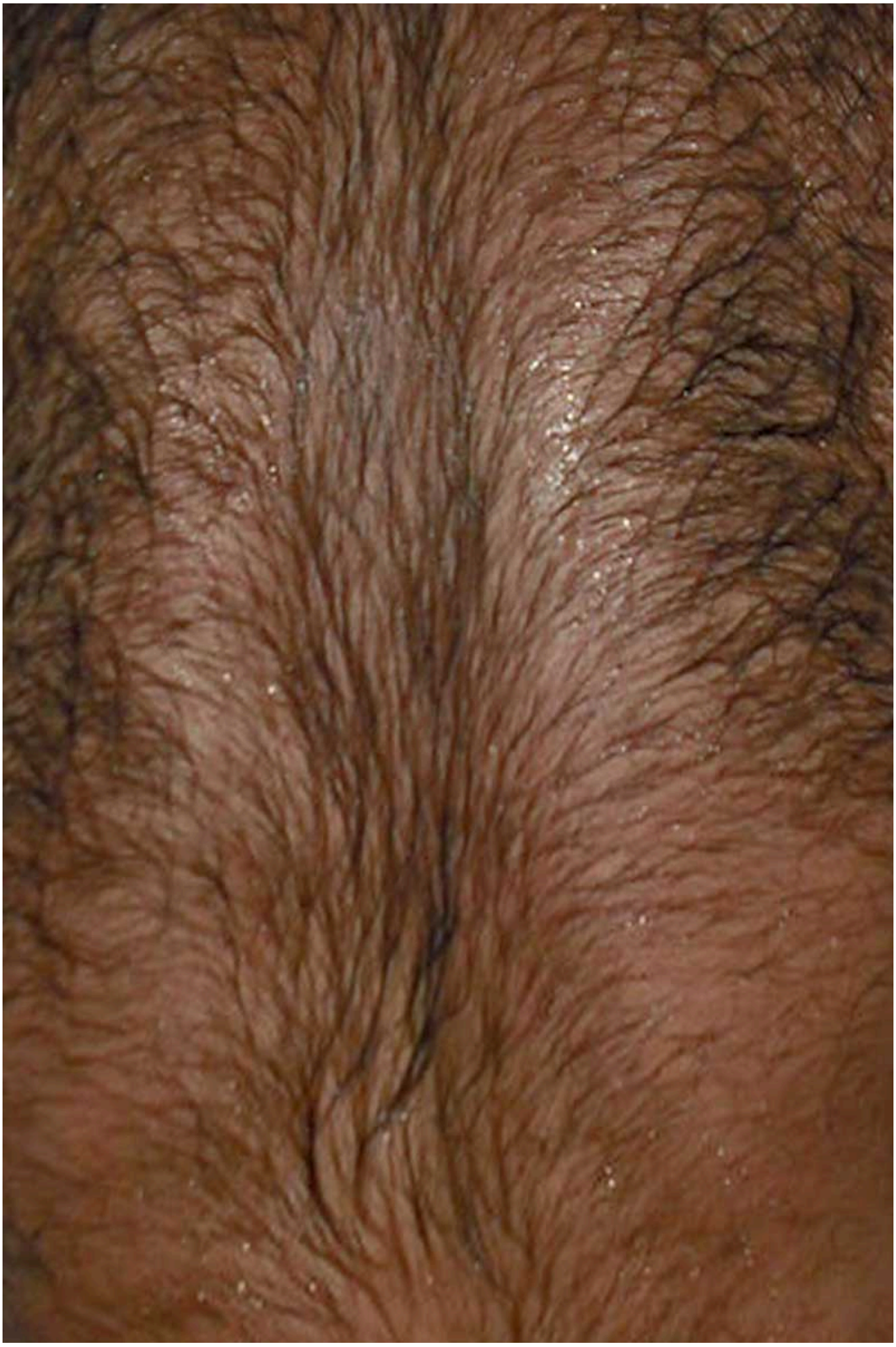

Gruziński mężczyzna w ogrodzie – szkic do portretu

Nuka ma ciężkie bakłażanowe powieki i spłoszoną twarz. W pośpiechu mopuje podłogi w zgrzebnych gościnnych pokoikach, ścieli czujnymi rękami łóżka. Prześcieradła i poszewki *made in Britain* z lat siedemdziesiątych, z falbanami, turniurami, bufiastymi rękawkami; po wchłonięciu jakichś wytwornych angielskich potów, krwi i łez zostały zesłane na wschód; teraz starannie odprane z zapachu lumpeksu wiodą drugie życie na tapczanach gruzińskiego guesthouse'u.

Nuka wygładza handmade'ową kapę zszytą z niezliczonych kwadracików płótna, wyciętych pilnie z sukienek, fartuchów, pościeli przez kogoś, dla kogo czas nie był pieniądzem, już albo i nigdy. Na wierzchu więc kwiatki i rzuciki wielkiej rozmaitości i różnego stopnia sprania i wyblaknięcia, a pod spodem wszyta pościelowa mapa świata, kontynenty w kolorach pastelowych jak rozlane lody. Nuka zmienia kostkę klozetową, dolewa do dozownika najtańszego mydła i pewnie słyszy, jak właśnie szczęknęła otwarta przez nas brama. Odgarnia farbowane na czarno szorstkie włosy jak wielki pęk pakuł, kładzie ręce na biodrach i nasłuchuje.

Jest bardzo gorące sierpniowe przedpołudnie, dopiero co przytelepaliśmy się z Tbilisi zwariowaną marszrutką. Rozklekotany busik serpentynował z przerażającą prędkością po szczerbatych drogach; parskał, słabł i omdlewał, drapiąc się pod górkę, by potem zebrać się w sobie i ryknąć jeszcze głośniej, jeszcze ochryplej i dalej tarabanić się przed siebie. I choć ciągle wydawało się, że nie zmieści się już w nim nawet Pchła Szachrajka, za każdym kolejnym zakrętem dosiadał się jeszcze jeden mężczyzna w obwisłych dżinsach eksponujących włochaty rowek, z płaską twarzą zbója, złodzieja pomidorów, porywacza arbuzów, gwałciciela lepioszek; skądś wyskakiwało kolejne krzesełko, a normy Unii Europejskiej zdawały się w tych okolicznościach czymś równie abstrakcyjnym co „Doskonałe maniery przy podwieczorku dla wicehrabiów i primabalerin"…

Wyładowaliśmy się na przelotówce i w nieznośnym upale wdrapywaliśmy się na górę ulicą; na asfalcie łajno w różnych fazach zaschnięcia. Rynsztokiem wartko toczyły się w dół płatki różnobarwnych kwiatów, pęknięte owoce, paczki po chipsach i plastikowe butelki; znak, że ktoś właśnie wyrzucił śmieci. Znaleźliśmy bramę naszych gospodarzy i wgramoliliśmy się z plecakami na podwórze.

– *Hello, my friends.* – Nuka słyszy pewnie tubalny głos witającego nas męża i obciera pot z czoła. Jest młodą kobietą, ale na twarzy ma już tysiącletnie zmęczenie i smutek. Smutek żony świra.

– *My name is Tony.* – Postawny, smagły, na oko czterdziestoletni mężczyzna ściska tymczasem nam wszystkim ręce, pytając o imiona. – *But I am one hundred percent Georgian* – dodaje szybko, gdy jeszcze się przedstawiamy jak muchy w smole tymi swoimi dziwnymi imionami, których i tak nikt nigdy nie zapamięta, a on już się niecierpliwi, już antycypuje pytania o swój nonszalancki angielski nowojorskiego taksówkarza. Który w pięciotysięcznym miasteczku w gruzińskich górach jest niewątpliwie zagadką, nie jedyną, którą bezskutecznie będziemy próbowali od tej pory rozwiązać. Tony informuje nas, że jego żona sprząta jeszcze nasze pokoje, więc na razie możemy razem z nim porelaksować się na ławce. *Relax, relax, relax, my friends. Sit down.*

Ławka jest samodzielnie zrobiona, o czym z dumą nas informuje.

– Tymi rękami, tymi rękami – pokazuje krzepkie, diablo owłosione przedramiona.

Dopiero poniewczasie dociera do nas doniosłość tego osiągnięcia: do pomalowanych na złoto, wygiętych lwich nóg przymocowany jest rząd sosnowych deseczek – fiksują je wkręcone gęsto, sterczące na pięć centymetrów pancerne śruby okrętowe. Naszpikowane nimi złote lwie gicze zespolone w makabryczną jedność z lichą sosną odsyłają wyobraźnię do wieczności: zdaje się, że nie rozdzieli tej bezsensownej trójki już nic, nawet Wielki Wybuch.

Tony rozsiada się na swoim autorskim frankensztajnie swobodnie, okrakiem, epatując nowojorskim luzem; sięga po foliówkę z grubo ciętym tytoniem. Jego twarz jest regularna i może nawet przystojna, ale… To skomplikowane. Jak zresztą wszystko. Pod różnymi kątami

i w różnych porach dnia, w różnych fazach haju i kaca będzie implikować bardzo skrajne skojarzenia, w których nie sposób się czasem połapać. Ubrany jest w dres i adidasy, a jego silne ramiona eksponuje koszulka żonobijka, obrębiona ledwie dostrzegalną nanokoroneczką, spod której bucha skłębiona czarna samcza sierść.

„Relax, relax, no problem, relax, my friends". Tony zatyka między wargi grubego skręta i swoim akcentem z Bronxu wtajemnicza nas w parę kluczowych faktów organizacyjnych i logistycznych. Zasadniczo mówi do mężczyzn, ale wy, baby, też możecie posłuchać, jeśli w ogóle rozumiecie, o czym tu mowa.

Więc od początku: grał w narodowej drużynie w rugby (na dowód wskazuje na dres, obwieszczający *„Rugby is our game*"), ale miał kontuzję kolana. To wtedy został alkoholikiem, ale wyszedł z tego, to znaczy teraz oczywiście pije, ale normalnie, jak Gruzin. Z nałogów zostało mu to palenie. Tego, cholerka, nie może przestać. Ale tak poza tym żyje tu totalnie organicznie… Jeździ konno. Poluje. (Tu, widząc nasze skonfundowane miny, przez chwilę się waha…) No poluje. Poluje! Są zwierzęta, to się poluje. Coś wam polowania złego zrobiły? *„Come on*".

Żona pytała, jak zamierza prowadzić tak guesthouse. Bez telefonu, bez internetu, bez komputera… Ale on mówi: jak ktoś chce ich znaleźć, to po prostu ich znajdzie, ot i cała filozofia. Angielskiego nauczył się sam. To znaczy, była taka Amerykanka… Przyjeżdżała tu uczyć. No to się nauczył… Ale co my tak tu?? O czym to my tu???

Za dużo siedzenia, za dużo ględzenia, za mało robienia. Tony nie znosi stagnacji, bezruchu. Zaczyna buszować po ogródku w jakichś niejasnych wysiłkach, mamrocząc błędnie: *„Organic! All nature*".

Jeszcze palimy papierosy, a już musimy jeść ogórki, które DLA NAS zerwał. Orzechy! Tak samo *organic*! DLA NAS. Gruszki, kurwa ich mać. Wszystko *organic*! Coś już przeczuwamy, coś wisi w powietrzu. Zdążyliśmy przywyknąć, że spotkani przez nas gruzińscy gospodarze i restauratorzy zazwyczaj prześcigają się sami ze sobą w serdeczności, ale przy tej jest jakaś gwiazdka, świecąca niezbyt jasno. Z prezentów są jakby niezdarte ceny. Spływające na nas łaski zdają się przymusowe; nieprzyjęte zdecydowanie psują gospodarzowi cały humor, cały

scenariusz, cały występ; zaczynają tykać cichutko jak nieznanej mocy bomby.

„I am tired, I am tired of you man! What's wrong with you? I am your friend, you are my friends – I am giving you everything I have, because I want you to feel good. COME ON. I am your host and you are my friends, so I give you all I have completely FREE!"

Hojny. Hojny i twardy, ale też delikatny, wrażliwy. DRAŻLIWY. Stara się, robi, co może, ale łatwo go urazić. Zrazić. Zranić, zniechęcić, zawieść. Po prostu wkurwić. Doprowadzić do szaleństwa.

Chcemy kupić wino od sąsiadów? OD SĄSIADÓW??! To jakieś żarty. Oni TU mają najlepsze wino w okolicy; spróbujecie, zobaczycie, najwyżej powiecie, że Tony was oszukał. Okłamał. OKRADŁ!

Chcemy iść zjeść coś w restauracji? Tony jest na pograniczu zawału. W restauracji! W restauracji to będziemy czekać: godzinę, dwie, trzy, może nawet cztery, zmarnują nam cały dzień i zmarnują nam życie! *„Come on, men!"* Nuka może nam coś zrobić w każdej sekundzie! Może dać nam miodu! Nuka, szybko, do kurwy nędzy! Dawaj tu, kurwa, miód. Dawaj miód.

Wycierając dłonie w fartuch, swoim pospiesznym krokiem przepracowanej kobiety nadchodzi Nuka. Wita się ze wszystkimi przepraszająco; w oczach ma nieśmiałość i miłe ciepło; potem przychodzi mi do głowy, że w języku jej ciała jest coś uniwersalnego: ciągły niepokój, zmartwienie. Niepewność kobiety związanej z człowiekiem chaosem, wrzaskliwym kapitanem wiecznie tonącej łodzi. To ona wylewa wodę za burtę, zatyka rękami dziury; dyskretnie, po cichu, by jemu mogło się wydawać, że steruje. Kompensuje, wyrównuje, podkłada kartonik pod chwiejące się stoły, gołymi rękami łapie spadające szkło.

Jego dominująca rola jest oczywista, ale co chwilę ją przyzywa, woła ochrypłym ryknięciem swoją żonę, matkę, kochankę i asystentkę, trochę na pomoc, trochę dla towarzystwa, trochę dlatego, że może; że nie wie, co robić, że się już męczy, nudzi tym wszystkim!!! *„What's wrong with you, people?"*

W przeciwieństwie do Tony'ego Nuka porozumiewa się wyłącznie po rosyjsku. Ta trapiąca małżeństwo rozłączność językowa odbija się na organizacji guesthouse'u, ustalenia z jednym nie przekładają się na to, co mówi drugie. Choć być może w tym szaleństwie jest jakaś metoda: myl, pal, pij i rządź. Słynny już angielski Tony'ego chwilami zdaje się *advanced*, innym razem buksuje na poziomie A1, by raptem znów, gdy pojawi się jakiś problem organizacyjny, zupełnie zaniknąć. Czasami zostaje z niego sam abstrakcyjny akcent, nie wiadomo, czy podsłuchany na jakiejś budowie, czy udatnie zmałpowany z dziesiątków filmów amerykańskich przez mężczyznę, który ciągle pali jointy i marzy, marzy, marzy o sobie i o rzeczach zdecydowanie większych niż prowadzenie jakiegoś tam guesthouse'u.

„Come on!" Użeranie się z jakimiś Airbnb i Bookingami… pojebanymi kontami, których, jak się okazuje, jest łącznie cztery. W związku z tym zamiast zgrzebnych trzech pokojów małżonkowie proponują światu pyszne dwanaście. Goście meldują się, ale miejsc nie ma; wpłaty wpływają, ale nie na te rachunki, co trzeba, ceny świrują zależnie od humoru gospodarza; a ten stopniowo traci do nas serce: naszych wpłaconych pieniędzy nie ma na koncie – obwieszcza nam z wyrzutem, gdy tylko wracamy z gór.

Jak to nie ma? Ano tak to. Tony nieufnie obraca w dłoniach dowód przelewu. Dowód dowodem, on tam nie wie, nie wnika, może płaciliśmy, może nie płaciliśmy. Tak czy siak, pieniędzy nie ma. Ktoś tu kogoś rucha. Trzeba zadzwonić do Airbnb.

– *No problem, relax* – powtarza Tony, chodząc nerwowo jak przed porodówką; kręcąc papierosy, wyrywając z ziemi ogórki i niebezpiecznie przyglądając się drzewom. – *I want you to feel good, relax. It's just money.*

Infolinie; tu trzeba zadzwonić, tam ktoś oddzwania, wszystko to trochę trwa, ale stopniowo sytuacja się rozjaśnia: pieniądze są, tylko po prostu na innym koncie niż to, z którego gospodarze korzystają.

– Aha… aha, aha – powtarza Tony w zamyśleniu, skubiąc podbródek. – No tak. No tak. NUUKA!

Kobieta natychmiast przybiega, wycierając ręce w sukienkę; na twarzy ma uniwersalne strapienie wilka z ruskiej gierki, który od rana

łapie jajka do koszyczka, a te wylatują z coraz bardziej niespodziewanych miejsc… Przez chwilę kłócą się po gruzińsku, brzmiąc jak powarkujące na siebie, pomstujące na wszystko psy.

– Do tamtego zapomnieliśmy hasła – obwieszcza rozbrajająco Tony. Patrzy na nas wyczekująco, jakby liczył, że może my je pamiętamy. Cóż. Airbnb obiecuje skontaktować się z gospodarzem i wyjaśnić sprawę.

Podczas śniadania Tony zawisa nad nami jak owłosiona gęsto skała.

– Zadzwonili do mnie o szóstej rano, nic nie rozumiałem, o co im chodzi! A jeszcze baba nastraszyła mnie, że zapłacimy karę sto dolarów! – skarży się ponuro.

Nieporozumienie rośnie, *language skills* spadają.

– *I don't understand anything!* – kapituluje w końcu Tony, chowając twarz w dłoniach, bo trzeba przyznać, że ma też chyba kaca. Ale widać, że rośnie w nim uraza. „Wasze głupie fanaberie, wasze pojebane aferki i jebane w dupę Airbnb mogą kosztować mnie sto dolarów!", zdaje się

wyrażać jego ciało. „Może dajcie mi je najlepiej od razu w gotówce i będziemy kwita". Jednak stara się nad sobą panować, bo generalnie jest przecież na maksa *organic all nature* wyczilowany, więc tylko *no problem, relax* – powtarza coraz bardziej złowieszczo, z urazą snując się za nami po ogrodzie.

Żal tylko tej Nuki, asystentki amortyzującej poczynania niewydarzonego księcia; agentki rozwydrzonego aktora wiecznie palącego się teatru... To ostatnie skojarzenie pojawia się, kiedy patrzymy z balkonu na ogród: kwiaty, ogórki, porzucone buty, wanienka dziecięca i samorobna konstrukcja do pieczenia kukurydzy... kolejny cud techniki domowej, po którym znać rękę gospodarza: silną, gorączkową, zaciekłą, ale szybko też nudzącą się monotonią głupiej pracy. *„Come on, men!"* Obok suszą się dresy *„Rugby is our game"*, outfit na kolację. To kostium Tony'ego, ogród to jego scena, a jego życie to *one man show*, który odgrywa co dzień przed swoimi gośćmi – widzami z łapanki.

Nuka wspaniale gotuje. Wieczorami na stół wjeżdżają góry dymiącego żarcia. Chaczapuri, adżapsandal, wszystko, co można sobie wyobrazić. Już się ściemnia. Od czasu do czasu przejedzie quad, przejedzie koń. Na tającej z upału uliczce dziadki w wieczornym zamyśleniu na skleconych z byle czego ławeczkach i dzieciarnia zahipnotyzowana nad smartfonami... Świerszcze huczą ogłuszająco... Tony przynosi z kredensiku wino, trzeba mu to przyznać, że wybitne... Z zadowoleniem słucha naszych pochwał, atmosfera na chwilę się ociepla, rozluźnia...

Ale na chwilę. Bo już tu czegoś nie rozumie. Już mu tu coś nie pasuje. Poruszony swoją rolą gospodarza, ale też trochę z nią niepogodzony. Usługiwać, posługiwać, otwierać, nalewać, dolewać... Sorry, to nie dla niego... Przysiada się. Zagaduje. No może nie aż tak zagaduje, tylko zaczyna gadać. Ględzi. Dość już tego sz-sz-sz-sz między sobą, teraz coś, kurwa, o nim! Powieki ma ciężkie, a bajerę nieklarowną: po wypaleniu gigaskręta został mu właściwie jakby sam akcent z Bronxu. By nie wyjść z roli, ciągle coś popija z plastikowej butli. Rozkręca się. Kręci papierochy, dwoi się i troi. Baje, prawi, klnie się i przysięga na Boga.

W tej opowieści Amerykanka, która jeszcze rano uczyła u nich angielskiego, teraz była jego żoną. Potem wylądował na pomarańczowej rewolucji. Na której był tłumaczem, strzelano do niego, usiłowano zrobić z niego szpiega. Jest byłym rycerzem, żołnierzem z Afganistanu; dawnym agentem, ekszczłonkiem mafii, transformersem w stanie spoczynku. Teraz tu, w tym ogrodzie, zdezaktywowany, na przymusowej emeryturze, dolewa jakimś przemądrzałym frajerom z Zachodu winka, ale jego przeszłe czyny są wielkie, a ich doniosłość cudownie nieweryfikowalna. Tony korzysta z tego, że nikt z jego gości nie może albo nie chce podawać w wątpliwość jego baśni z tysiąca i jednej nocy: ani my, ani samotna szwajcarska turystka, ani para holenderskich backpackerów. Dominuje nad tymi, którym nie wypada odmówić słuchania go, przytłacza zbyt grzecznych, by go spławić. Gaśnie dopiero, gdy Nuka przysiada się dyskretnie, niby dla towarzystwa. Choć nie rozumie angielskiego, to siedzi i czujnie obserwuje nasze twarze, ze skrzywień i z tików szacując stopień naszej irytacji.

Gao bu cheng, di bu jiu! – tak Chińczycy określają człowieka, którego nie stać na rzeczy wielkie, ale nie potrafi zadowolić się małymi. W pacyfikacji niespełnionego samca alfa, w powstrzymaniu go przed ruszeniem w rozpaczliwy destrukcyjny tan ma chyba Nuce dopomóc *kompanija*. Po zmroku w ogrodzie jak namnażające się bakterie pojawiają się koledzy Tony'ego: w ciemności widzimy ich sylwetki: duże, brzuchate, pękate albo właśnie chude, rachityczne, komarze.

Te nocne popijawki to chyba niemy kompromis, który Nuka zawarła z życiem: sprząta po kolacji, kładzie dzieci spać, słuchając błotnistych głosów, ględzących o jakichś zwycięstwach, które nigdy nie miały miejsca, w swoich opowieściach dokonujących rekonstrukcji nieistniejących bitew i bójek, zadających fantomowe ciosy nieobecnym wrogom, nokautujących ich ciętymi ripostami, które nigdy nie padły. Wtedy Nuka może czuć się bezpiecznie.

Niektórzy zdają się stałymi rezydentami. Rano, gdy wstajemy, ciągle jeszcze snują się po podwórzu, zamotani i bezsensowni. Jeden pije wodę z fontanny, a potem zalega na ławce frankensztajnie w skomplikowanej asanie kac-jogi. Drugi niespiesznie,

w profesjonalnym skupieniu nabija kolejne gilzy tytoniem, jak odpowiedzialny pracownik Państwowego Przedsiębiorstwa Picia i Palenia… Którego CEO jest oczywiście Tony, wytaczający się właśnie z mieszkania z miną: O… aha… tego… to ja tutaj??!!!

– *Too much drinking yesterday! Too much drinking!* – powtarza, kręcąc głową.

Wtedy widzę, jak mieni się jego twarz. Czasem wygląda banalnie jak włoski mafioso wracający z egzekucji z kawałkiem wystygłej pizzy w dłoni. Innym razem jak wybudzony z hibernacji młody Stalin, który wymigawszy się od kary za zbrodnie, jakby nigdy nic w dresie nabija tytoniem gilzy w ogródku w Kachetii. Czasem znów uśmiechnie się dobrotliwie do córeczki albo rzuci ciepłe: *„How are you, my friends?"*, nie czekając na odpowiedź. Teraz jego sflaczała po nocnej zmianie twarz układa się w pustkę, może nawet rozpacz. Jest jak rozdeptany omlet czy mętne jezioro, w którego tafli, gdy na chwilę cichnie wiatr, odbijają się hurtem wszystkie przegrane marzenia, złudzenia, plany. Pretensje żony, kac, nuda i nieumiejętność obsługi konta Airbnb.

What's wrong with you, people? What's wrong with you?

Poczta Polska

Kto wciąż nie widział najnowszej reklamy Poczty Polskiej, niech tak już pozostanie, w spokoju ducha i z nienaruszonym poczuciem tego, co możliwe, co niemożliwe, co boskie, co cesarskie, co niecesarskie itede. Cokolwiek by mówić, to dwie minuty życia; zdaje się ono oceanem wolnego czasu, a po każdym skończonym dniu zaczyna się nowy, ale ten bezkres to tylko złudzenie; każda chwila jest cenna i trzeba pieścić ją, macać, nagryzać jak złoto. Więc jeśli chodzi o ten spot, to lepiej sobie w tym czasie poruszać palcami u stóp i będzie w tym więcej głębi i szeptu wszechrzeczy; wystarczy, że ja już wzięłam na siebie obejrzenie tego...

Chociaż „obejrzenie" to też nie to słowo. Bo właściwie należałoby klip ten rozpatrywać jako reklamę radiową z elementami wizualnymi. Jest to dialog dwóch kobiet, młodych, lecz starych, wymieniających różne artykuły i chwalących ich dostępność na poczcie. Całość bazuje na rachitycznych wicach („Piękna nasza Poczta cała", „Polska chyba!"), i bezwzględnej eksploatacji skończonej puli gier słownych wokół czasownika „polecać". Ilustruje je ubożuchna plansza przedstawiająca falujący łan polskich zbóż, spod którego na sparciałej gumce anachronicznej animacji wyskakują cukierki kukułki, skajowe damskie portfeliki i inne artykuły życia codziennego.

DIETETYK RADZI
Agata Lewandowska
HASHIMOTO
Dieta i styl życia w chorobie
Odrodzeni przez chrzest
O, zbawcza Hostio!
MAX CZORNYJ
FILIA

Michalina Wisłocka
Sztuka Kochania
HANS JOACHIM
KOBIET
Z BLOK
10
EKSPERYMENTY MEDY
W AUSCHWITZ
PISMO
ŚWIĘTE
BEATA PAWLIKOWSKA
KSIĘGA Dobrych Myśli

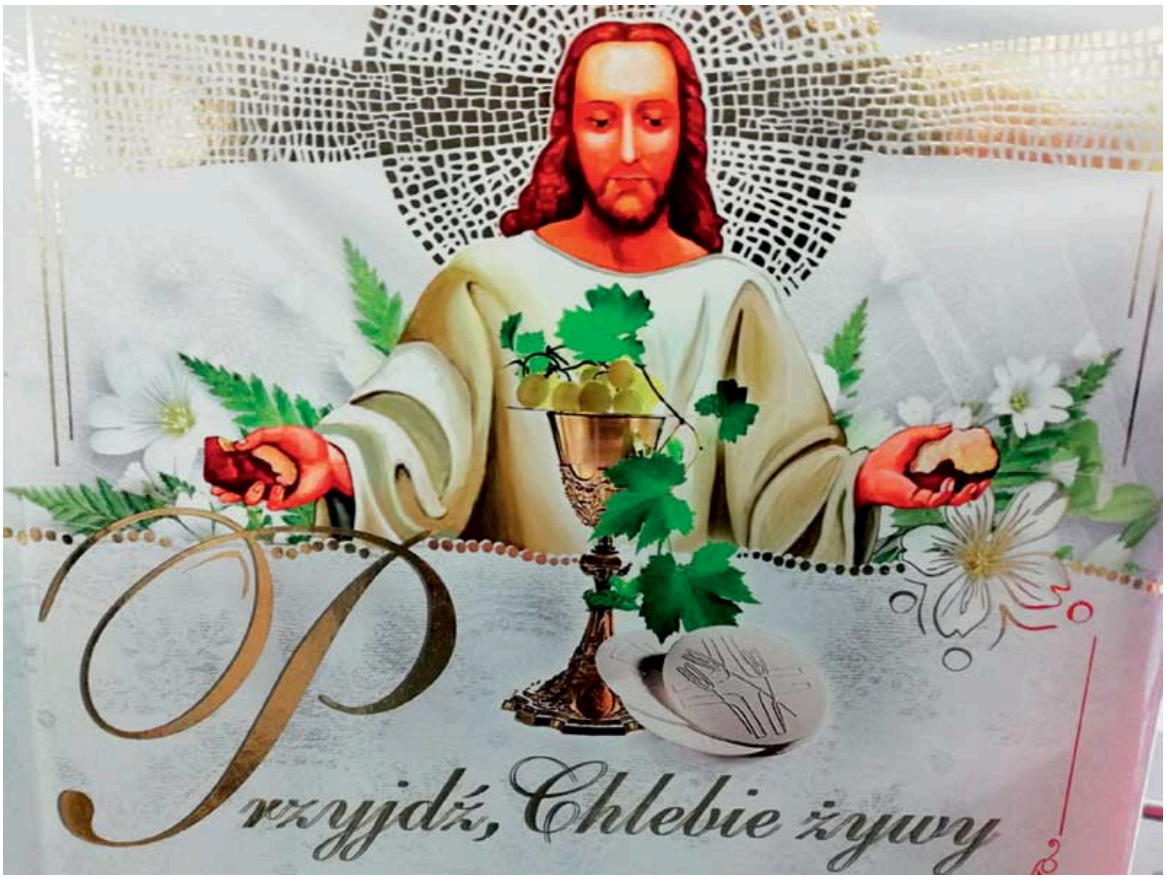
Przyjdź, Chlebie żywy

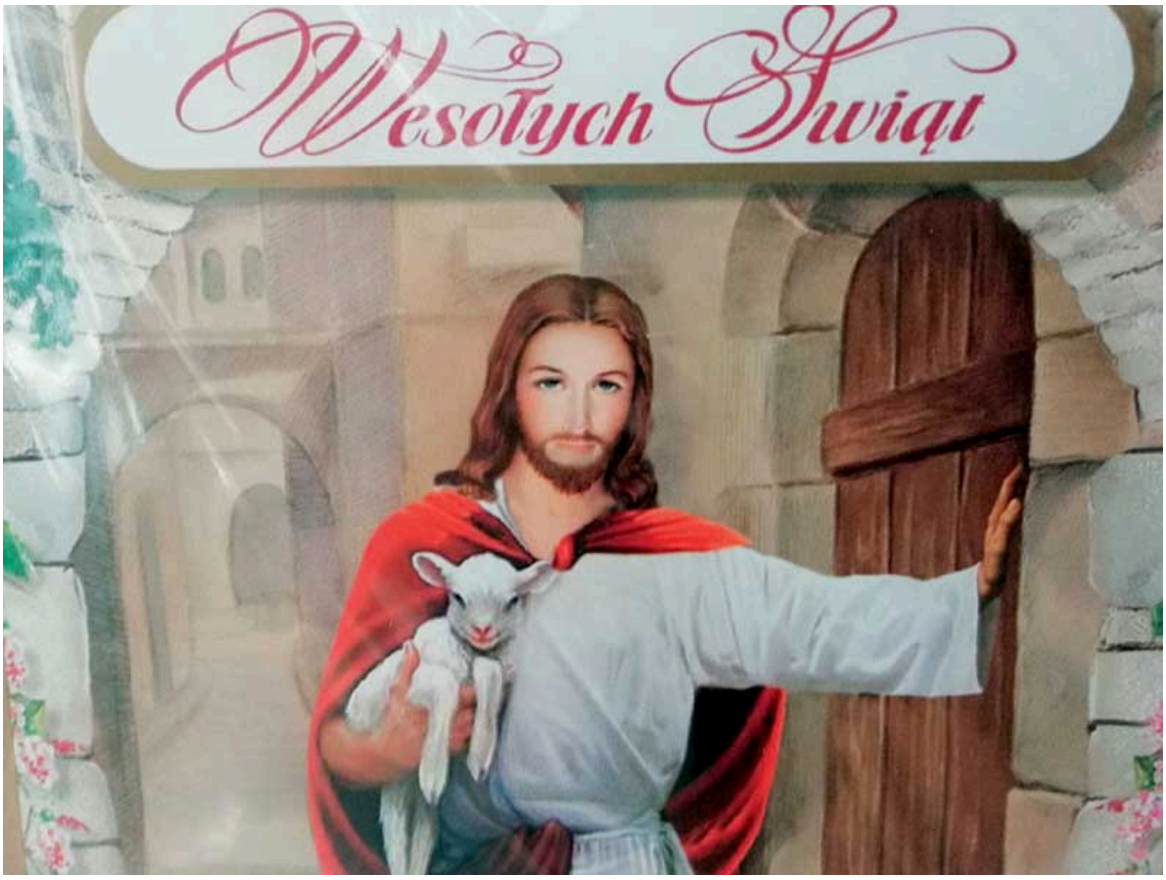

Gdy jednak to tak opisuję, używając wielu różnych słów, może się zdawać, że całkiem sporo się tam dzieje, jednak dzieje się tam niedużo, niewiele, ktoś powie, że w sam raz, ale mało, bardzo mało. Tak malutko, że nie imają się tego utworu ani beki, ani wysypy memów; najwytrawniejsi internetowi prześmiewcy, chytrzy jak małpy, nie mają się tu czego złapać ani na czym huśtać, na czym siadać okrakiem i udawać kopulację. Tak samo nonsensowne zdaje się już dociekanie, czy spot stworzony został na amidze, kalkulatorze czy suszarce do grzybów; czy zrobił go szwagier zastępcy sekretarza kierownika czy szwagier bratanka chrześniaka szefa Orlenu, czy budżet wynosił sto pięćdziesiąt złotych czy sto pięćdziesiąt groszy. Powstał, istnieje; poprzedza programy w telewizji i filmy w kinach, i jednego nie można mu zarzucić: niekoherencji. Jest perfekcyjnie spójny ze specyfiką reklamowanej marki. Pytania może więc należy formułować szerzej.

No bo rzeczywiście: za oknem niby ten XXI wiek. W Rossmannie promocja dronów, a pod domem rozrastająca się kupa przewróconych,

rozkraczonych hulajnóg elektrycznych, pikających tak alarmująco, błagalnie i po ludzku niemal żałośnie, że łatwo sobie wyobrazić, że w przyszłym roku będą już mówiły biegle po polsku… A za dwa może nawet wchodziły w relacje emocjonalne i kochały się z jeżdżącymi na nich ludźmi, korzystając zaś z tego, że same nic nie czują, a zbudowane więzi nic dla nich nie znaczą, będą dominowały nad swoimi duposercymi pasażerami i manipulowały nimi, wyłudzając dane osobowe i namawiając na przepisanie na siebie ich majątków… *you name it*. Zrodzone z tych mezaliansów humanoidy stworzą osobną superkastę, która będzie w ramach dziejowej zemsty jeździć na ludziach i porzucać ich w losowych miejscach, przewróconych bez jedzenia i picia.

Więc: tak, w obliczu wielkiej rewolucji technologicznej, na której progu chwieje się dramatycznie nasza cywilizacja, zapytajmy po prostu: co z tą Pocztą?

W komentarzach pod klipem niesmak, powtarza się pogardliwe „jak z lat dziewięćdziesiątych". Czyli nieudolnie, półamatorsko, słabo technicznie, bidnie. Co ciekawe – w urzędach pocztowych w roku 2019 znajdujemy wcale niemało zaczerpnięć, może świadomych, może podświadomych cytatów z praktyk, poetyk i estetyk transformacyjnych; zdaje się, że znalazły tam bezpieczną przystań; może nawet więcej: po latach banicji – szczelinę, przez którą mogą powracać do obiegu rzeczywistości. Przypadkiem? A może nie przypadkiem? Tę kwestię spróbujemy poddać ostrożnej analizie, wyczuleni na fakt, że nie mają do tego przypadku zastosowania standardowe logiki i zdrowe rozsądki.

Przez parę tygodni, studiując wnikliwie i *Kompendium pocztologii*, i *Teorię i hermeneutykę poczty*, przebrnąwszy przez *Sprzedaż wyrobów cukierniczych w urzędach. Nadzieje i perspektywy*, a wreszcie cały rocznik „Poczty Wyznaniowej", próbowałam nagryźć temat na różne sposoby. Dochodzę jednak do wniosku, że by opisać narastającą z kwartału na kwartał dziwność PP, trzeba użyć narzędzi subtelnych, szczególnych, precyzyjno-nieprecyzyjnych. Najlepiej po prostu na niej być. Oddychać nią, pozwolić jej się przenikać i przepełniać. Wtedy dopiero, ściskając w dłoni przepocone awizo, wypisane przez kurę pazurem, ale opatrzone też kodem kreskowym; słuchając pogwarek starszych ludzi, którzy

przyszli zapłacić za grobowiec rodzinny, przy czym jest to ich jedyna misja tego dnia i mogą to robić wiele godzin, a i tak zostanie im jeszcze wiele godzin, oraz ciężkich, wymownych westchnień tych, dla których czas to pieniądz, więc w kolejce jedną ręką oglądają serial na smartfonie, drugą wysyłają maile, a nogami robią łydki na wyimaginowanym stepperze… Słuchając dwóch pechowych Chinek, usiłujących zapłacić jakiś rachunek, podczas gdy pracownica uparcie, z mściwą satysfakcją mówi do nich po polsku, tyle że BARDZO DUŻYMI LITERAMI; wreszcie patrząc na zabałaganiony stojak, na którym nienaturalnie rozmnożone między sobą książki Beaty Pawlikowskiej, jak chodzić, jak podnosić ręce, jak pozytywnie wiązać buty, mieszają się z poradnikami antysemickimi i samouczkami uzdrawiania, możemy złapać za nogę płochliwego ducha, jakim jest duch Poczty Polskiej.

Zacznijmy jednak od początku. Od tego, że jest to instytucja w procesie, przez ostatnie lata zaciekle modernizowana i cyfryzowana. Przecież do każdego z nas przychodzą jeszcze czasem w najbardziej niezrozumiałych snach tamte niegdysiejsze forniry, tamte zamawiane rozmowy telefoniczne, pełen grozy i nieodwołalności huk przybijanych pieczątek. Długopisy na sznurku pakowym, śmierdzące podarte gąbeczki do zwilżania znaczków; skłócone kolejki do okienek pełne układów, ostrożnych sojuszy i wrogich przejęć; wagi, paki, druczki, dyliżansy; nawoływania i przekomarzanki zawsze zagonionych pocztylionów.

Odrodzeni
przez chrzest
GRY-ZABAWY-ZAGADKI
Jednorożce
12 kredek
zeszyt z zagadkami
zeszyt z kolorowankami
PIENIĄŻKI
do celów edukacyjnych i zabawy
10 20 50 100

Dziś zastąpiły to wszystko najnowocześniejsze maszyny, komputery o superbłyskawicznych procesorach, a odbiór przesyłki kwituje się już nie gęsim piórem, lecz elektropodpisem na specjalnym wyświetlaczu. Co dalej? Cybernetyczny człowiek? Depczący po piętach PP Amazon zatrudnia już roboty. Tymczasem w urzędach PP pracują analogowi ludzie, głównie kobiety, niektóre intronizowane w latach siedemdziesiątych i wciąż niesłychanie surowe, władcze i upierające się, że w relacji urzędnik – petent nie ma miejsca na niepotrzebne dusery, zgodnie z hasłem „pani na poczcie nasz pan". Inne z kolei, nawrócone już stosownymi szkoleniami na obrządek kapitalistyczny, zaraz po odebraniu twojej przesyłki proponują jej upgrade, nadanie jej statusu premium, a jeśli nie, to chociaż zakup batona musli albo szczotki do pleców. Większość zręcznie manewruje między obydwoma stylami. Tak więc zmiany, zmiany, zmiany łamane na brak zmian. W dodatku kilka lat temu doszło do rewolucji: świeckie dotychczas urzędy poddano gwałtownej, pośpiesznej, siłowej repolonizacji i rekatolicyzacji.

Tu można by się oddać bratobójczej dyskusji, czy instytucja aspirującego do normalności państwa musi sprzedawać różańce i *Dzienniczek* Świętej Faustyny skołtunione z pisaczkami, pisankami, plasteliną i herbatką ojca Klimuszki, parasolami i zastawą stołową. Cóż: i tak, i nie, i nie wiem. Nie sposób jednak, patrząc na ten chaos celów, środków, wysiłków i opacznych ich efektów, nie zapytać o kondycję ekonomiczną spółki, nawet jeśli w świecie postprawdy musimy pogodzić się z brakiem odpowiedzi albo równoważną mu ich wielką mnogością. MÓJ internet twierdzi, że w dobie szybkich, bezproblemowych, tanich, niegubiących przesyłek firm wysyłkowych sytuacja PP staje się fatalna; do tego kryzys wizerunkowy wynikający z zatrudnienia na stanowisku szefa pionu IT teologa, specjalisty od cudów ojca Pio (sic!). Ale – tak jak mówię – to MÓJ internet, być może w reportażach TVP Poczta to świetnie prosperujący podmiot, a Unia Europejska musi żebrać o pieniądze od niej na chleb i podpaski.

Tak czy inaczej, jej oferta bezustannie zaskakuje. *W hołdzie Miłosiernym. Rodzina Ulmów*; *Infekcje u dzieci lecz ziołami*; *Czołgi. Stulecie broni pancernej*; *Jezu, Ty się tym zajmij. Tajemnica księdza Dolindo*; *Uwolnijcie nas stąd! Rozmowa z Marią Simmą o duszach czyśćcowych*; *Niebo istnieje… Naprawdę! O chłopcu, który odwiedził niebo. Historia prawdziwa*; *Chyłka. Zaginięcie*; *Becoming. Moja historia* Michelle Obamy; *Stop alergiom*; *Pierwsza Komunia Święta. Zrozumieć sakrament* – to tylko pierwsze z brzegu tytuły na standzie, podczas których notowania zostałam przyłapana i wezwana do okienka („Co pani właściwie tu robi?”) i musiałam przez to nabyć kolorowankę *Moja Ojczyzna* za 4,99, by oczyścić się z oskarżeń o szpiegostwo dla InPostu. Modlitewniki i żywoty świętych, zmieszane – zgodnie z transformacyjną słabością do duchowego eklektyzmu – z poradnikami uzdrowiciela, wielkimi horoskopami na rok poprzedni i literaturą neozabobonu. Wysyp tej ostatniej typowy jest dla czasów schyłku i kryzysu; dzisiejszy świat to płonąca rudera, a przyszłość jest wielką niewiadomą, kryzys uchodźczy, cywilizacyjny, gwałtowny przełom technologiczny i wybuchająca na naszych oczach katastrofa ekologiczna powodują niepokój, który chcemy jakoś opanować. Neozabobon dostarcza do tego prostych środków: odstawienie glutenu, nabiału lub po prostu przeciwrakowe

jagody goji. Restrykcje dietetyczne porządkują sprawy i pozwalają na odzyskanie poczucia kontroli NAD CZYMKOLWIEK. No i bardzo dobrze.

To wszystko jednak wychaosowane ze świecami, obrusami nieplamiącymi, wyrobami skóropodobnymi krzyczącymi każdą krzywo nabitą napą: wysoka cena, niska jakość!; okularami, których moc można samemu sobie dobrać za pomocą załączonej do opakowania zbiorczego tablicy okulistycznej. Nie wiem, jak na waszych pocztach, ale na mojej cały ten kiermasz zdaje się nienadzorowany; pozbawione superwizji rzędy szybko zamieniły się w stosy, stosy zmutowały w hałdy, kupy, chaosy; stare mikołaje splątały się we wstrętnych kazirodczych obłapiankach z nieświeżymi wielkanocnymi kurczaczkami. Leżą te góry k o s z m a r n i e wydanych lektur szkolnych (czcionka do szybkiego czytania!) i *Ciast siostry Anastazji*; nasypy bubli, kurhany tandety z wielkimi logo „wyprodukowano w Polsce!", pytając (dosłownie i w przenośni): *„Quo vadis?"*.

Według teorii banalnego nacjonalizmu brytyjskiego psychologa społecznego Michaela Billiga tożsamość narodowa „sama się nie zrobi": to właśnie ROBIENIE jest tu ważne, flaga nie może po prostu łopotać na

wietrze. „«Narodowa tożsamość» to swego rodzaju skrótowe określenie całej serii dobrze rozpoznawalnych założeń na temat kwestii narodowościowej, świata oraz «naszego» miejsca w świecie. Oklapła, zwisająca skądś flaga oraz wytłoczony orzeł nie wystarczą, aby utrzymać wszystkie te założenia na swoim miejscu, tak aby stanowiły nawyk myślowy. Te założenia muszą być flagowane na sposób dyskursywny. A do tego potrzebne są banały, które będą brzęczeć uparcie w uszach obywateli lub przesuwać się stale przed ich oczami”[1]. Każda partia polityczna dochodząca do władzy narzuca swój ich zestaw; każda wprowadza swój komplet motywów, symboli i stereotypów, przez który od teraz będzie definiowane „my”; ważne też, kto się w nim NIE pojawi, kto zostanie w nim dyskretnie przemilczany; bo to właśnie te uzupełniające się nawzajem uproszczenia i pominięcia będą służyły do pielęgnowania *deixis* – poczucia „naszości” i „swojskości”.

Tożsamość „robi się”, kiedy prognozy pogody czy narracje piłkarskie jak gdyby nigdy nic umieszczają NAS w centrum, a resztę świata na peryferiach, albo kiedy całe USA brylują w koszulkach „USA” – to akurat dobry przykład, bo Amerykanie z afirmacji ojczyzny wyprowadzili prężną gałąź gospodarki. Za pomocą przedmiotów użytku codziennego *deixis* „wchodzi” w strefę ciała, jest „noszone”, „dotykane” i fizycznie obecne w przestrzeni prywatnej i publicznej.

Oprócz jakichś tam paczek i listów Poczta Polska w nowej odsłonie to właśnie kiermasz deiktyczny, mający wtłaczać do obiegu codzienności rozbudzające dumę narodową gadżety i bibeloty. Jego kramy stoją najczęściej pośrodku pomieszczenia i to wokół nich wężują kolejki; artykuły aktywnie przeglądane przez oczekujących, krążące w przestrzeni urzędu i odkładane gdzie popadnie mieszają się bezustannie i w efekcie składają się w najbardziej niesamowite, poetyckie kombinacje, kolaże, bricolage’e – wirujące kalejdoskopy NAS.

Jednak czy rzeczywiście skłaniają do narodowej dumy? Pocztowe *deixis* ma własny, osobliwy kod estetyczny. Widać go wyraźnie w publikacjach dla dzieci. Powstały one jakby bez miłości, bez namiętności, z samego cynicznego, nieudanego, niedokończonego seksu. Anarchiczne w swej szpetocie, za nic sobie mają harmonię i kompozycję, perspektywę, proporcje, logikę. Można się domyślać, skąd

przyszły, ale nie wiadomo, dokąd zmierzają. Przywodzą na myśl opisywane przez Olgę Drendę w *Wyrobach* najntisowe podróbki, w których dzięki swej pilności i zmyślności dłonie zwykłego człowieka Wschodu mogły wykraść zachodnim gigantom pilnie strzeżone copyrighty i stworzyć sobie ich produkty na własnych warunkach. Szata graficzna książeczek przywołuje tamte koślawo imitowane w latach dziewięćdziesiątych disnejowskie bajki, tylko jeszcze bardziej zmutowane i sparszywiałe. Ich szpetota jednak nie jest wypadkiem przy pracy, ona naśladuje źle naśladowane, podrabia nieudolnie podrobione, paczy spaczone. Estetyczne nowotwory lat dziewięćdziesiątych powracają w drugiej dekadzie nowego millennium, oferując nam rzeczy świadomie wstrętne, znajomo obrzydliwe. W dobie transformacji sfera wizualna wariowała, ale wynaturzenia nie okazały się wcale przejściowe, lecz na stałe weszły w poczucie „swojskości" Polaków. Niby nie musimy już mieć brzydko, ale chcemy, bo lubimy, bo stać nas, bo MOŻEMY. Tu jest Polska. Nie elegancja Francja – krzyczą książeczki potworki.

Nie lepiej ma się sprawa publikacji religijnych. Tu mamy paradoks przedstawień w zamierzeniu tak obłędnie pięknych, że licznik nagle wariuje, nie mieszcząc już tak skrajnych wartości i niepostrzeżenie… trach! Jezus Chrystus zmienia się w prześliczną, emanującą łagodnym erotyzmem Conchitę Wurst…

Mężczyzna zaharowujący się pod batem jadącej wygodnie na wozie małżonki, najprawdopodobniej domagającej się zakupu futra. (Iksiński Iksińskiej kupił!)

Dlaczego mężczyźni noszą krawaty?
Bo każde bydlę musi być uwiązane.

Wreszcie – karty okolicznościowe, niektóre tradycyjne, zachowawcze w środkach artystycznych i przywoływanych figurach, inne zaś sięgające po najnowocześniejsze osiągnięcia technologii (trójwymiar, hybrydowość).

I tak powoli zbliżamy się do półki z galanterią skórzaną. Nie jestem rzeczoznawcą, ale te portfele, saszetki, tak zwane pedałówki czy minikosmetyczki patriotyczne mają dziwną relację jakości do ceny. Niektóre mają spore przywieszki w barwach narodowych, wielką czcionką krzyczące „polska firma" albo „produkt polski". Inne – rzucone gdzieniegdzie tajemnicze zaklęcia „4U Cavaldi" czy „Ronaldo", które kreują atmosferę nonszalanckiej włoskości. Natomiast komunikowane w jaskrawych kołach, kończące się na 99 ceny stwarzają wrażenie okazji, promocji, zysku, wręcz bezwysiłkowego zarobku. To nie są rzeczy, które

kupi ktoś bogaty. W jawny sposób ta oferta kierowana jest do konsumenta naiwnego, niebiegłego w rozczytywaniu marketingowych ściem, a jej produkty są jakby puste, prowizoryczne, pretekstowe.

Tu wróćmy jeszcze do kolorowanki *Moja Ojczyzna*:

W ogóle kocham tę kolorowankę, dobrze wydane pieniądze:

Flaga Polski

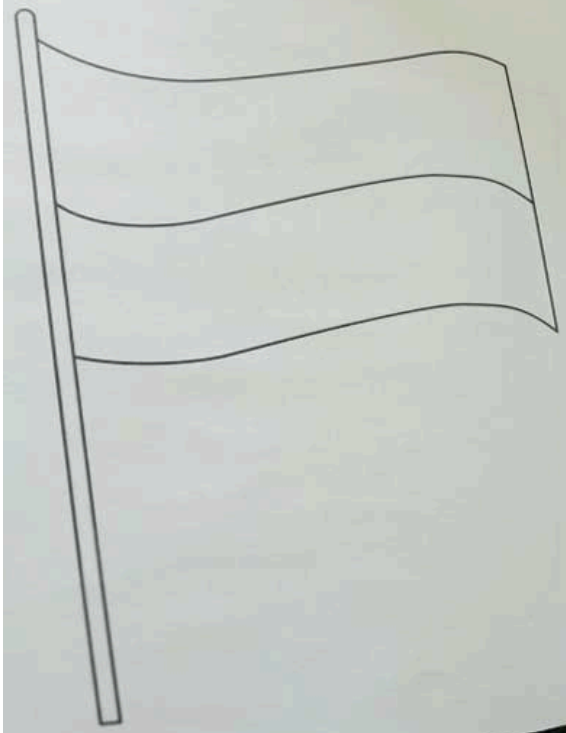

Symbol Polski Walczącej

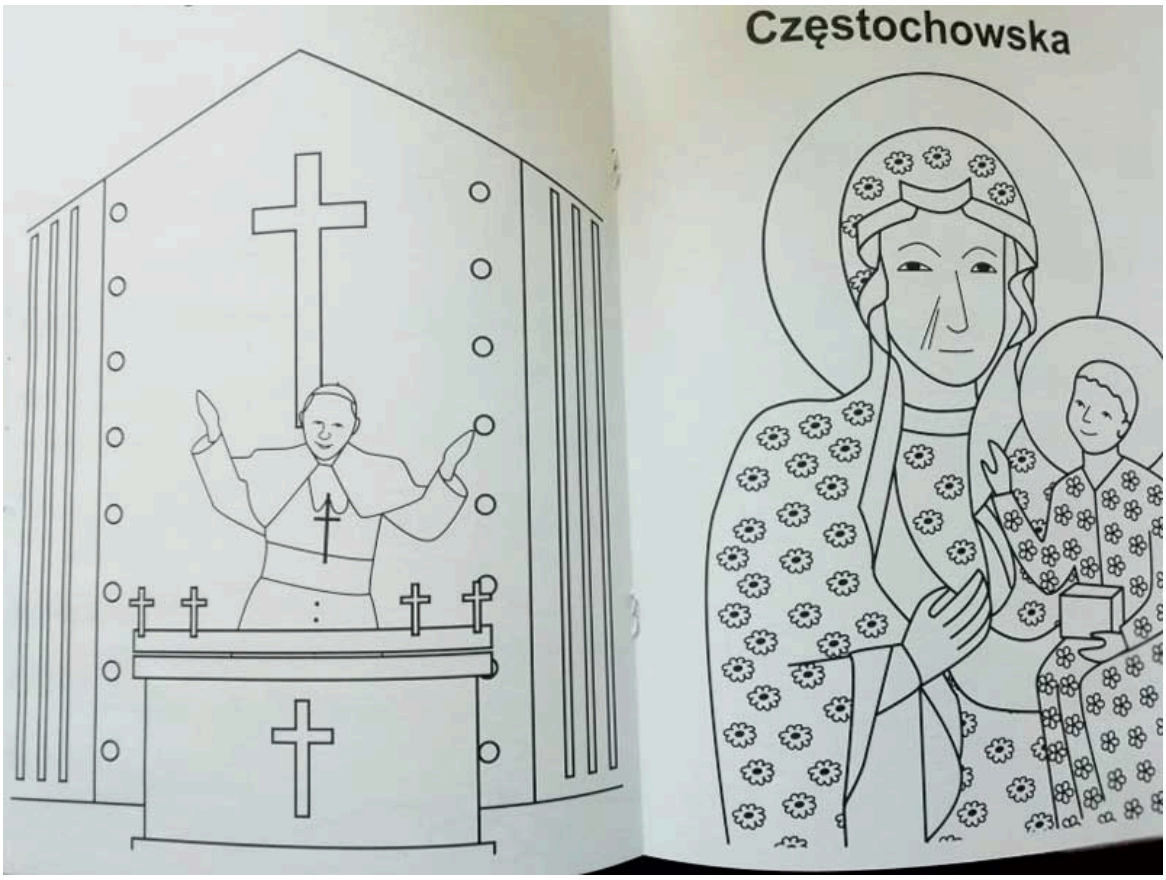

I najchętniej pokazywałabym ją teraz strona po stronie, bo naprawdę każda jest na swój sposób niezwykła; evergreeny polskiej tożsamości flirtują w wyobraźni artysty z motywami stricte współczesnymi:

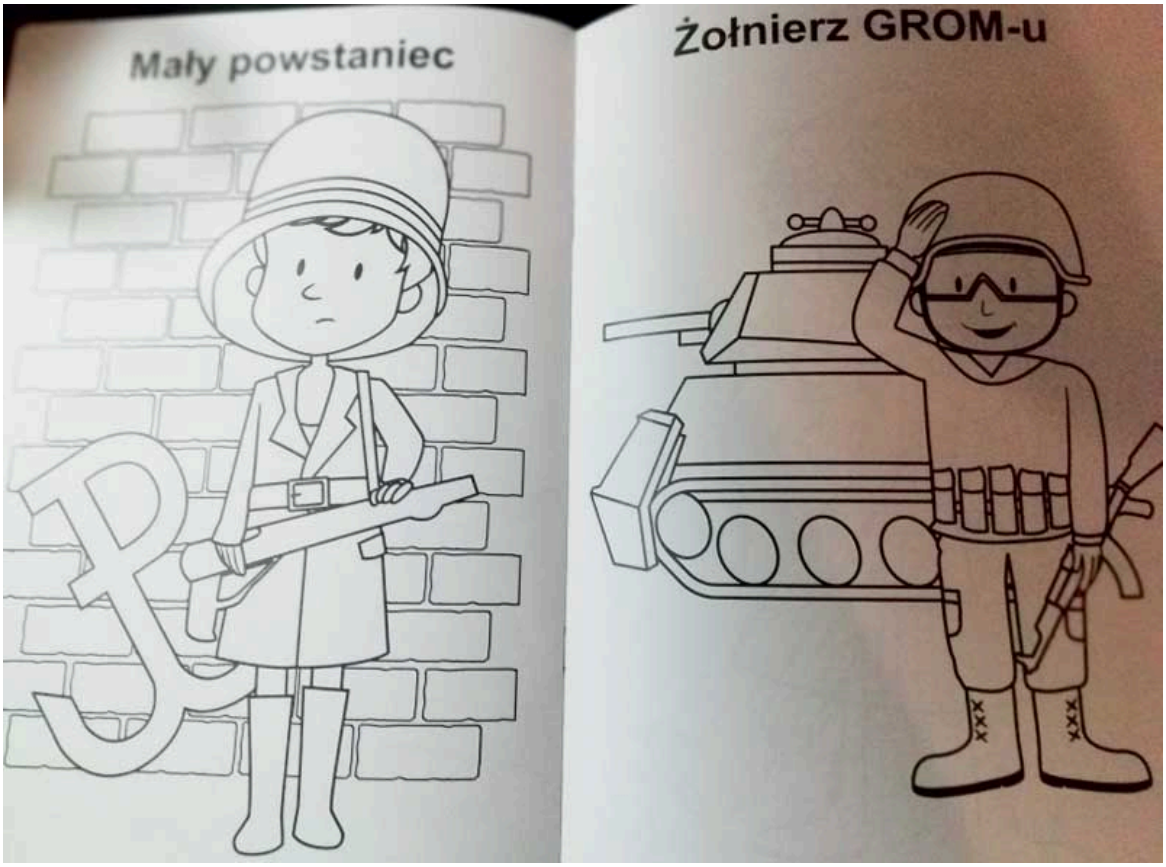

No i moje ulubione: Chopin bez włosów, bez czaszki, z samym mózgiem. Plus Maria Skłodowska o bardzo szczupłych kolanach:

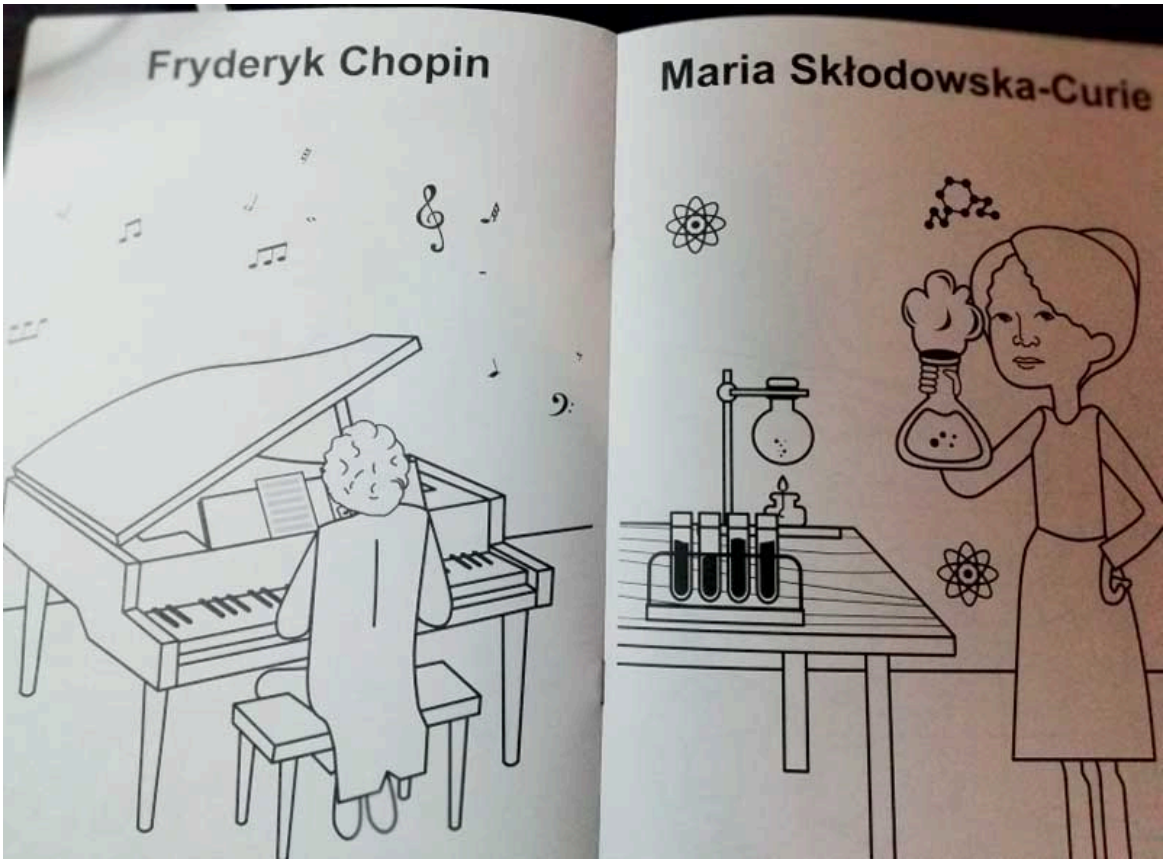

Jeśli chodzi o współczesnych milusińskich, to jakoś tego nie widzę. Kolorowaniem tej kolorowanki mogą być zainteresowane wyłącznie dzieci nienarodzone, a może i te ostatnie są zbyt przestymulowane, by dać się namówić na taką pyszną zabawę:

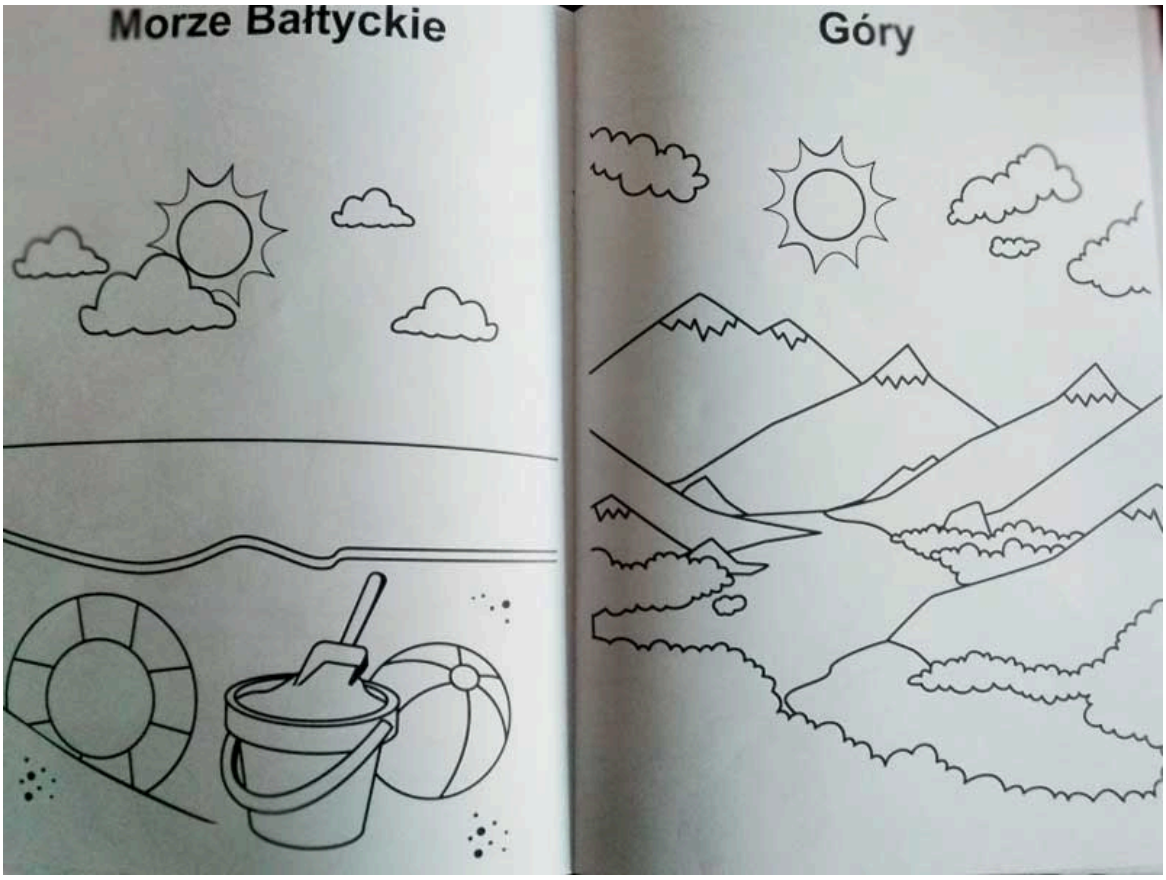

Kończąc już jednak te żarciki, to właśnie tu zdaje się tkwić gorzki sekret pocztowego kiermaszu – oferuje on gizma do stymulowania tożsamościowej dumy i poczucia „MY", jednak niegłupia ta przecież i praktykowana w wielu krajach idea tu materializuje się zupełnie opacznie, bo są to niewydarzone buble, rzeczy pokraki, mutanty; z góry zbędne, szpetne, a co za tym idzie wstydliwe, ośmieszające, sprawiające przykrość swoim bezsensem. Są to przedmioty pozorne, bez walorów użytkowych, tak jakby liczył się sam akt ich nabycia, jakby tak naprawdę kupowało się ich kupowanie. Może właśnie ten „produkt polski" jest symbolem, cegiełką, rodzajem mniej lub bardziej metaforycznej inwestycji w „naszość" i „swojskość", przez niego przedstawianą i zaklinaną. Byłby to model biznesowy podobny do Radia Maryja – zaglądanie do portfeli wykluczonych poprzez stymulowanie ich sentymentów i resentymentów.

Kiedy dziś po raz ostatni weszłam na swoją pocztę w celach badawczych, zrobiło mi się żal. Żal, bo jeszcze tysiąc razy będę tu

z jakimś awizem czy listem, ale już nigdy jako czuły detektyw, który każdym nerwem usiłuje złapać tę aurę, jej tembry, odcienie, lśnienia; wszystko stanie się płaskie i banalne, a umysł zapełni się jałowymi wyrzekaniami na kolejkę i tempo obsługi. Tymczasem teraz, gdy ze słonecznej ulicy wchodzę do katakumb urzędu, w ciepły mrok wnętrza, słyszę pogodny głos urzędniczki, nieżałującej czasu na pogaduszki ze starszym panem… Za witryną przemyka z szatańskim wizgiem hulajnoga elektryczna; widzę na półkach te wszystkie brakoróbstwa, brzydkie i przez nikogo niekupione; Poczta Polska zdaje mi się jakąś schulzowską fantasmagorią. Składem podrób podróbek i kopii kopii, magazynem atrap i erzaców. Szpitalem tandetnych rzeczy, które naśladując krzykliwe konwencje estetyczne transformacji, przywołują jakieś niegdysiejsze śniegi, nieaktualne sławy i chwały, krzywe Jezusy i niedźwiedzie Wojtki; wywołują duchy zaklęte w badziewiach i piratach.

Prawdopodobnie i to niedługo przeminie, zastąpione sprawnym, laickim, przewidywalnym, podobnym do wszystkich urzędem-Starbucksem, teraz jednak jeszcze chwilę trwa tak dziwne, bliskie, choć obce, okropne, tajemne.

Jesień w Szanghaju

Jezusowaty Włoch porusza palcami w zamszowym mokasynie. Taj, mimo tropikalnego upału nierozstający się z obwisłym granatowym beretem, który wieńczy jego głowę jak wielki filcowy napletek, zastygł w stuporze. Asertywna Elena z Moskwy, by nie tracić czasu, dyskretnie skroluje ekran kindle'a. Millie z Kingston patrzy w dal ze swoim reggae chillem. Na zupełnie nietożsamych genetycznie twarzach maluje się bohomaz jetlagu. Nie na wszystkich po równo. Paulo z São Paulo przysypia, złożywszy ręce na podołku; czekać tylko, aż chrapnie. Leciał tu dwadzieścia siedem godzin. Noe z miasta Meksyk – dwadzieścia cztery. Ja – jedynie skromne całkiem do wytrzymania szesnaście. Ślady po naszych samolotach jeszcze wiszą na niebach całego świata; jeszcze co bardziej niedający sobie mydlić oczu ludzie stoją i pokazują je sobie jako chemtraile. Co to w ogóle za typy? – zastanawiam się w nagłym poczuciu nieodpartej dziwności, to jakby prenapad tych wszystkich jej napadów, których doświadczę tu jeszcze naprawdę nieraz.

Otwierająca program stypendialny pogadanka coraz bardziej się przeciąga, nie kryjąc swoich związków z wiecznością. Trwają przemówienia, recytacje, podziękowania; monotonny mamrot tłumacza (Kevin, typ ucznia z najlepiej zatemperowanymi kredkami) (na moje oko na WF-ie, gdy kapitanowie wybierają drużyny, notorycznie zostaje ostatni), jego łamiący się, deklamujący dydaktycznie głos działa tak, jakby ktoś gładził mnie puszystą watką… A jednocześnie pisał gwoździem po mojej szybie… Popadam w stan głębokiego nerwowego relaksu… poirytowanej hipnozy… zaczynam zasypiać… ale też jakby przy włączonym budziku… ochrypłym budziczku na resztkach baterii… stop! Całą siłą woli biorę się w garść, wyślizguję się z rzędu pisarzy i przesuwam do sekcji „reception".

Filarem menu jest dziś tradycyjne musli z jogurtem. Napoje podano skrupulatnie w dzbankach, opisanych ręcznie: mirinda, sprite, cola, juice. Stoję więc i z bankietową powściągliwością dziobię musli, bo

wciąż jeszcze nie udało mi się rozwiązać problemu żywieniowego. Pod hotelem jest ten kuszący, pełen zasysających nudle Chińczyków bar, z którego od rana do wieczora buchają na ulicę kłęby ponętnej, pachnącej pary. Jednak kiedy tam wpadam zaraz po przyjeździe, cała podekscytowana, głodna, namiętna i pazerna, nagle coś mnie zatrzymuje. Nie mogę zrobić ani kroku dalej, dosłownie grzęznę w czymś tak niewypowiedzianym, że prawie już fizycznym: jeszcze sekundę temu było tak głośno, zewsząd: Fffff! Ffffff! Śśśśś! – tak brzmią wsysane do ust tuż nad miską kluski; dzwonki aplikacji, powiadomienia, mlaski i soczyste beknięcia, teraz nagle cisza. Wszyscy klienci zastygli z nudlem sprężyście dyndającym nad tłustą taflą bulionu i patrzą na mnie w bezbrzeżnym zdziwieniu… Nawet oczka tłuszczu otwierają się szeroko z niedowierzania: ta białaska zamierza tu u nas jeść, tak po prostu jeść??!!! Od tego czasu żywię się po kątach, by więcej nie narażać ludzi na swój skandalizujący widok: zupka chińska wyssana dyskretnie z opakowania, kiść bananów zjedzona prosto z siatki… Podane jako *main course* musli zdaje się pożywne jak babciny rosół po powrocie z saneczek.

Niby zdążyłam już tak wiele tu opowiedzieć, a literacka pogadanka nadal trwa; z góry ostrzegam, że to dopiero początek SERII pogadanek, swoisty pilot. Tutejszy model kultury zdaje się lubować w takich eventach. Konferencja, zjazd, panel, dyskusja. Debata, konfrontacja i wymiana doświadczeń, sympozjum, msza konsekrowana. By nam to umożliwić, zalecono nam napisanie eseju na temat, powiedzmy sobie, otwarty. Cokolwiek ma znaczyć *„Imagining community”*, zestawia ze sobą pojęcia szerokie, chłonne; otwierające przed twórcą wszechświat sensów. I konkurencyjny wszechświat bezsensów. Jednocześnie pożądana objętość eseju, trzy–cztery tysiące znaków, nieco go przymyka, a to, że nie wiadomo właściwie, do kogo, dlaczego i po co się to wszystko pisze, też nie ułatwia sprawy.

Cóż, czuję, że to nie za to dostanę Pulitzera… Mimo przynagleń organizatorów nie potrafię wziąć się do pisania. Zwlekam. Organicznie wiję się. Kluczę, kłamię, że już właściwie mam gotowe, lecz pies zjadł mi zeszyt… Wreszcie przyparta do muru siadam… Przeglądając notowania giełdy i wykaz najnowszych zbrodni w Łódzkiem, smażę

przyprawiające o torsje wypracowanie o tym, dlaczego w moim odczuciu na świecie nie ma wspólnoty. Dlaczego nie jest dobrze. Zaczynam skromnie od nierespektowanych przez mój kraj praw mniejszości seksualnych. Potem jakoś od słowa do słowa… kryzys uchodźczy… problemy.

Pocę się. Lepię, klecę. Widzę demony. Widzę defilujące mi przed nosem złośliwe duchy Cezarego Baryki i doktora Judyma, ironicznie recytujące fragmenty *Legendy o świętym Aleksym* i *Pieśni o Rolandzie*, gestykulujące z udawaną emfazą. Pokrapiam je wodą święconą z saszetki załączonej ostatnio do „Egzorcysty" i smażę dalej. Katastrofa klimatyczna! Pamiętajmy o tym, że zważywszy na prawidła formy, te złożone skądinąd kwestie trzeba nieco skondensować. Uprościć, nie przesadzić z ich wnikliwym analizowaniem. Niejako wyłożyć kawę na ławę. Właściwie, biorąc pod uwagę ograniczenie do trzech–czterech tysięcy znaków, powiedzmy wprost: wymienić po przecinku. Konfrontuję to, jak jest (średnio), z tym, jak powinno być (dobrze!). Wreszcie, brzydząc się sama sobą, by dokonać dzieła zniszczenia, wysyłam tekst do przełożenia na język angielski Antonii Lloyd-Jones, tak by w jej wytrawnym tłumaczeniu moje zapocone komunały jeszcze zagęściły się i nabrały stosownej doniosłości…

Ale błagam, nie było to ani trochę cyniczne. Nie było! Naprawdę uważam, że te problemy są ogromnymi problemami! Jednak próby nazwania ich wszystkich razem naraz… I w dodatku rozwiązania, jakby mnie ktoś o to prosił…! Przysięgam, Hemingway nie wyszedłby z tego z godnością. Tak, wstydziłam się tego, co robię. A jednocześnie nie sposób było odmówić mi pewnej skuteczności, zmyślności, sprawności tych poczynań. Jak, posklejawszy garść trywialnych kocopołów stylistycznym *super glue*, upchnąć je w pliku tekstowym i wysłać, licząc, że we względnej całości doleci do chińskiego serwera i rozleci się dopiero po publikacji? Niestety umiem to. Umiem! Każdy z nas to potrafi i dlatego siedzimy dzisiaj właśnie tutaj, w Stowarzyszeniu Pisarzy…

Jak na Stowarzyszenie przystało, publiczność jest uniwersalnie nieliczna. Składa się w dużej mierze ze starszych łowców autografów, lokalnych półświrów i fanów wszystkiego, którzy swoim detektorem

bankietów są w stanie zapewnić sobie całkiem przyzwoitą ilość kalorii i wartości odżywczych, a przy okazji chwilę się przespać na siedząco, skorzystać z łazienki i w razie nadpodaży sensu zgłosić się i jednym cudownie niedorzecznym zdaniem skasować rozdymający się balon ogólnej wszechmądrości.

Właśnie przechodzimy (niespiesznie, jak gdyby naokoło i tyłem) do uroczystej części „prezentacja stypendystów". Każdy podchodzi do mikrofonu, by powiedzieć kilka słów o sobie. Formuła jest dowolna; dykteryjki, anegdotki, wiersze. I ja wychodzę na środek, by dołożyć do tego pieca swoją garść minoderii. Tylko Taj reprezentuje szlachetną postawę aspołecznego artysty odszczepieńca, małomównego mizantropa, outcasta; choć może to mieć też coś wspólnego z faktem, że nie mówi ani słowa po angielsku. Pozostali z nas to względnie doświadczeni mikrofonowcy, kokieci, świadomi swojego oddziaływania (jeśli nie swojego, to przynajmniej literatury) na publiczność. Pisarze grają pisarzy. Jak dzieci podjudzone przez dumnych rodziców; dytyramb, kuplet, fraszka. Jeszcze tylko bardzo dużo bezsensownych zdjęć w różnych konfiguracjach… Jest. Obóz literacki w Szanghaju można uważać za otwarty.

Nasze koszary to zramolały wieżowiec Skiline niedaleko świątyni Jing'an. Jej kopułę widzę z okna: w deszczowy wieczór błyszczy jak jakiś niesamowity, wydziergany ze złotej włóczki ślepiący smardz. Wokół z kolei zwaliste wysokościowce migocą wiecznym zimnym ogniem; emanują, pulsują, ulewają krople świateł. Citylighty i neony, kolorowe lampki na pofrancuskich platanach; przelatujące promy kosmiczne i wykorzystujące tradycyjną grawitację rowery, skutery, polepione plastrem, obwiązane sznurkiem trójkołówki.

Nasz drapacz chmur czasy prosperity ma za sobą; sklecony naprędce może dziesięć czy dwadzieścia lat temu w stylu „przepych kabacki", uległ przedwczesnej erozji. Podwieszane sufity rozszczelniły się, LED-y wylazły z ramek, ciągnąc za sobą wnętrzności kabli, derma stercząca z pękniętych obić skórzanych kanap straciła nieposiadany nigdy powab, pająki w kątach dawno porzuciły swe sieci, też mając już dosyć tej nędzy i przenosząc się do budynków o wyższym standardzie. Mafijny fotel

obrotowy, na którym drzemie recepcjonista w za dużym służbowym garniturze, wybuchłby jak spróchniała czarna purchawa, gdyby nie wiele warstw taśmy klejącej trzymającej go ciągle w całości; na siedzisku przetarty kocyk w kratkę. Pod sufitem kołyszą się ryzykownie jebutne kipiące kryształem żyrandole…

Z trzech wind jedna jest zawsze nieczynna, w związku z czym prawie zawsze bardzo długo czeka się w rosnącym tłumie, gapiącym się tępo w trzy wielkie plazmy. Emitowane są tam wciąż te same reklamy, zaznacza się w nich świeżo odkryta przez Chińczyków gałąź gospodarki: nabiał, ukazywany jako nowe zbawienie ludzkości. (Gdy przyjechałam tu dziesięć lat temu, był tylko legendą miejską: białasy jedzą zepsute mleko! A teraz w sklepach wszystkie lodówki zastawione nabiałem). Jego symbolem jest żółty ser, lśniący, sprężysty, seksualnie niemal ponętny; w spotach reklamowych zespala się on miłośnie z jagodami i truskawkami, wydając na świat pożywne jogurty, lizaki mleczne i lodziki, podczas gdy szczęśliwe chińskie rodzinki wyskandowują miłość do mleka krowiego. Ich infantylne, fanatyczne wrzaski wkrótce zaczną się kołatać po naszych mózgach strasznym chóralnym: „tą tą ci ną, nihao nihao nihao!”. Zwykle gdy kabina dotelepie się wreszcie po dziesięciu minutach, rzężąc i parskając, najpierw trzeba odczekać, aż urodzi zebranych na dwudziestu czterech piętrach pasażerów… Więc baba z rowerem… wózek widłowy z ręcznikami, kurier McDonalda z plecakiem o kubaturze cinquecento, niekiedy kontener ze śmieciami! Kobieta o posturze grubej dziewczynki, wielki dżentelmen angielski z siatką pełną bao… I już znowu winda gramoli się na górę, rozprowadzając kolejne dwadzieścia osób między dziwnymi instytucjami, jakby biurami, ale też burdelami, pocztami, pokojami na godziny…

Wnętrza Skiline utrzymane są w stylu „wysokiego połysku”, dość już niebłyszczącego, jakby swojego czasu hojnie polanego tłustym rosołem i przetartego szmatą. Jeszcze ciągle to widzę, jak pierwszy raz wtaczam tam walizkę i zawieszam wzrok na szklanym blacie stołu, usiłując przeprocesować ten widok… łączenie… łączenie… oczekiwanie… uwierzytelnianie… mruganie… Połączono.

Na obrzydliwych mazach łoju, zakrytych dla niepoznaki podartymi podkładkami z Ikei, stoją dwie miseczki, mające chyba przyskrzynić skaczące pod nimi choroby zakaźne… Wszystko aż lepi się od brudu, lodówka, czajnik, zasłony, z ciężkich mebli orientalno-biurowych beztroskimi płatami odchodzi politura. Koło śmietnika świruje mały karaluszek. Ale: POMYŚLĘ O TYM JUTRO! – krzyczę w myślach. JUTRO!!!

Zjeżdżam na dół. Tak jestem już podniecona i podekscytowana! Tak już jestem zazdrosna. Nie chcę, żeby choć chwilę dłużej to wszystko działo się beze mnie! Żeby było tu sobie bez mojego patrzenia, bez mojego oddychania, żeby mi tego nie zużywali, kiedy ja jak głupia przyglądam się brudowi w pokoju…

Wychodzę na ulicę. Półmrok. Zachmurzone niebo wisi nad budynkami szare, ciężkie, zaraz skłonne spaść. W drobnym deszczu ulicą sunie niekończąca się rzeka zwariowanych motorków. Łopoczą w pędzie spowijające je przeciwdeszczowe pokrowce w najdzikszych kolorach, ukryte pod nimi lusterka sterczą jak wielkie uszy jakichś sprytnych bezokich stworzeń! Furczą peleryny jeźdźców; spod poliestru widać tylko obrażone na deszcz, bułeczkowate twarze. Parasole, neony, klaksony, deszcz, światła; kuśtykam nieśmiało przy ścianie, kompletnie oszołomiona; czuję się, jakbym statystowała w *Łowcy androidów* i *Podróżach pana Kleksa* jednocześnie. Staram się zachowywać naturalnie i nie patrzeć w kamerę. Jestem w Szanghaju.

Przez pierwsze dni czuję się jak bakteria siedząca na Goliacie i z przejęcia bojąca się poruszyć. Za oknem ryczy, charczy i wzdycha gargantuicznie wielkie, nigdy niezasypiające miasto z populacją jak prawie cała Polska. O istnieniu tej ostatniej parę osób tu słyszało („*Holland?*"), ale nie do końca wiadomo, w jakim kościele („*Oh, Poland*"). To to coś w rodzaju małej Rosji, Rosji z elementami Niemiec. Moje jasne włosy i oczy świecą w ulicznym tłumie wręcz SPROŚNIE dziwacznie, stanowiąc niewyczerpane źródło spontanicznego międzyludzkiego zadziwienia. Bezzębna babcia w wyszmelcowanym kimonku potrafi na mój widok przywołać wnuczka, „Chodź, szybko, szybko, zobacz!", i pokazywać mnie palcem, podczas gdy zawstydzone dziecko chowa

w piąstkach oślepione moją dziwacznością oczy. (Do czego potem stopniowo przywyknę). (By wreszcie popaść w pewien rodzaj asertywności czy nawet buty) (i na widok tych wlepionych we mnie niedowierzających spojrzeń myśleć sobie: stara, JA dziwnie wyglądam? JA dziwnie wyglądam? Ogarnij się, masz maskę kota namalowaną na twarzy i adidasy z pianki hydraulicznej, mnie się czepiasz?) Ale na początku wszystko to odbija się na mnie negatywnie i potęguje samotność.

Niby znam trochę temat. Wiem, że takie programy to dla niektórych żadne halo i najbardziej zaprawieni pisarze rezydenci robią po kilka w roku, przemieszczając się między kontynentami i krajami ze swoim życiem upchniętym w jednej walizce do dwudziestu trzech kilo plus bagaż podręczny. Na miejscu otwierają je i improwizują swój świat z tego, co (i kto) się napatoczy, zawieszeni między wszędzie a nigdzie; między całkowitą samotnością a byciem CIĄGLE ze WSZYSTKIMI ludźmi na ziemi. Ale to nie mój *case*. Ja przyjeżdżam do Chin z domu, domu-domu, pełnego żywych ludzi i zwierząt, takiego z dzwoniącymi telefonami, wpadającymi i wypadającymi kurierami, ciągnącymi się całe godziny kolacjami, ciągle zajętą łazienką. Z którego przetransferowana zostaję nagle do pustego pokoju, ja, ja sama ze mną, bardzo dużo mnie. Gdy wieczorami usiłuję zasnąć, słyszę szmer krwi we własnym mózgu, wytężoną pracę przeciążonego laboratorium, które usiłuje jakoś to wszystko w sobie pomieścić, przeprocesować. Upchnąć w sobie kolanem setki megabajtów obcych dźwięków, słów, gestów, twarzy, których urody i mimiki nie rozumiem; całkowicie nowych i trudnych do uporządkowania danych, które wpadają mi codziennie do głowy przez niezabezpieczone niczym otwory. Towarzystwa dotrzymuje mi wyłącznie (niemalże żywy) brud; okazjonalnie, i to też tylko jak im się zachce, komary. Za pewne urozmaicenie można przyjąć nocne wizyty karaluchów, anonsowane przez znajome suche PAC! pancerzyka o posadzkę w aneksie kuchennym.

Poczucie obcości?! Dziwności?! To stanowczo mało powiedziane. WSZYSTKO jest inne i niezrozumiałe: temperatura i sposób, w jaki wiatr dotyka skóry, smród w supermarkecie i zapach schodów w Skiline; to, że wodę do picia i gotowania trzeba przynosić ze sklepu;

dźwięki: dżingle, lasery, powiadomienia, głosiki stworków w barach zachęcające do odebrania zamówionego posiłku. Można nawet przestać to świadomie zauważać, ale czarne skrzynki rejestrują ciągle te niezgodności, same prowadzą się dzienniki dziwności, niekoherencji i zgrzytów.

Może dlatego kompletnie nie mogę spać, tylko leżę czujna, zasłuchana w tę zupełnie inną, bardzo głośną ciszę. Furkocze klimatyzacja, ciurka spłuczka, słychać chichoty i piski bakterii zabawiających się przeskakiwaniem ze sprzętów i z zasłon na moje rzeczy; zza okna krzyki, pipczenia i coś jakby monotonne cyfrowe miauczenie (teraz wiem, że to sygnał cofającej ciężarówki) (ale wtedy ta rzeczywistość była dla mnie kompletnie nieobliczalna – równie dobrze mógł to być po prostu szwendający się po ulicy wielki hologram kota).

Bezsenność zaczyna rządzić moim życiem. Bezsenność to moje drugie, a może nawet pierwsze ja; w dzień snuję się przymulona, tak jakby czekając tylko na noc, kiedy to położę się do łóżka (zgodnie z zaleceniami – o stałej porze!) i zamknę oczy. Jednak umysł jakby wtedy dopiero rozpoczyna swoje właściwe życie: myśli, słowa i strzępy obrazów skaczą po głowie rozjuszone; istnienie grzmi we mnie złowrogo jak wodospad czy nadciągająca burza, a wyostrzona percepcja wampira zbiera każdy szelest, jęk, skrzyp i szmer.

Niby jest ciemno, ale wysokościowce naprzeciwko wypełniają mój pokój neonową poświatą. Non stop rozświetlone sekwencje ich okien są ekspozycją różnych obsesyjnych, mrówczych wysiłków poza przestarzałymi, niemodnymi cyklami dnia i nocy. Dwadzieścia cztery godziny na dobę maleńkie sylwetki pochylają się nad komputerami i odkładają segregatory na półki, drukarki drukują, a faksy faksują, wypluwając wężujący papier. W siłowniach biegacze pędzą na bieżniach, a sztangi łamią się jak trawa; kręcą się skórzane fotele na przedłużających się konferencjach, prezentują się prezentacje w PowerPoincie; neony neonizują. I tak w kółko.

Budzę się o trzeciej i oglądam YouTube'a do szóstej. Zasypiam o dziewiętnastej, budzę się o pierwszej w pełni wypoczęta. Zasypiam o szóstej rano, budzę się o jedenastej jak zombie, które właśnie wylazło z katakumb, żądne kawy i krwi. Nie pomaga sprzątaczka, która zjawia

się ze swoim wózkiem o najdziwniejszych godzinach, a gdy udaje mi się obudzić, wygrzebać z łóżka i otworzyć jej drzwi z miną odmumifikowanego po latach faraona, wybucha dzikim diabolicznym śmiechem, eksponując połamane zęby i klepiąc się po chudym brzuchu.

Moi koledzy pisarze przepadli gdzieś w labiryntach Skiline, na pewno świetnie sobie radząc, śpiąc, bez trudu zamawiając posiłki, mając tu bandy znajomych, z którymi jeżdżą kabrioletem, i urządzając wojny na poduszki, a do tego codziennie pisząc po pięćdziesiąt stron wielkich powieści, które przyniosą im sławę i uznanie, podczas gdy ja błąkam się bez celu po ulicach i żywię tym, co uda mi się wysępić w języku ciała, a szczęśliwy traf chce, że nie ma w tym mięsa.

Mój głód socjalizacji musi być wyczuwalny, bo ludzie zaczynają się nade mną odruchowo litować. Najpierw w barze z zupą naprzeciwko Skiline przysiada się do mnie miła Włoszka. Jak ludzka wydaje mi się po paru dniach nicniemówienia, jak sympatyczna, jak przemyślna, jak ciekawą, bogatą osobowością obdarzona; niemalże proponuję, że właściwie mogłabym się do niej przeprowadzić i żyć z jej rodziną (oczywiście dopóki mi nie zaufają, pełna rozdzielność majątkowa), a jeśli ona jest mi to gotowa zaproponować, to na pewno się nad tym zastanowię i oczywiście, że się zgodzę…

Potem zaczepia mnie pod windą młody Angol… rozmawiamy o naszych karaluchach… jaki jest ludzki, jak mi bliski w swoim nimi obrzydzeniu, jak rewelacyjnie, płynnie mówi po angielsku! Jak bogate ma słownictwo, jak dobry akcent, to niewątpliwie bardzo inteligentny, wartościowy młody człowiek. Niemalże rzucam się na niego emocjonalnie, próbując dać mu do zrozumienia między wierszami, że jeśli chce, to może przeprowadzić się do mnie, a jeśli to, że się nie znamy, krępuje go, to jestem gotowa na różne kompromisy, mieszkając u mnie, może przecież ciągle mieszkać u siebie, wszystko, byleby nie zaprzepaścić naszej relacji, naszego związku. (I czy pamięta, że niedługo mamy okrągłą, trzecią minutnicę? To już za minutę).

Wreszcie, gdy palę papierosa przed Skiline, przyłącza się do mnie młody Hindus; kojarzę go, bo spędza tu całe wieczory ze smartfonem przystawionym do brody, prowadząc głośne, chodzone wideokonferencje. Zadaje mi standardowy zestaw pytań dla expatów

(imię, kraj pochodzenia, co robię w Szanghaju), jednocześnie obcinając sobie paznokcie. Niby obrzydliwe, ale takie ludzkie. Ostatecznie to miły gość i do końca pozdrawiamy się rutynowo podczas tych jego wieczornych sesji. Nie wracam już do tych paznokci; wieczorny widok jego spacerów z papierosem i smartfonem przy brodzie będzie nieraz dodawał mi otuchy; to z takich surogatów trzeba sobie zbudować tu jakiś rytm, jakiś porządek rzeczy.

Tymczasem powoli wdrażam się w umiejętność zamawiania jedzenia w restauracji. Zaznaczmy: jedzenia takiego, jak chcę, a przynajmniej bez zawartości mięsa, bez większych jego kawałków, bez widocznych oczu, uszu, nerek i ogonów zwierząt. Na początku towarzyszy temu masa problemów i stresu, bo właściwie nikt nie porozumiewa się po angielsku, a zjawiający się w barze obcokrajowiec potrafi wywołać szczerą ekscytację i wśród gości, i wśród obsługi. Nie zrozumcie mnie źle: nie ma w niej wrogości, na twarzach maluje się po prostu to serdeczne antropologiczne niezrozumienie, niedowierzanie, że można tak wyglądać; wraz z nim pojawiają się obopólne onieśmielenie, ogólny zamęt i wyrażenie w języku ciała słowa „wegetariański" staje się poczwórnie i popiątnie trudne, poszóstnie niemożliwe. A nawet jeśli przypadkiem mi się uda i cała w euforii nachylam się nad miską, to nieraz wtedy coś mnie tchnie, coś każe mi się odwrócić, i już widzę na sobie to zawieszone, niedowierzające spojrzenie: EJ, tak wyglądasz? Nie no, jaja sobie robisz. SERIO? Poza tym nawet to, co zdawało się grzybem czy „czymś dziwnym", nie raz, nie dwa okazuje się narządem wewnętrznym lub członkiem jakiejś niewinnej istotki. Do rozpoznania najczęściej dochodzi za późno, gdy to coś już mam w ustach, a uginając się pod ciężarem badawczych spojrzeń współjedzących, nie mogę tego wypluć.

Impas zostaje pokonany, gdy zaczynam stołować się w barze naprzeciwko, gdzie można samemu organoleptycznie wybrać z lodówki składniki zupy i poprosić o ich przyrządzenie. Czegóż tam nie ma: dziwne kuleczki, paseczki, związane recepturkami szpulki makaronów i różnych liści… kulkowate paraparówki na patyczkach, kawałki dziwnych rzep, kalarep, nenufarów i rukwi wodnych… Och, jakim

wybawieniem jest dla mnie ta niewielka nora z wystawą oblepioną świętymi mikołajkami i choineczkami i ze standardem czystości wyrażonym przez smutną, zaciętą buźkę.

Nie inny wyraz twarzy ma właściciel, mężczyzna tyleż przystojny, co gwałtowny, nieprzyjemny, rzucający resztą i nigdy niepozwalający sobie na opuszczenie gardy, chwile rozmemłania takie jak uśmiech czy ogólnie wyraz twarzy inny niż u Bruce'a Lee w sekundzie przed zadaniem ciosu. Nie wiem, jakie porażki, rozczarowania i urażone ambicje stoją za jego opryskliwą naturą, ale ilekroć przychodzę do niego z miską, czuję się jak namolna mucha brzęcząca tuż koło jego rany. Przyglądam mu się zawsze w lustrze, gdy czekam na swoją zupę… Piękny cham pochyla się nad garami wrzącego bulionu, aromatycznego i złotego, podkręconego glutaminianem sodu, chili i kolendrą. Drapie się nożem po szyi lub zostawiając wszystko, wypada przed bar i przechadza się nonszalancko z podwiniętą pod piersiami koszulką, pozwalając postronnym podziwiać swój dumnie wypięty brzuch. Nierzadko, gdy jesteśmy w lokalu sami, zaczyna rechotać albo głośno i nieradośnie śpiewać, właściwie wykrzykiwać słowa jakiejś piosenki; czasem niestety podejrzewam, że śpiewa coś w rodzaju: „Ty głupia cipo, kto cię u mnie chciał?", ale nie mam na to bezpośrednich dowodów… Może to być równie dobrze *Barka* po chińsku. Tak czy siak, na samym początku lokal ten, zwany przeze mnie roboczo U Chama, ratuje mnie od głodu i deprywacji międzyludzkiej. Bardzo nowoczesny (fonosferę bombarduje bezustanny strumień dżingli – zamówień dochodzących przez aplikację), a jednocześnie pradawny (teściowa w kuckach z nożykiem przy płaskowyżu warzyw), ale też futurystyczny (okrakiem skrobiąc warzywa, prowadzi permanentną wideokonferencję z wnuczkiem, śpiewając dla niego piosenki i udając zwierzęta). W środku mieszka chyba właściwie cała rodzinka, a przy jednym ze stolików toczy się ich ciągła śniadanioobiadokolacja. Trwają kłótnie i dyskusje, śmiechy i gniewne krzyki. Na mnie, osobę wykorzenioną i wyabstrahowaną, ta ciepła, konfliktowa, wrzaskliwa atmosfera, oscylująca pomiędzy wspólnym półsnem a awanturą, działa jak magnes.

Tęsknię za bliskimi. Skype, przez który się komunikujemy, tylko psychodelizuje jeszcze sprawę mojej samotności: raz po raz chcę ich

dotknąć, ale wtedy uświadamiam sobie, że to tylko magia, ułuda, cyfrowa fatamorgana – dzieli nas ponad osiem tysięcy kilometrów, nawet nie wiem, ile to jest, w jakich jednostkach to sobie wyobrazić: w górach? płaskowyżach? oceanach? Dziwna ta namiastka bliskości. Nie mogę nawet dotknąć włosów córki, chociaż raz po raz robi mi psikusy, włączając mi nagle piosenki na Spotify.

Wreszcie po tygodniu udaje mi się dorwać jakichś ludzi – w niedzielę idę do Karola i Marcina na obiad. Mieszkają niedaleko mnie, przy West Nanjing. Jakże pysznie mieszczańskie wydaje mi się to ich mieszkanie, z jedzeniem i książkami, po mojej pustej faweli; niemalże odruchowo wprowadzam się do nich, już trzeba się ode mnie opędzać i chrząkać, bym wzięła z łazienki swoją panią walewską i dentosept, który położyłam tam tylko na chwilę, na wypadek, gdybym chciała ich jutro, pojutrze czy popojutrze użyć, więc czemu niby nie mogłyby sobie tutaj od razu stać?

Gadamy o Chinach i pewnym oporze, który stawiają przy próbie opisu, niemal od razu wyprowadzając śmiałka na manowce anachronicznego antropologizowania, wpatrywania się w gapy

kulturowe z naiwnym przekąsem („W pidżamie po ulicy?!”). Ale jak właściwie o tym wszystkim mówić, jeśli nie z perspektywy tego ciągłego zadziwienia? To pytanie będzie mnie już ciągle prześladować; jak mam zabić w sobie to permanentne, niegustowne antropologiczne podminowanie? Jak mam się antropologicznie nie ekscytować, skoro jestem właściwie ciągle podekscytowana? Te emocje wydają się w pewnym stopniu naturalne, uniwersalne: inność tego świata uruchamia w nas alarmy dziwności, niedorzeczności, absurdu, jednocześnie kwestionując obiektywność tego, co znamy. Ostatecznie wydaje mi się, że to dreszcz doświadczenia swojego istnienia w nagle rozszerzonej perspektywie, której rzadko doświadczamy: jako obywatela planety, członka ogólnoświatowego stowarzyszenia Ludzkość. Jednocześnie nie sposób uniknąć mściwych fantazji o zrozumieniu niezrozumiałego. Rozbrojeniu tej dziwności, zdemaskowaniu jej, przeniknięciu umysłem, powiedzeniu: „Eee, już wiem. Coś następnego”. Pojawiają się plany, głównie te szczególnie łatwe do snucia: wsteczne. Cofnąć czas o pięć–dziesięć lat, szybko nauczyć się chińskiego… Przeczytać przynajmniej dwadzieścia z pięćdziesięciu tomów *Krótkiej historii kultury i gospodarki Chin*, jeśli to możliwe, może nawet zostać Chinką… I dopiero wtedy tu przyjechać, mądra, świadoma, że za każdą rzeczą, którą obserwuję, stoi konkretny proces ekonomiczny, historyczny czy społeczny (puszysty wzdęty biały pudel w maleńkich lakierowanych adidaskach robi siusiu na chodnik; starsza pani odrywa kawałek papieru i wyciera mu tyłeczek… obok pan z wózkiem dziecięcym, a właściwie – wózkiem pudlim; razem wsadzają do niego swojego synka i kierują się ku domowi) (kobieta na skuterze z CAŁĄ twarzą owiniętą czarną siatką) (na to okulary) (mężczyźni w pidżamach w kolejce po bao) (trójkółka ciągnąca ładunek objętości u nas zazwyczaj przypisywanej tirom – ze względów bezpieczeństwa przewiązany oczywiście taśmą klejącą).

(Im dłużej jestem w Chinach, tym większa ogarnia mnie chęć OBRONY swojego poczucia dziwności. WSZYSTKO to ja rozumiem w Polsce i wcale nie jestem z tego zadowolona – tutaj zamierzam paść się tym niezrozumieniem, ćpać je do ostatniej molekuły. Nie chcę wiedzieć, jakie nudne i racjonalne przyczyny stoją za różnymi rzeczami

i dlaczego w centrum handlowym oprócz diabelskiego koła wysokiego na sześćdziesiąt metrów zauważam automatyczną bibliotekę 24 h/7, a także coś w rodzaju budki do karaoke… To rzędy jedno- lub dwuosobowych boksów; ile razy podczas zakupów ogarnia was przymus zaśpiewania jakiejś piosenki do mikrofonu, a kompletnie nie ma gdzie go rozładować? Tutaj ten problem nie istnieje. Skanujecie kod QR, znajdujecie w książce piosenkę, śpiewacie i po sprawie).

Euforycznie zanurzam się w dziwności. Sprzyja temu na pewno fakt, że moja bezsenność wcale nie mija. Czytam książki o Chinach i na zmianę oglądam YouTube'a. Oferta dla ludzi niemogących spać jest bardzo bogata, pozwala przekuć koszmarną noc przewalania się z boku na bok w produktywny, kreatywny czas, twój czas; samorozwój, zysk, sukces. „Afirmacje na dobry sen", „Sześć rzeczy, które milionerzy robią codziennie", „Hipnotyczne nagranie na dobre zaśnięcie", „Rewelacyjne nagranie na dobre zaśnięcie, gdy tamto nie zadziałało", „Jak zrobić masaż brzucha", „Przez miesiąc jadła tylko cytrynę, zobacz, co się stało".

Oglądam i oglądam, oglądam i oglądam, sukces nie nadchodzi, ale niewątpliwie zaczyna się ze mną dziać coś dziwnego. Wymęczony umysł zaczyna jakby jakieś autoporządki, czyszczenie dysków, trzepanie dywanów; nagle przypominają mi się jakieś osoby, jakieś rozmowy, jakieś sceny w wielkich zbliżeniach, ze szczegółami. Czasem widzę to wręcz panoramicznie; sądy ostateczne Memlinga i bitwy pod Grunwaldem mojego życia: brat wkładający sobie do ust całego zraza, ojciec pali papierosa przy oknie, patrząc na parking, babcia obiera pomarańcze, papierki do trwałej, które wyrzuciłam przez okno, latają na wietrze. Odrywający się od tapety plakat ZZ Top w pokoju kuzynów, biały nalot na starej czekoladzie z Niemiec. Wzór na dywanie w dużym pokoju, wróbel rozpłaśnięty na szybie forda transita, którym jedziemy z mamą do Hamburga, szczypawki pod wilgotną cegłówką. Rozkraczają się i ściągają na powrót całe kalejdoskopy miejsc, obiektów, twarzy bliskich: żywych i zmarłych. Zdarzenia, które tak mozolnie latami nastawały jedno po drugim i z siebie wynikały, teraz wysypują się z mózgu wszystkie naraz, bez chronologii, bez kontekstu. Na co dzień blokowane przez superskuteczne firewalle, teraz na chińskim zesłaniu

aktywizują się nagle, wypełniając się realistycznym, namacalnym prawie detalem.

Tymczasem poznaję pierwszą koleżankę: to Millie. Błąkam się, udając przed sobą, że mam jakieś plany, że jadę do jakiegoś muzeum, ale wtedy pod metrem nagle widzę ją, bo też trudno jej nie zauważyć… Dwa razy większa od wszystkich, wspaniała błyszcząca Jamajka. Jej skóra to czekolada siedemdziesiąt procent, jej włosy to futurystyczna rzeźba z czarnej waty („Och, po prostu się dziś nie uczesałam"); ta pierwsza odrobinę znajoma osoba widziana od wielu dni wprawia mnie w euforię, musiałabym być głupia, by przepuścić taką okazję. „Znam człowieka! Znam człowieka!" – zdaje się sobie nucić moja psychika, gdy idziemy ulicą z Millicent, która jest jak czarne trzy mnie, ja jestem jak jej biała, drobiąca obok jedna trzecia. Wyglądamy jak całkowite antybliźniaczki, wywołując podziw, ekscytację, przerażenie i popłoch.

Carrefour zajmuje dwa piętra gigantycznego centrum handlowego Cloud Nine – są to jakby cztery Arkadie postawione jedna na drugiej, jeszcze z węzłem metra pod spodem. Kroczymy wśród półek. Millicent metodycznie kompletuje swoje sprawunki: zeszyt, ręczniczek z kotkiem, olej, herbata, wreszcie kurczak… Wielkie wrażenie robi ten przeskalowany expacki market, gdzie można kupić makarony Barilla i sery Serenada, pomidory w puszce z Francji, masło Président i hiszpańskie wina. Ale nie zapominajmy, gdzie jesteśmy: tuż obok w akwariach wchodzą sobie na głowy ocipiałe z przerażenia, stłoczone żaby, gramolą się bezradnie żółwie i węże.

Millie mówi, że też nie może spać. Jej okna wychodzą na chaotyczne bloczysko, od tego widoku można zgłupieć. Stare mopy, klatki z ptaszkami, wiatraczki, pudła, karabiny. Suszą się prania, suszą się mundury jakichś wojsk czy służb! Millicent budzi się codziennie o drugiej i w oknach widzi mężczyzn grających tam całe noce w karty. Takich ziomków widuję też wieczorami za witrynami zamkniętych już jadłodajni albo siedzących wprost na chodniku – fotelik, stoliczek, na desce kawał mięsa z wbitym nożem, talerzyk z *soya beans* czy grzybkami, wyszmelcowana talia. W pidżamach czmochają papierosy, spijają jakieś lokalne pryty i rozdają karty do kolejnej partii.

Czasem myślę, że te ulice mnie wreszcie wykończą, te motorki pojawiające się bezszelestnie znikąd, ci ludzie na nich palący papierosy lub piastujący dzieci, gadający przez telefon albo odrabiający lekcje – wreszcie wiozący psa, kaczkę czy wielki wazon, poubierani we wszystko, co znaleźli, płaszcze, futra, kwefy, mundury, maski, moskitiery. Jest ich tak wielu, a może to jeden, tylko tak rozmnożony, tak szybko przemieszczający się, uwijający pilnie, przepychający sam ze sobą Chińczyk. Czasem chodzę wśród nich zupełnie bezsensowna, bez żadnego powodu, kierunku czy celu.

Pewnego wieczoru znajduję na ziemi zgubioną przez jakieś dziecko magiczną różdżkę na baterie. Leży w ciemnościach przy przejściu dla pieszych, łyskając sztucznymi diamentami składającymi się w serce. Po naciśnięciu emituje wrzaskliwe, płaczliwe sylaby, którym towarzyszą efekty świetlne, rzuca jakieś zaklęcia… Nakierowuję strumień komputerowych pisków i wrzasków na miasto, okolicę świątyni Jing'an. Czar nieznanej treści zaczyna działać niemalże od razu.

Już niedługo potem poznaję Isabelle – to taka Belgijka, której angielski napowietrzony jest czarownym frankofońskim fą-fą-fą… Ma potargane platynowe włosy z zielonkawym poblaskiem i zawsze cudownie krzywo położony eye-liner. Jest pisarką, reżyserką i aktorką; obcasy, torebki, pierścionki, niedopalone papierosy ze śladami czerwonej szminki, które w roztargnieniu upycha z powrotem do paczki; pozwijane w kulki stówki na taksówki – to właśnie jej styl. To kobieta, która lubi życie; tak magnetyzuje rzeczywistość, że tam, gdzie wchodzi, automatycznie zjawiają się darmowe drinki i gintoniki (nawet w strasznej chińskiej dyskotece jakiś zrozpaczony Chińczyk wlepia jej kieliszek. „Powiedział, że mi to daje, bo nie może znaleźć sobie żadnej żony"), a ona przyjmuje tę hojność wszechświata z wdziękiem i dobrze upozorowanym zaskoczeniem. Zachwycona kąpie się w wygazowanym szampanie od niemogącego ożenić się Chińczyka, je prosciutto palcami z paczki i zapisuje zdania do swojej nowej książki w poprzek serwetek.

Któregoś wieczoru zawieramy pakt przeciwko samotności, bezsenności i depresyjnym wnętrzom naszych pokoi. Zamiast leżeć i słuchać sapania klimy, ciurkania wody w popsutych spłuczkach

i knujących po kątach karaluchów, idziemy do jednej z tych euroknajpek z fałszywą pizzą i cabernet z piekła rodem. Fakt, nie słyszy się tego często: „Chińczycy narodem winiarzy", „Słynne winnice Yunnanu i Syczuanu ciągną się aż po horyzont". Lecz w najśmielszych podejrzeniach nie sądziłam, że wylądujemy na takim bezwiniu: ten kosztowny jabcok z nutami barszczu Winiary nie przeszedłby nawet nocą na Orlenie.

Podziękowawszy więc za dolewkę, defetystycznie kierujemy się z powrotem ku naszemu zramolałemu drapaczowi chmur, gdy nagle kątem oka rejestruję jakieś światło, miły gwar… Jak fatamorgana pozbawionym nadziei wędrowcom na Julu Road objawia nam się wnętrze pełne najróżniejszych fruktów i napitków. Są to jakby delikatesy, ale z kontuarem wychodzącym na ulicę; obsiadują go różni lokalni abnegaci, którzy na nasz widok bardzo uprzejmie się rozstępują. Ktoś życzliwie zagaduje po chińsku, gdzieś wśród kartonów z nudlami od razu znajdują się krzesełka, ktoś idzie umyć dla nas kieliszki…

Musicie sobie to wyobrazić tak: starszy Chińczyk z tikiem przygląda się wszystkiemu zza grubych okularów z czułym pijackim niedowierzaniem. To właściciel, tak zwany Boss, z nieodłączną szklaneczką whisky; jego angielski jest bardzo skromny, ale traktuje go tonalnie, dzięki czemu ma bardzo mocne *„YES"*, *„NO"* i *„OKAY"*. Potrafi prezentować je w tak różnych kombinacjach i intonacjach, wzmacniając zagadkowymi gestami, że te pozornie nie najliczniejsze słowa mienią się sensem i znaczeniami; ogólna niejasność tylko jeszcze poszerza tu pole do interpretacji, a wręcz daje asumpt do poezji… *„YES NO"* albo *„NO OKAY"* mogą być czułe, kojące, rozmarzone czy pełne afirmacji, lecz potem nagle czoło Bossa może się nachmurzyć i *„NO"* czy *„OKAY YES"* wyrwą mu się donośne, porywcze, nieznoszące sprzeciwu… Oprócz tego cierpiący na niezrozumiałe napady dzikiego śmiechu barman, serwujący mocne i demoralizująco tanie koktajle, doprowadzając okolicę do pijaństwa… Gość z Tajwanu z wielkim rudym psem imieniem Kot, który karmiony jest serem z paczki (jedna z pierwszych ofiar nabiałowej propagandy) (kiedy zrozumie, że wychładza sobie nerki i zakwasza organizm?). Do tego jeszcze skromny

i małomówny kasjer… Ktoś tam jeszcze… po ulicy błąka się dziadek w pidżamie na spacerze z psem…

Z knajpy obok zostaje przyniesione pudełko z jakimiś pysznymi rzeczami, o których nie chcę właściwie do końca wiedzieć, czym są, gdy zostają nam wręczone wykałaczki.

– *Bolan beautiful.*

– *Cheers!*

– *YES OKAY!*

– *All peoples are the same.*

Tak zostajemy z Isabelle przyjęte do dziwnej rodziny chińskich mężczyzn w różnym wieku i zaczynamy razem z nimi przesiadywać w, tak jak wspominałam, sklepie spożywczym; w sklepowej lodówce mamy swojego otwartego szampana.

Kogokolwiek byśmy tam przyciągnęły, zostaje przyjęty z honorami. *„All peoples are the same!"* W takim radosnym kotle chyba nigdy się kotłowałam. Kogo tam nie ma! Wyglądamy wszyscy jak żywa reklama United Colors of Benetton, której niesubordynowani modele zestarzeli się, utyli i poniżyli; pogubili gdzieś kolorowe akcesoria i kaszmirowe szaliki, a cała nonszalancja i wystudiowana obojętność na twarzach roztopiła się w rozmigdalonych pijackich uśmiechach…

Trwają dyskusje, debaty polityczne, najserdeczniejsze, a może po prostu najgłupsze toasty. Przechodnie się zatrzymują, dosiada się jakiś transwestyta nihilista w kabaretkach i designerskich szatach-misiurach-sieciach rybackich, bardzo wstydliwy, dziewczęcy i nieśmiały; Isabelle częstuje go swoim prosciutto, już siedzą razem i przekrzykują się markami jakichś projektantów i blogerów modowych, obskubując tłuszczyk z plastrów. Ciągle ktoś przychodzi, wychodzi, wita się; Paulo tarmosi Chińczyków, ze swoją brazylijską serdecznością przydusza do serca, a jeden z gości nagle okazuje się masażystą… Ledwie się odwracam, patrzę, a już jakimiś niesamowitymi, spazmatycznymi ruchami masuje Bossowi plecy. Ten siedzi z przyklejoną do dłoni whisky, a na twarzy ma kompletne rozmarzenie; reszta pomaga, kibicuje… (Potem jeszcze okazuje się, że masażysta

posiada dar wykrzykiwania nazw różnych polskich miast, niestety z jakichś powodów po niemiecku. Potrafi też gwizdać Chopina nosem). *COMMUNITY*, jakiej nie wyimaginowałabym sobie nigdy, nie ma mowy.

Żeby nie było tak idyllicznie, któregoś wieczora niebo nad „THE PLACE", bo tak zaczynamy nazywać sklepobar, zaciągają ciemne chmury. Nie wiadomo skąd pojawia się jakiś zatatuowany po czubki uszu typek z L.A. Gdy podchodzi, by się nam przedstawić, już po samej aurze wiem, że tego gościa lepiej nie przykładać do rany. Uśmiecha się, ale to tylko skurcz twarzy; patrzy na nas, ale to pewien kierunek, który obrały jego puste, ewidentnie długo macerowane w narkotykach oczy. Coraz bardziej pijany, coraz bardziej toksyczny, jak jakiś pojebany rotawirus kręci się, lawiruje między nami, skłonny wpić się w kogokolwiek, byle tylko wywrzaskiwać swój chaos i ból nie w otwartą przestrzeń. *„I'm gonna die soon, I just know I'm gonna die soon, you know?"* – bełkocze nam destrukcyjnie do uszu z nonsensownym diabolicznym uśmiechem i choć wiem, że to typowy motyw z libretta pijackiej opery, to przechodzi mnie dreszcz, że niestety może mieć rację. Każdym słowem wzywa chaos i zniszczenie i w moim kraju od razu ktoś zareagowałby na tę jego łatwą do wyczucia potrzebę; już od ładnych paru chwil leżałby z obitą mordą, o co mu prawdopodobnie tak naprawdę chodzi. Jednak tutaj ma pecha: trafia w totalną próżnię agresji. Z rosnącymi ze zdziwienia oczami obserwuję, jak chodzi, zaczepia, nastręcza się, przeszkadza, wampirzy i mataczy, ale jego starania spływają po chińskich mężczyznach jak woda po kaczce. Z jogiczną, postkolonialną cierpliwością znoszą jego ręce uwieszające się na ich ramionach, zmilczają pijackie kalumnie, samoumartwienia i groźby. Wreszcie pomagają mu zamówić taksówkę i odprowadzają go do niej, cierpliwie negocjując z kierowcą. „Ten człowiek mało myśli, dużo mówi" – tłumaczy nam San z Tajwanu słowa Bossa, wpatrującego się bez zadowolenia w swoją szklaneczkę. NO OKAY.

Innego z kolei wieczoru poznaję tam A. Dwóch młodych chłopaków o skomplikowanych kolczykach i równych ślepiąco białych zachodnich zębach; studiują tu prawo autorskie, są na jakiejś wymianie. A. afirmuje Polskę, opowiada mi, jak był na Unsoundzie, jak jadł barszcz na kacu w porannym słońcu nad Wisłą i to było najlepsze, co kiedykolwiek jadł.

Natomiast nie ma dobrego zdania o polskich narkotykach, mega tanie, ale odcięło mu po nich nogi… Cóż, mogło tak być. Zawsze w takim wypadku warto złożyć reklamację z fakturą lub paragonem, a jeśli sprzedawca odmawia jej przyjęcia, sprawa powinna trafić w ręce niezależnego rzeczoznawcy. Gadamy, znowu ktoś przychodzi, wychodzi, pojawiają się dziadziusie z kwiatami, A. cierpliwie skupuje od nich rachityczne goździki, jak mówi, nie w celach romantycznych, ale humanitarnych… Ulicą suną maybachy, tuk-tuki i motorki; A. strasznie się jara i cieszy, bo w klubie niedaleko gra dzisiaj jego ukochany DJ Mesh.

Od słowa do słowa lądujemy z nim na techno. A. mówi, że nie jest religijny i że jedyne, w co wierzy, to w Boga Alkoholu i Imprezy, i zawsze gdy wychodzi wieczorem z chaty, modli się do niego, by spotkać jakichś *cool* ludzi. No nie wiem, czy został wysłuchany. Ja, Isabelle i Noe to miła paczka, ale trzeba przyznać, że zawyżamy tu średnią wieku i nieco obniżamy poziom stylu.

Do klubu wchodzi się z zapyziałej bramy, z techno nie ma to nic wspólnego, najwyżej ktoś mógłby tu tłuc do rytmu konkubinę, a dziecko z brzękiem wyjadać psu chrupki z miski. Jednak to, co stwarza wrażenie praskiej czynszówki, w środku okazuje się jakimś nihilistycznym silosem. W betonowej pustce kłębi się matowy szary dym. DJ-e skupieni nad stołem jak jacyś kapłani, arcybiskupi, być może właśnie tej religii, do której należy A., do jego Kościoła Alkoholu i Imprezy w Odrodzeniu Niechrystusowym. Na diabolicznych projekcjach liżą się namiętnie języki płomieni; spazmujące eksperymentalne techno rąbie czas i przestrzeń na nierówne, odpryskujące kawałki.

Powoli zbiera się publiczność. Po schodach suną dziwadła, postaci rodem z *Ubika*, trwa jakiś oddolny pokaz mody. Gramolą się futuromaszkary, dziwostańczyki i technosyreny. Kwadratowe buty, neonowe kurtki z siatek, druty kolczaste, anteny, futra lub wręcz odwrotnie: mangowe pensjonarskie princeski, pantofelki, podkolanówki, grzywki i warkoczyki, spodnie dzwony i wilkołackie bokobrody. Niektóre dziewczyny naprawdę zapierają dech w piersiach. Mają piękne pobłyszczone twarze, jakby się wysmarowały wyciągiem z lustra, rozchylone usta, włosy nieludzko czarne, matowe i potargane,

jakby właśnie wytrząsnęły je z kasków po wyjściu z rakiety… W ich strojach zawsze jest jakiś element rozstroju, deformacji, który sprawia, że wyglądają jak postaci ze *Star Treka*. Oglądam to wszystko z opadem szczęki, podczas gdy A. cały czas gada. Gada i gada. Ostatnio poznał tu jakąś dziewczynę z Rosji, która potem zaprosiła go do domu. Po czym gdy wszystko już szło tak dobrze, kazała mu spać ze swoim kolegą. *„I thought you wanna fuck*". *„Actually I thought you are gay and you could fuck my flatmate?*"

Ach, te erasmusy. Gdzieś kątem wyobraźni widzę, jak surrealistyczna musiała być to scena, gdy nad ranem w jakimś wynajmowanym mieszkaniu opryskliwie licytują się, kto powinien z kim kopulować; kłócą się, straszą rzecznikiem praw konsumenta… Przyznaję mu rację, że to okropne, a ludzie traktują się *these days* tak bardzo instrumentalnie.

– No właśnie – ciągnie on tyleż gorzko, co cokolwiek irrelewantnie – jak się kogoś zaprasza po imprezie do domu, to chyba oczywiste, że żeby się jebać?

Czy ja wiem? Dla mnie ta tutaj technomsza jest kompletnie aseksualna, jakaś aludzka. Wszyscy teatralnie patrzą w nicość; twarze są sinawe, oczy obojętne, ciuchy z blachy i pianki, cechy płciowe ukryte bądź w zaniku. Dystopijna muzyka sprawia, że czuję się jak w czyśćcu; pod kopą pulsującego popiołu prasują mnie jakieś prasy, piorą mnie pralki, jakieś diabły tłuką mnie młotami po głowie. A. też jest jakiś coraz poważniejszy, bardziej zasępiony i coraz szybciej pije; teraz już wiem, że truje się smutkiem hazardzisty, który wie, że zaraz znowu przegra, ale cały koszmar jego nałogu polega na tym, że i tak musi zagrać.

– *You are so beautiful* – mówi niespodziewanie. – *I really would like to fuck you. You want to fuck?* – Tonem „sam nie wierzę, że to mówię, ale już to chyba mówię, więc jest za późno, chuj".

Ta propozycja zupełnie mnie zaskakuje – nie mam pojęcia, jak się nagle tu znaleźliśmy! – a jednocześnie jej niedorzeczność sprawia, że jakby w ogóle nie jest obraźliwa; niby jest seksualna, ale jest też aseksualna. To brzmi, jakby domagał się wody na pustyni; wolności

w więzieniu; porcji suchego lodu w saunie (trochę też przypomina żebraka spod świątyni Jing'an, który nie bawi się w żadne subtelności, tylko podbija znienacka, podstawiając ci pod nos swojego ślepego syna, i rzuca rzeczowe: „MONEY"). Jednak A. straceńczo nalega. Bez przekonania przekonuje, niekusząco kusi.

– *Wow, I really mean it… I like you… Sorry, I don't remember your name… Why can't we go somewhere and have a sexual intercourse? Let's fuck. You are beautiful.*

Ten argument powtarza wiele razy. No cóż, skoro się powiedziało a, to trzeba już powiedzieć a, a, a a a. „Mówię ci przecież, że jesteś, dlaczego wciąż stwarzasz te głupie problemy?" – może zaraz huknąć, uderzając mnie ścierką kuchenną przez łeb, bo jak grochem o ścianę! Ileż można strzępić język? Tłumaczyć? Gadał dziad do obrazu. Jest mi go nawet jakoś żal, bo zdaje się, że trochę przypadkiem wynalazł genialne perpetuum mobile seksualnego niepowodzenia i kręci się teraz na nim jak oszalały: weterynaryjnością obejścia próbuje pomścić to odrzucenie, właśnie nią jakby spowodowane; ratować swoje ego, które sam jakby tratuje… Ale może właśnie się mylę? Może jestem trzydziestosześcioletnią staruszką, która myślała, że z kimś sobie tylko rozmawia, tymczasem nieświadomie odbyła randkę przyszłości i teraz próbuje się wykpić od jej naturalnego biegu?

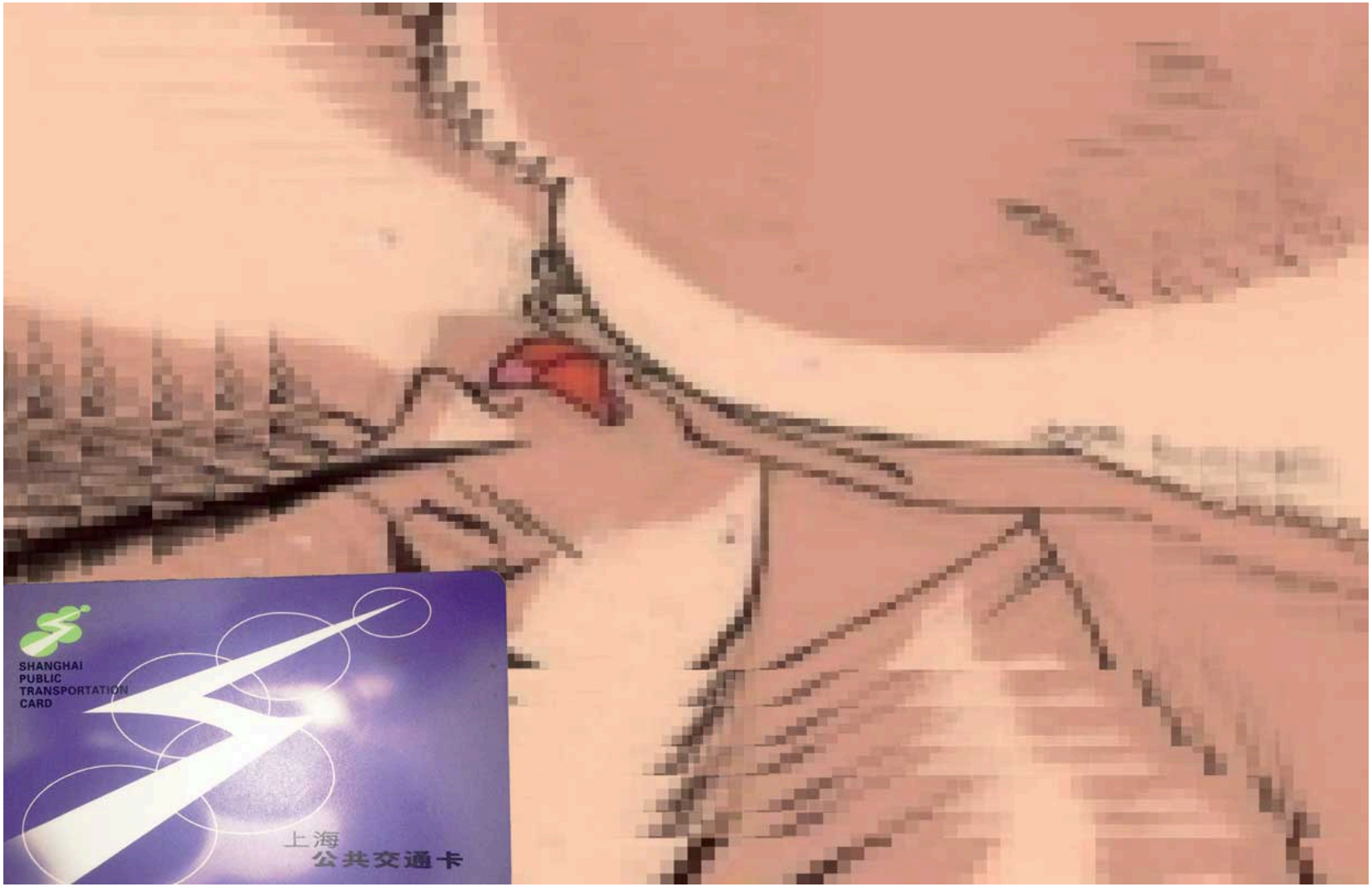
SHANGHAI
PUBLIC
TRANSPORTATION
CARD
上海
公共交通卡

To moje pierwsze, lecz nie ostatnie zetknięcie z propozycją seksu w obrządku tak niesentymentalnym; właściwie otwarcie sezamu progresywnie aseksualnych ofert seksualnych. Szanghaj jest pełen smutnych, wkurwionych mężczyzn z Zachodu: informatyków i inżynierów na kontraktach w wielkich chińskich korporacjach, w weekendy ponuro warujących w klubach na samice. Są przystojni, dobrze ubrani, mają kupę hajsu, którego nie mają tu na co wydać, i kompetencje interpersonalne mocno nadwątlone samotnością i izolacją. Ze swoimi wysoko cenionymi dyplomami zachodnich uczelni przyjechali tu do prominentnej pracy; całe życie codzienne outsourcingują w aplikacjach. Zamówione przez nich posiłki pojawiają się pod drzwiami w dwadzieścia minut, ubrania kupione rano na Taobao przyjeżdżają wieczorem. Na tym samym modelu próbują w klubach zrealizować potrzeby emocjonalne i seksualne, klikają cię: połączenie szyfrowane… oczekiwanie… wpisz ośmiocyfrowy kod… jesteś ładna. Zamawiam taksówkę.

Kiedy patrzę, jak nieradośnie, mozolnie tańczą, jak niezabawnie się bawią, znudzeni do granic, właściwie udając tylko zabawę na potrzeby tych beznamiętnych, gorzkich godów, dosłownie widzę wnętrza ich *serviced apartments* bez książek i bibelotów, drogie perfumy, rzędy identycznych koszul GAP w szafach, puste lodówki, w których wala się stary *organic bio chutney mango* i masło Président z Carrefoura, niezapłacony rachunek za konto premium na YouPorn… Chyba tylko ego każe im jeszcze szukać spełnienia z pozorami interakcji międzyludzkiej.

(Jak chcą, to mogę polecić im Oil Massage 24 h koło naszego wieżowca, niczego sobie burdelik, byłam, polecam. Choć masażystka nie cieszyła się bardzo na mój widok, a jej strój i makijaż wskazywały na to, że raczej właśnie zamierzała potańczyć sobie na rurze i pojawienie się jakiejś domagającej się masażu kretynki popsuło jej cały plan. No ale już było za późno… Władowała mnie na to łóżko z dziurą na twarz, przez którą zobaczyłam jeszcze jej diamentowe buty na czterdziestocentymetrowych obcasach, i to ostatnie, co pamiętam… oprócz różnych gwałtownych przetasowań w tkankach, gdy silnymi palcami oddzielała mi mięso od kości… Pamiętam też, że miała taki

trick: wyrwawszy mi wszystkie po kolei palce ze stawów, przejeżdżała delikatnie tipsami po całej ich długości, a nieznośny syntetyczny szmer wybuchał ogniami sztucznymi w całym moim układzie nerwowym… Poza tym nosiła czajnik oraz zaciekle kłóciła się przez uchylone drzwi z recepcjonistką, a im bardziej nie mogły dojść do konsensusu, tym bardziej mój masaż się radykalizował, wzmagał o gwałtowne, oprzytomniające uderzenia, klepnięcia i potrząśnięcia, ostatecznie ocierając się o coś w rodzaju bicia).

(Pewnego dnia „masażystki" z Oil Massage 24 h zaczepiają na ulicy Noego, proponując masaż. Ponieważ nie mówią po angielsku, porozumiewają się z nim za pomocą aplikacji tłumaczącej na bieżąco słowa, podsuwając ją Noemu pod nos. „To jest masaż relaksujący czy seksualny?" – mówi Noe do aplikacji. Masażystka odsłuchuje tłumaczenie i wygłasza do aplikacji odpowiedź. Łączenie… Buforowanie… „IT IS «FEAR OF DEATH» massage" – ogłasza poetycko aplikacja). (Jakby zgodnie z powyższym kilka dni później napis nad wejściem ulega przekształceniu. Teraz jest tam napisane „Oil Wassage").

Dobrze, ale ja w tym czasie dalej z tym progresywnym A. On też bardzo boi się śmierci, ale w końcu odpuszcza: mówi, że jest mu głupio, przeprasza mnie i może lepiej w takim razie pójdzie. To, że zostawia mnie po prostu na schodach klubu, stylizuje na rozwiązanie honorowe, jednak oboje wiemy, że nie opłaca mu się dłużej ze mną siedzieć. (Wyobrażam sobie jeszcze chwilę, jak zdesperowany wraca na parkiet, błąka się w kłębach dymu, próbując mimo wszystko naciągnąć kogoś chociaż na szybki numerek… Wszędzie przebrane za kobiety cycki i pochwy, na nogach i z twarzami, w ubraniach: czemu mu żałują, co to dla nich, czemu się tak wożą, co im, kurwa, szkodzi??? Gorączkowo, prawie już płacząc, bo ile można namawiać i się prosić, łapie je za nadgarstki, *„Do you want to fuck?"*, *„Sorry, maybe you want to have a sexual intercourse?"*, *„You?"*, *„What about your friend, ha?"*. Z niedającym spokoju wzwodem zagląda im płaczliwie w zimne oczy, odwołując się do zwykłej przyzwoitości, solidarności międzyludzkiej. Zaklina je na wszystkie świętości, obiecuje modlitwę do Boga Alkoholu i Imprezy albo właśnie odwrotnie: w minimalistycznym duchu bezdomnego spod świątyni

Jing'an podstawia im genitalia, rzucając suche: „FUCK". Jednak sztorm ogłuszającej muzyki porywa i miażdży jego słowa; narastająca społeczna znieczulica zdążyła już zebrać straszne żniwo w dziewczęcych sercach, nie zostawiając w nich jednej komórki empatii czy litości dla jego gorejącego, napiętego od nasienia worka. Wiezie go wezwanym przez aplikację DD z powrotem do domu. Nikt nie woła).

Isabelle gdzieś przepadła, tak samo Noe, co mam robić? Zebrawszy w sobie siły jasności, idę do dyskoteki wytańczyć ten cały przytłaczający nihilizm. Tam przy wtórze piosenek *Dancing Queen* i *Girls Just Want To Have Fun* spotykam trzech chińskich mężczyzn, trio rodem z filmu *Supersamiec*. Jeden mały, z wielkim puszystym jeżem na głowie, drobi i wymachuje krotochwilnie rączkami… Drugi, bardziej zamaszysty chudzielec w jakichś podszytych wiatrem szarawarach, trzeci z kolei dorodny, stateczny młodzieniec w typie Mao… Nieuleczalne poczciwiny, typy, przy których dziewczyny zasłaniają dekolty, obciągają spódniczki, a głowy przekręcają twarzą do tyłu. Trio wstydliwie drobi z boku, w sekcji dla loserów, podczas gdy pośrodku parkietu udają, że tańczą, te różne przystojne posępne eurosamce, klikające dziewczyny spojrzeniami w swoich AliFuck…

I nie wiem, kiedy ja i tych trzech typów popadamy spontanicznie w jakąś niemą zmowę; niezamierzone przymierze głupiego tańca; pakt idiotycznej zabawy. Jakby na pohybel tym wszystkim wożącym się, cynicznym smutasom wydurniamy się po całej sali. Szpagaty, wyskoki, skakanie przez kozła – salta, przewroty w przód i w tył, pompki. Amok okazuje się zaraźliwy, bo już dzieje się, co chce, cała sala wariuje, już robimy węża, Niemcy, Jamajczycy, Francuzi, Amerykanie, Chińczycy. Chyba wyglądamy jak zalana szotami i mojito strona z gazetki jehowych; wizerunki różnych ras i nacji suną tanecznym korowodem po całej stronie, rozpełzają się na inne kartki, wariują po prześlicznych oazach, tratują kwiaty na rajskich łąkach…

Nagle wszystko znika. Gaśnie muzyka, zapalają się światła, karoca zamienia się w dynię… Korytarzami gigantycznego klubu TAXXX ciągle niesie się gargantuiczny gwar setek niedokończonych rozmów. Dopiero teraz widać tych wszystkich mężczyzn bez pary zalegających bary, na chwiejnych nogach podpierających ściany, resztkami przytomności

w oczach browsujących jeszcze, czy nie plącze się tu przypadkiem ktoś bojący się śmierci tak samo jak oni… Wychodzę. Pod klubem dosłownie setki taksówek. Mijam kilka nieprzytomnych osób leżących na asfalcie, cuconych bez przekonania przez przyjaciół.

Wracam do domu kompletnie ciemnymi, gorącymi, zaparowanymi ulicami. Od czasu do czasu tylko sprzedawcy dim sumów ze swoimi wiklinowymi parowarami oferują pierożki i gorące poty wracającym zygzakiem *party people*. Idę cicho sama przez cały Szanghaj. Nie ma nikogo. Tylko w FamilyMartach na stolikach śpią pierwsi ludzie, którzy przyjechali na poranną zmianę do pracy.

„Czy ja mówię po chińsku?" – wrzeszczą nauczycielki i doprowadzone do ostateczności matki, gdy mimo że wypruwają sobie żyły, oczy podległych im dzieci patrzą na nie dalekie, wygaszone, niepojętne jak guziki. Chiński jest w tej popularnej prośbogroźbie figurą niezrozumienia, dyskomunikacji. Swoistym rewersem polskiego; mową nieojczystą. Antyjęzykiem.

GLOBALMAGA

Z kolei „za Chiny" znaczy tyle co „za żadne skarby świata". Za Chiny Ludowe coś się nie wydarzy, czegoś nie da się zrobić. To frazeologiczna intuicja nieogarnialnej obfitości: ogromu niepojętego, lecz i niewydolnego, bo nawet on nie może sprawić, by coś się stało. Tak jakby język polski przeczuwał w Państwie Środka jakąś niejasną niemożliwość, niewykonalność.

Inną odmianą obfitości jest „chińszczyzna", obejmująca ogół tanich, niskiej jakości rzeczy produkcji azjatyckiej. Tutaj też mamy mnogość, ale to już raczej profuzja bazaru czy „centrum chińskiego"; specyficzna liczność lichego, bogactwo bidnego. Sataniczne rozmnożenie, którym niepełnowartościowy ekwiwalent rekompensuje nabywcy swą bylejakość. Ale chińszczyzna to też jedzenie, ogół zjawisk gastronomicznych o proweniencji azjatyckiej.

„Chińczyk" może być niedrogim barem z gigantycznym menu albo po prostu potrawą. Może być Wietnamczykiem, w dodatku tak skłonnym do negocjacji z upodobaniami Polaków, że jego wietnamskość zanika. Podany w styropianowym laptopie kurczak z warzywami, ryż i kopczyk słodkiej kapusty polanej czymś w rodzaju keczupu ostatecznie jawi się jako wersja tradycyjnej triady ziemniaki – mięso – surówka. Jest to więc chińczykowietnamczyk spolonizowany, oswojony, bezpieczny. Ale ten margines zaufania też na pstrym koniu jeździ, bo choć legendy miejskie i żarty z przerzedzenia się populacji psów w okolicach chińczyków są już mocno retro, a zwyczajowe podejrzenie o podawanie Polakom mięsa czworonogów w egzotycznych daniach coraz częściej pada ostatnio na kebaby, od czasu do czasu ktoś umysłowo bezpretensjonalny decyduje się te fantazje resuscytować. („Znajoma znajomej znajomego znajomego jadła ostatnio kurczaka gong bao i coś było twardego. Dali do zbadania i okazało się, że to kawałki obroży"). („Autentyk").

Takie mniej więcej dane na temat Chin przechowuje język polski, ta nasza skarbnica wiedzy naturalnej, wiedzy w dużej mierze nieświadomej; organiczna, rzadko weryfikowana Wikipedia. „Chińskie" znaczyłoby w niej tyle, ile niezrozumiale ogromne i ogromnie niezrozumiałe, przy czym plastikowe, źle wykonane, ale cudownie, nieodparcie, magicznie tanie (z kawałkami psa). Język, czasami tak

palący się do zmian i mutacji, w innych kwestiach wykazuje zaskakująco małą zwrotność. Choć dynamika rozwoju Chin jest przerażająca, kosmiczna, i choć od dawna przenikają one do zachodniej rzeczywistości, infekując, a wręcz opanowując ją na różnych codziennych polach, polszczyzna zdaje się na ten wpływ nie reagować, a nasze mało rychliwe imaginarium ciągle ma do ich obsługi tylko tych kilka anachronicznych, filuternie rasistowskich figur w rodzaju „cing-ciang-ciong, portfel wsiąkł" i „daj, chiński sprzedawca jaj".

A przecież jemy chińskim na chińskim, siedząc na chińskim, ubrani w chińskie, obuci w chińskie. Drogie jest chińskie i tanie jest chińskie. Chińskie centrum stoi w każdym miasteczku, mieście, dzielnicy; to gęsto rozsiane po mapie Polski i świata punkty spedycji rzeczy supertanich, jednorazowych, nierzadko w tej jednorazowości spotworniałych, wykolejonych, bo obniżony do minimum koszt produkcji powoduje gdzieś po drodze wypaczenie lub wręcz zanik ich pierwotnej, deklarowanej funkcji. Zalegają więc hale centrów stosy, pliki, rzędy przedmiotów pozornych, których często jedyną właściwością jest to, że fizycznie SĄ. Istnieją. Taką też – jak się chwilami zdaje – pełni chińszczyzna w naszym życiu funkcję, nie użytkową, lecz symboliczną, dostarczając upragnionej jakości obfitości, dostępności, niepoliczalnego dostatku; dotychczasową reglamentację dóbr zastępując fantastycznym nadmiarem, nieskończonością.

Ten sam model realizują zresztą sieci z tanim skandynawskim designem (też ostatecznie *made in China*). Do nich przywabia nas lekko infantylna, radośnie bezpretensjonalna „pomysłowość" bibelotów i gadżecików. Jednak najradośniejsze i tak jest chyba ciągle to ich barwne zatrzęsienie, humorystyczny potop. W dodatku asortyment ulega częstym, sezonowym wymianom; resetuje się i pojawia we wciąż nowych odsłonach, tak jakby ilość designerskich wariacji wokół dzbanuszków, spinek i kubeczków też była nieskończona. Jest to laboratorium nowych, świeżo zdiagnozowanych potrzeb ludzkości: pudełka na banany w kształcie bananów, obieraczki do mango w kształcie mango, grzebyczki do włosów łonowych w kształcie włosów łonowych czesanych przez grzebyczki i mydelniczki na dwa mydła musiały się w końcu pojawić w naszych kuchniach i łazienkach. Euforia

nadmiaru nie tylko jest tu kategorią ilościową, ale też przejawia się w bzdurnej naturze tych rzeczy, w ich piramidalnej, prowokacyjnej zbędności. Bo bawi nas ta fantastyczna energia odnawialna, to nigdy nieusypiające morze plastikowych gizemek za parę złotych. Bawi nas ich złudność, chwilowość, nadmierność i bezwartościowość. Każdego stać, by beztrosko je popsuć, zniszczyć, sprezentować, zgubić. Chińczycy nadają naszemu bytowi jeszcze bardziej nieznośną lekkość i niespotykaną wcześniej zwrotność, produkując dla nas rzeczy, których nie żal stracić.

Niestraszne koleje i koleiny losu, powodzie, pożary, katastrofy klimatyczne i końce świata, gdy za każdym rogiem możemy rozpocząć wszystko na nowo. Skompletować: garderobę i wyposażenie domu – akcesoria religijne, instrumenty, kostiumy karnawałowe, a nawet te irytujące pierdółki, które zalegną szuflady i popielnice – to wszystko można przygruchać sobie w jednej chwili i w jednej chwili bez żalu stracić. To sklepy doby migracji i tanich podróży; doby monogamii seryjnej i rodzin nuklearnych, wreszcie: szybkich awansów społecznych. To majątek nierodowy, egalitarny i efemeryczny: obcinacze do paznokci i korkociągi do wina kupowane do każdego kolejnego wynajętego mieszkania. Ceny są tak groszowe, że to właściwie już wypożyczalnia; wypożyczone przedmioty zwracamy jak miejskie hulajnogi, niby tam, gdzie akurat stoimy, ale ostatecznie to przecież tylko stacja, początek ich mniej lub bardziej skomplikowanej drogi do mórz i oceanów…

Ciekawe, że tani plastik narzuca poetykę marynistyczno-oceaniczno-rzeczną. Kojarzy się z zalewem, powodzią i morzem, tak jakby był już nimi, zanim jeszcze do nich trafi; nasze ręce i domy zdają się tylko przystankiem podczas tego wielkiego rejsu, spływu. Jak ocean, w którym ostatecznie osiądzie na wieczność, jest plastik bezbrzeżny i nieogarniony; czy to jego produkcja, która dawno wymknęła się spod kontroli, czy też fakt, że „wystarczająco dużo" przestało wystarczać, a sycące jest dopiero „bardzo, bardzo dużo", „ZA dużo", „nieskończenie dużo". Nie chcemy już po prostu „dużego wyboru", chcemy być nim przytłoczeni, oszołomieni, chcemy bezkresu, bezmiaru, zatrzęsienia. Chińszczyzna zaspokaja to marzenie o „przelewaniu się", jednocześnie stymulując obsesję oszczędności, obniżki, okazji, „wszystkiego

najtańszego". Kupujemy, z przyjemnością podliczając zaoszczędzone, a wręcz zarobione na kupowaniu pieniądze.

ENCIAGAAGA BALENCIAGA

Mogło się zdawać, że ta obsesyjna gospodarność to scheda po komunistycznej bidzie, ale w *Teorii zakupów* brytyjski antropolog Daniel Miller dobitnie pokazuje, że dotyczy ona też społeczeństw materialnie niestraumatyzowanych. Dowodzi on, że oszczędność rzadko nacechowana jest pragmatycznie, bo nie prowadzi wcale do wydawania mniejszej ilości pieniędzy. Nie jest środkiem wiodącym do celu, ale celem samym w sobie, a za ciągłym wykazywaniem się konsumpcyjnym sprytem, węszeniem okazji i możliwości przyoszczędzenia stoi dążenie metafizyczne. „Oszczędność służy kreowaniu ogólnego poczucia, że istnieją w życiu ważniejsze cele niż natychmiastowa gratyfikacja, że istnieje transcendentna siła lub przyszłe cele, które uzasadniają obecne jej odroczenie”[2]. Badacz zakupów twierdzi, że to, co odroczone, „zaoszczędzone”, „zarobione”, w wyobraźni kupujących akumuluje się na inne cele i intencje, transformuje się w lepszą przyszłość rodzin albo stymuluje istniejące więzi.

To tłumaczyłoby skłonność mam do napadania na lumpeksy i wynoszenia z nich naręczy „mogących pasować ich zdaniem” ubrań dla całej rodziny. Nikt ich nie nosił, ale nie o to chodziło: leżały na pawlaczu, symbolizując poczynioną oszczędność, zapas. Ciocie plądrujące pudła z przecenionymi rzeczami wielkiej nieużyteczności na prezenty, które miały zostać nigdy nieużyte. Nie o to chodziło, by ktoś wielce ich do czegoś używał – wytworzony za ich pomocą zysk zabezpieczał rodzinę jak wyimaginowana poduszka powietrzna. Różne pozornie okazyjne zakupy, które nikomu nie mają i nie muszą się przydać, poczynione jakby wyłącznie dla wygenerowania metafizycznego „naddatku”. Do tej kategorii prawdopodobnie przynależała też moja fascynacja aplikacją, w której przez jakiś czas kupowałam przyjemnie nadmierne ilości lekko sparciałych, przecenionych tortów. Jedliśmy je nieco na wyrost, bo nie lubimy tortów, towarzyszył temu wszystkiemu jednak jakiś zysk, może niejasny i niematerialny, ale wyraźny.

Okazje, Olimpie, second-handy, Allegra i Alibaby. Centra chińskie, wszystkie „wszystko za dwa, pięć i dziesięć złotych” i inne Tigery to perpetuum mobile do generowania tego metafizycznego, „zawieszonego” profitu; „zarabiania” za pomocą wydawania,

kumulowania za pomocą trwonienia. *Teoria zakupów* daje ciekawy wgląd w to, że za codziennym „zdrożało – staniało" stoją procesy o wiele bardziej złożone, a okazje są tak naprawdę okazjami metafizycznymi.

Nie sposób pominąć tego tematu w Chinach, tej kolebce obniżki, przeceny i niedrogiego surogatu. Korzyści i okazje czają się tu za każdym rogiem, zwłaszcza że Szanghaj, finansowa stolica Chin, to miasto szokujących majątkowych ekstremów. Żyją tu obok siebie ludzie niewyobrażalnie biedni, biedni jakby z dziada pradziada: w zbitym okienku sklepiku można zobaczyć skuloną przy garczku babinkę, a przed sklepem człowieka biorącego prysznic, namydlonego i polewanego z czajnika przez żonę. Kilka kroków dalej stoją jedno obok drugiego trzy gigantyczne centra handlowe, w tym jedno w całości koloru złotego. To skale i style, które w ogóle nie występują w naszych realiach urbanistycznych; zniewalająca architektura, która przywołuje spodki latające, kręgi w zbożu, pentagony, UFO, kwatery Hitlerów. To opery zakupów, których publiczność aż trudno sobie wyobrazić; może wpada tu czasem Władimir Putin z córką, nie podejmując nawet nabytych przedmiotów z postumentów, tylko po prostu za nie płacąc i nie domagając się reszty. Bo podobnie jak niewydolne rzeczy-pozory w chińskich centrach, tu też wystawia się przedmioty jakby niestworzone do używania. One też wyłącznie ISTNIEJĄ, MOŻNA je kupić, SĄ i są ludzie, których BYŁOBY na nie stać.

(Jednak tuż przy wejściu, obok zespołu od rana do wieczora gwałcącego zbiorowo fonosferę całej okolicy parku Jing'an zatrważającym pseudorockiem, babula sprzedaje z turystycznego stoliczka pudelki z koralików warte minus kilka juanów. Są w swej niedorzeczności tak pełne wdzięku, że Maciek aż nie może się zdecydować, którego wybrać... Gdy się tak waha, spod stoliczka wyłania się ciekawska potargana siwa głowa, zza pobliskiego kamienia sprężyście wyskakuje druga. Laowai kupuje pieski, olaboga! Wołaj San Lu, wołaj Mao Tsu, wołaj Pei Huę. Z alejek parku, z krzaczków, zza głazów i nenufarów zakrada się coraz więcej zaaferowanych babć i staruszków. Z rozdziawionymi ustami, rwąc włosy z głów, przyglądają się naszym dziwacznym twarzom, pierwotnie szepczą, dopowiadają, naradzają się, chichoczą, zasłaniając usta, robią zdjęcia. Wreszcie pod

presją zafascynowanych spojrzeń Maciek decyduje się na dwa duże pudle premium. Dochodzi do aktu płatności gotówkowej i pełnego emfazy przekazania pudli w ręce nowego właściciela; przy czym widownia aż popiskuje z ekscytacji, z niedowierzania, klaszcze w dłonie!

Handlarka pudli jest wyraźnie poruszona. Ewidentnie chce zająć jakieś stanowisko, widać, jak tężeje w niej zamiar dyplomatyczny. Myśli, myśli, rozważa wszystkie *pros and cons*, szkicuje sobie pośpiesznie treść odezwy. Wreszcie jej twarz zbiera się w sobie, ściąga, skupia i po chwili balansowania nad przepaścią niepewności wybucha. Jest to gorące i rozbudowane orędzie mimiczno-gestykularne, które prawdopodobnie odczytać potrafiłby tylko pan Kleks, i to wyłącznie wyciągnąwszy z biblioteki *Wielką Księgę Min, Grymasów i Zmarszczeń Azji i Indochin*. Jednak pan Kleks nie dość, że już nie żyje, to jeszcze jest postacią fikcyjną, więc stoimy zupełnie sami i bezradni wobec tej mimicznej krzyżówki jolki. Babulka:

– krzywi usta i podciąga palcami powieki;

– kręci palcami kółka na skroniach, a potem wskazuje ku niebu i wydaje parsknięcie;

– układa usta w ryjek;

– zatacza się wokół własnej osi ze wzniesionym palcem;

– dotyka ręką kolana, a potem zadziera nos i miarowo buczy.

Czy jakoś tak, może w innej kolejności, nie ma to znaczenia, bo ani jeden z wykonanych przez nią gestów nic nam nie mówi. To może być kwieciste podziękowanie, ale i szorstkie pożegnanie, a może właśnie kompletnie odwrotnie: żal do nas za kupienie zbyt wielu pudli albo z kolei wsteczne powitanie poczynione dopiero na koniec, gdy już odchodzimy.

Czyż ta przeciągająca się chwila kompletnej, niemożliwej do przewalczenia międzyludzkiej dziwności nie jest o wiele cenniejsza, niż gdyby miał się wkraść między nas smartfonowy translator i przetłumaczyć to wszystko na: „*Thank you so much, give me more money*”?)

Zdawałoby się, że stypendium pisarskie to nic tylko wieczny łoskot maszyn do pisania i syk miętych nieuważnie w popielniczkach-jeżach papierosów; seminaria, panele i dyskusje o książkach długo w noc. A przecież stypendium artystyczne ma też swój aspekt codzienny, gospodarczy. Pisarze muszą się jakoś urządzić, ogarnąć, oprać, zjeść, i też nie chcą przepłacać, przedrażać, dać się kantować na każdej najdrobniejszej rzeczy.

Nasze gospodarstwa domowe w Skiline są raczej *self-contained*; są też siłą rzeczy jednoosobowe – niezależnie od realnego statusu rodzinnego każdy z nas jest tutaj przymusowym wielkomiejskim trendy singlem. Otrzymujemy pewną pulę pieniędzy, zabezpieczającą nasze codzienne potrzeby. Teoretycznie więc racjonalizowanie wydatków nie ma tak wielkich podstaw jak w kontekście rodzinnym, a oszczędnościowe zabiegi magiczne celem podtrzymania więzi i ogólnego dobrostanu ogniska domowego nie są tak niezbędne. Mimo to ceny są zaskakująco częstym przedmiotem rozmów stypendystów, a miejsca, gdzie można kupić coś taniej, tematem wspólnych planów, dyskusji, towarzyskich fuzji, kooperacji, wypraw i pielgrzymek. Mimo że wokół jest kilka supermarketów o podobnym, niskim standardzie, brzydkim zapachu i nieszczególnie wysokich cenach, jeździ się metrem do tych odleglejszych, by tam kupić naprawdę NAJTANIEJ. Ceny organizują rozlaną, pozbawioną rutyny codzienność rezydenta; nadają życiu w tej rzeczywistości dyskretny cel, puls i bieg. Tak jakby jedenaście dorosłych osób oderwanych od realnych problemów, zadań i więzi za pomocą zakupów próbowało zasymulować sobie zadania i życiowe wybory, problemy i znoje.

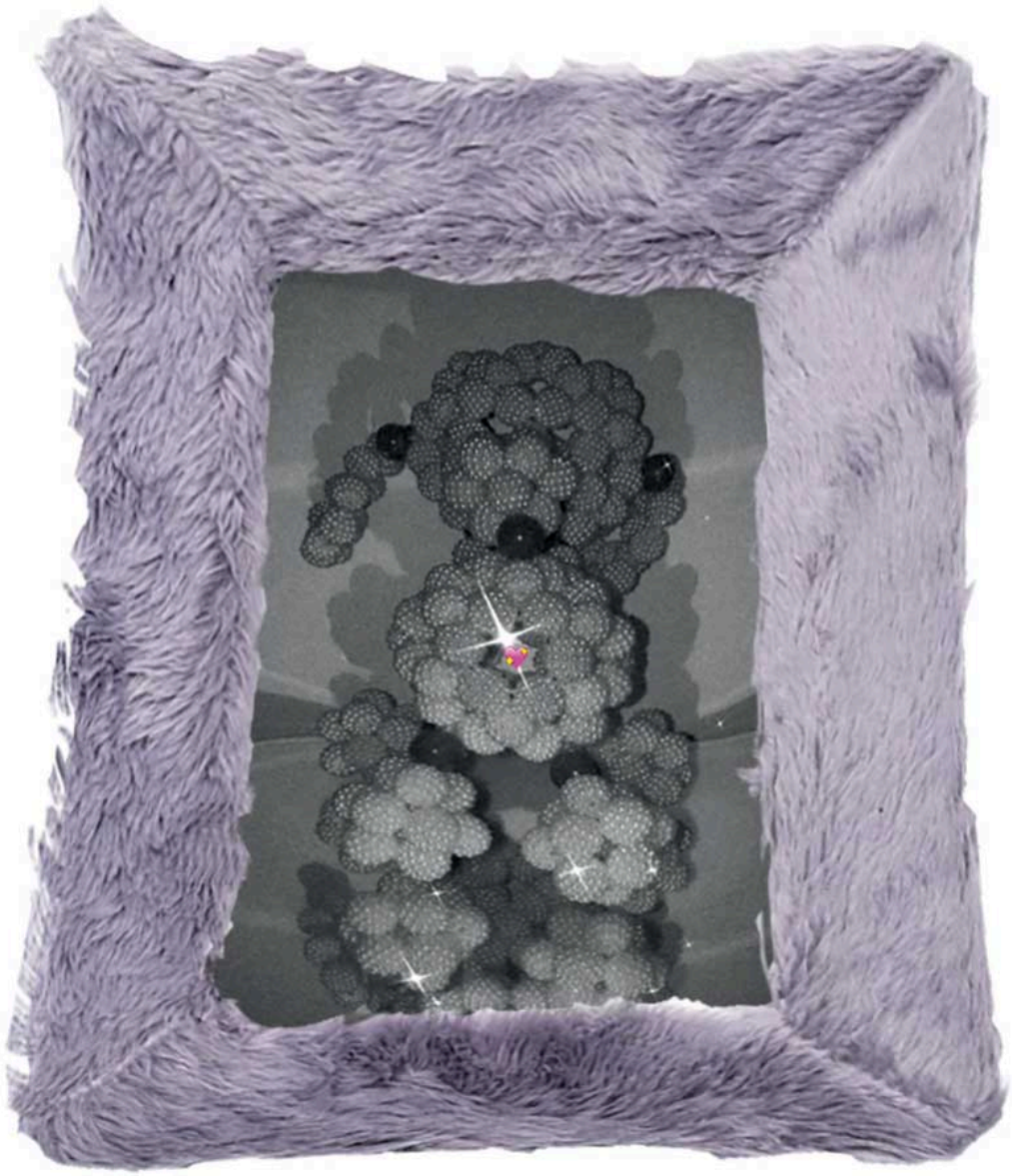

Przed Skiline powstaje z czasem pisarska giełda informacji o miejscach z korzystnymi cenami. Jednym z nich jest odkryty przez Elenę *cheap market*. Nabywa tam ona trampki krzyczące światu w twarz prowokacyjne Converse!!! z cholewkami w kwiatki i językami w kratkę (krzyczącymi Nieconverse!!!). Kosztują one zaledwie trzydzieści juanów: równowartość cappuccino lub półtora pudla z koralików. Ta proporcja uderza wszystkim do głów: ich taniość jest wielka, a brak urody też odpowiednio nie mniejszy; zgadzam się, że trudno nie zachwycić się tym cudownym pojedynkiem dwóch równoważnych sił,

zwłaszcza gdy rozgrywa się on codziennie na stopach Eleny. Na *cheap market* udają się więc kolejne ekspedycje żądne niespodziewanych łutów szczęścia, okazji i profitów, chcące dostąpić CUDU TANIOŚCI.

Bazar zaczyna się już za bramkami metra. To tu dopada nas pierwszy profesjonalny naganiacz; pierwszy mówiący językami alfons fałszywych torebek i plastikowych jedwabiów; twój personalny agent fałszywek, indywidualny doradca podróbek. Człowiek ten biegły jest w uniwersalnych prawidłach interakcji ze schwytanym klientem. Nie zasypiając gruszek w popiele, inicjuje z nami niechcianą więź (kilka słówek po rosyjsku, intensywny kontakt wzrokowy) i szybko przechodzi do jej utrwalenia (subtelny dotyk stref nieerogennych) (plecy, ramiona). Następnie zaczyna nas hipnotyzować drogą monotonnych repetycji (*„Bag? Bag? Scarf? Scarf? Gucci? Balenciaga?”*), jednocześnie sugerować REKOMENDOWANĄ, DEDYKOWANĄ NAM drogę eksploracji bazaru dyskretnym fizycznym nakierowywaniem ku odpowiedniemu lokalowi, rzekłbyś wręcz: zaganianiem… Gdy nie reagujemy w oczekiwany sposób, ciągle przejawiając chęć poruszania się według własnego widzimisię, asystent przechodzi na sygnały bardziej bezpośrednie (cierpliwe przywoływanie) (intensywna praca oczami) („Idziecie czy nie?”), wreszcie jego ciało zaczyna wyrażać irytację naszym niezdecydowaniem (postawa: „Co wy właściwie odpierdalacie?”). Może nie jest bardzo subtelny, ale wygrywa konsekwencją, niestrudzeniem, aż wreszcie musimy umknąć niegodnie, wstydliwie, unikając jego wzroku, kątem oka łapiąc jeszcze, jak stoi, kompletnie nami rozczarowany, wręcz oszukany i wykorzystany. (I to akurat teraz, gdy już tyle dla nas poświęcił? Gdy jest już naszym właściwie bratem? Wujkiem, wieloletnim przyjacielem?)

Niestety, mamy tu dużo podobnych przyjaciół. Gdy tylko uda nam się utracić jednego, zaraz pojawia się następny, już to dopytując ciepło, rzeczowo, dziwnie: *„Gucci? Balenciaga? Givenchy? Saint-Laurent?”*, już to niemalże tarasując nam ciałem drogę odwrotu, zastawiając drzwi ladą, rozlewając benzynę i niebezpiecznie wodząc zapałką po drasce. Obowiązuje zasada: dotknąłeś? Stary, kupiłeś! KUPIŁEŚ! To jest twoje, co mi tu odkładasz swoje rzeczy na wieszak, na półkę, robisz burdel?? Tylko teraz jeszcze zapłać, okej? Trzysta pięćdziesiąt. No dobra, niech

stracę: trzydzieści pięć. Okej, okej, trzy i pół juana i jest twoje, kurwa mać, KUPUJESZ TO CZY NIE, jebany chytrusie?

Zaczyna mi być niedobrze, fizycznie i metafizycznie. Tanie, krzywe bogactwo dwoi i troi mi się w oczach, wije w zboczonej rui. Lśnią obleśnie potoki tombaku, leją się sztuczne jedwabie, obrzydliwią lewe kolory, zezują obcasy kurwich butów. Na każdym kroku demoniczne sprzedawczynie o nasmarowanych markerem, groźnych brwiach, śmiałe i bezwzględne jak prostytutki, aresztują nas do swoich kramików i tam osaczają, zastraszają swoimi towarami. To nie salony, bułki przez bibułki i tańce z feretronami przed klientem; tutaj choreografia sprzedaży jest szorstka i brutalna, są w niej szarpnięcia, pogardliwe wyrywania, pokrzykiwania i rzut produktem w klienta. Rzeczy są niesamowicie liczne, brzydkie i niewydarzone, upadłe jeszcze przed wzlotem, w dodatku strasznie śmierdzi; chemikalia, barwniki, kleje – oto szczypiący w oczy fetor imitacji, feromony fałszywego splendoru.

Czuję się już bardzo źle. Szczerze mówiąc, to takie uczucie, jak gdy moja rozwijana w szóstej klasie na biologię hodowla pleśniaka wymknęła się spod kontroli: wilgotny chleb, którym starło się kurz z mebli, obrastał fascynującą siwą pleśnią, dziwną, występną, łonową. Podekscytowała mnie wtedy łatwość i szybkość tego sukcesu: rozmnażałam swoje pleśniaki jak szalony naukowiec, aż wreszcie obfitość plonów i tempo ich rozmnażania przekroczyły moje najśmielsze oczekiwania. Przełomowy był moment, gdy zrozumiałam, że pleśń nie potrzebuje już do niczego mnie, swojej bądź co bądź stwórczyni, a wręcz przeciwnie, któregoś dnia, gdy weszłam do pokoju, brutalnie popchnęła mnie na łóżko i zaczęła gmerać przy rozporku spodni…

Teraz, umykając w popłochu, widzimy jeszcze, jak w korytarze bazaru wpada wrzaskliwa, wrzeszcząca z pazerności wycieczka Amerykanek. Panie koło pięćdziesiątki w strojach aerobikowo-wieczorowych po krótkim umówieniu się na zbiórkę rozbiegają się, by w łowczym szale buszować w labiryntach pełnych obrzydliwych okazji. Polować na fałszywe symbole bogactwa, które za parę dni polecą do Stanów. Tam za ich pomocą panie będą udawać, że są bogate. Przed

biednymi, bo bogaci się przecież na te krzywe gućći-balenaaaaagi nie nabiorą.

„No activities of prostitution, whoring and gambling should be carried out in this room under penalty of Chinese law!" – grzmi zalaminowane NOTICE na drzwiach mojego pokoju, nie tylko ukazując sztorm, w jaki angielski potrafi wpaść w Chinach, ale też próbując odwieść gości Skiline od tak zwanych pomysłów. Żadnego wydziwiania, żadnego kurwienia się, żadnych schadzek. Zrozumiano?

Jakby jednak zdawali sobie sprawę, że na dłuższą metę w tej nihilistycznie zaniedbanej norze człowiek głupieje i traci wszelkie swoje wartości i dążenia. Wszystkie ślady kopów na ścianach, wszystkie pęknięcia tynku i zasłony zawiesiste od wieloletniego brudu, karaluchy – te istniejące i te fantomowe, które oko ciągle rejestruje mimowolnie, jak węszą w pękniętym brodziku prysznica… Lodówka tak tłusta, jakby ktoś trzymał w niej olej. Taki bez butelki. W szafce kieliszek z zakrzepłym, niedopitym łykiem wina; patelnia wetknięta do szuflady razem z zaschłymi resztkami nudli. Wszystko to mówi: życie to nie Instagram! Porzuć te swoje mieszczańskie staranka; to trymowanie nosa, jogi, crossfity, barberyzacje i waxingi. Porzuć nadzieję na zbawienie wśród mięciutkich poduszek z napisem „Home" i młodego polskiego designu. Obłóż się dziwkami, pij wódę i zwracaj prosto na pseudomahoniowe deski, graj w węża na telefonie i wstrzykuj sobie coca-colę. Niech nabiał i gluten walą drzwiami i oknami, a ty oglądaj seriale, tnij się i chlap krwią na prawo i lewo, bo tutaj i tak nic nie ma już znaczenia, żadne filtry tego nie rozmyją. Najwyżej rano, gdy będziesz próbował odespać, wpadnie sprzątaczka z wiadrem pełnym czarnej, spienionej wody, którą wcześniej umyła cały budynek… Wysmaruje zgrubnie podłogę brudem i zmieni ręczniki szare i przezroczyste od prania na jeszcze cieńsze, jeszcze bardziej dziurawe, z ledwie widocznym, piszczącym jakby z nich mysio i błagalnie haftem Skiline… Nasze pokoje mają w sobie coś z tych zwyrodniałych torebek Balenaaaaga z *cheap market*. To syf, który z jakichś powodów uparł się, by być splendorem, i nie spuści z tonu; mieni się i lśni, jak na poboczu wśród barszczu Sosnowskiego lśni sukienka tirówki. Jedna noc w takim

miejscu jest na pewno zabawna; tydzień pouczający, ale myślenie o nim jako o domu ma już swój ciężar. Mówiąc najprościej: żyjąc w udającej suitę turpistycznej norze z karaluchami, żyjesz w niej. Patrzysz codziennie w tę otchłań, a ona patrzy w ciebie.

Każdy stypendysta próbuje zadomowić się w niej na swój sposób, inaczej. Ja należę do sekcji, która kupuje rozmaite chińskie lizole i szoruje wszystko, przeklinając i pomstując, w strategicznych miejscach umieszcza pałeczki zapachowe i czeka na boże zmiłowanie. Które może nie nadejść. Noe przyjmuje postawę „lecz się tym, czym się zatrułeś", zwłaszcza że jego okna sąsiadują z oknami tej dziwnej instytucji, gdzie ludzie całymi nocami przy chirurgicznie jasnych światłach grają w karty. Noe idzie więc w „kawalerskie gospodarstwo": dekoruje swój pokój puszkami i popielniczkami jeżami, gdzieniegdzie wtykając bukiety stojących skarpetek. Z kolei Gerard zdaje się tym wszystkim nie przejmować. Po miesiącu pyta nas, czy próbowaliśmy już uruchomić pralkę. Gabriele uprasza koleżankę, by przywiozła mu z Włoch kawiarkę. Z tym urządzeniem jest już mu wszystko jedno: może mieszkać nawet w dziupli dębu. Isabelle wręcz przeciwnie; kupuje moskitierę przeciw karaluchom. Ten nabytek wciąga ją w spiralę dekoratorską, równię pochyłą udogodnień. Jej pokój dzień po dniu bowarycznie obrasta w atłasowe poduszki, złote łyżki, pojawia się chińska misa z nenufarem… (I. kupuje ją w mojej asyście na targu „roślin i zwierząt". Jak sama nazwa wskazuje, można tam nabyć różne najpotrzebniejsze rośliny i zwierzęta, papużki, gwarki, świerszcze do walk świerszczy, maleńkie dla nich klateczki i różne akcesoria: poidełka, smycze, miseczki, kubraczki… Poza tym psy w klatkach, koty w klatkach, wszystkie możliwe żółwie – również takie ślicznie pomalowane farbami. Ryby, wielkie złote ryby… Przystajemy i mówię, żebyśmy powiedziały życzenie, zamykamy mocno oczy i szepczemy) (szkoda, że nie pamiętam, co powiedziałam, bo ryby były tak wielkie i patrzyły tak mądrze, że czuję, że to się spełni) (gdy wracamy, widzimy w parku zbiegowisko mężczyzn w różnym wieku, którzy na nasz widok życzliwie się rozstępują, chcąc z dwiema rozkojarzonymi białaskami podzielić się swoją tajemnicą. Właśnie odbywa się nielegalna walka świerszczy. Gracze drażnią swoich podopiecznych specjalnymi

bosaczkami. Słońce świeci niedzielnie, emocje są wielkie, twarze spocone i podniecone, z rąk do rąk wędrują pieniądze). W Skiline, rozłożywszy w kluczowych miejscach atrybuty komfortu i splendoru, Isabelle chodzi w swoich klapkach na szpilkach za sprzątaczką i pokazuje jej palcem, gdzie trzeba posprzątać.

Millicent też któregoś dnia próbuje pokazać sprzątaczce, gdzie trzeba posprzątać, ale gdy tylko się do niej zbliża, ta, przerażona jej wzrostem i gabarytami z jakby zupełnie innej ludzkiej rzeczywistości, w popłochu ucieka przed nią w kąt pokoju i tam kuli się, błagając o litość. (Millicent jest najwyższą osobą w tym mieście. Gdy opowiada mi tę scenę, wyobrażam sobie to pierwotne, na wpół fizyczne, na wpół zabobonne przerażenie, w jakie wpada zahukana stutrzydziestocentymetrowa sprzątaczka, gdy Jamajka ciągnie ku niej przez pokój wielka i nieuchronna jak koniec świata).

Ostatecznie Millie postanawia wyegzorcyzmować swój pokój z ostatnich pierwiastków gamblingu i kurewstwa poprzez zorganizowanie przyjęcia. Wigilii dla samych zagubionych wędrowców. Na dwupalnikowej płycie kuchennej, która zdaje się zdatna tylko do przypalania osób oszukujących w tysiąca, wyczarowuje obłędną jamajską ucztę, z plackami, kurczakami, kluseczkami. Są przywieziony z Kingston rum, suszone grzyby, placki od Ujgurów, potworne chińskie torciki z zielonym kremem, wszystko. Przychodzą nawet najbardziej aspołeczne, towarzysko najsłabsze ogniwa naszego stypendium. Każdy chce się przysocjalizować do Millie, która jest ciepła, stateczna, niezwrotna. To kobieta planeta: gdzie się pojawi, tam zaraz wszystko zaczyna ku niej ciążyć, do niej się odnosić, koło niej się pałętać, łasić, podładowywać u niej pokątnie swoje psychologiczne powerbanki.

Ponieważ doskwierają nam nie tylko wstrętne pokoje, ale też brak realnych więzi, brak emocji, brak związku. Każdy zostawił w swoim świecie bliskich, dzieci, problemy; swój język i wraz z nim swoją osobistą realność. Każdy ledwie zipie na tym emocjonalnym Erasmusie. Samotność, tęsknota za domem, brak rutyny sprawiają, że ciążymy ku sobie bardziej, niż gdybyśmy pracowali razem na co dzień w biurze. Odruchowo formujemy się w rodzinę, klecąc więzi z byle czego, koślawe i prowizoryczne, ale przecież tak bardzo realne!

W tym czasie w tle rozgrywają się różne rzeczywiste dramaty, brazylijskie telenowele. Do kogoś przyjeżdża partnerka i po wielkiej awanturze się rozstają. Ktoś po iluś tam latach przez Skype'a podejmuje decyzję o rozwodzie. Chorujemy. Balujemy. Spacerujemy. Dyskutujemy, naradzamy się, obgadujemy i ulegamy teoriom spiskowym. Już widać jak na dłoni nasze wzmagane przez zły angielski wady, ograniczenia horyzontów, pułapki charakterów, koleiny myślenia, uprzedzenia i zabobony, obsesje i lęki. Ale mimo uderzających przepaści kulturowych w Szanghaju, wśród trzydziestu pięciu milionów Chińczyków, jesteśmy dla siebie teraz jedynymi krewnymi, jedyną rodziną, na dobre i na złe.

Tego wieczoru ma też wpaść do mnie David, który wraca przez Szanghaj z jakiegoś innego chińskiego stypendium. Umawiamy się od dawna, ale w okolicach siedemdziesiątej rocznicy proklamacji ChRL połączenie internetowe z dnia na dzień wątleje, a nasz kontakt się urywa.

(Tutejszy internet: kapryśny, reglamentowany i okresowo, na przykład w święta państwowe, „zagłuszany", to jedna z ważniejszych zmiennych naszego życia, stanowczo przed pogodą, smogiem, aktualnym kursem zbóż i walut. Każdy dzień to loteria: dziś może będzie, a może nie będzie... Wykupiona w Polsce usługa tunelowania niby umożliwia korzystanie z niedziałających tu Google'a i Facebooka, ale połączenie żyje własnym życiem, maile przepadają, downloady się zatrzymują, filmy kaszlą, komunikatory stają dęba. Nierzadko, gdy się spotykamy wieczorem i pada pytanie: „Co dziś porabiałeś?", odpowiedź brzmi: „Było nawet niezłe, potem kompletnie padło. Wróciło, ale na godzinę, wtedy coś przestało działać, trzy godziny nie mogłem się połączyć z VPN-em. Poszedłem do Luckin Coffee, tam niby ciągnęło, ale w końcu też przestało: jak wróciłem, to częściowo się ściągnęło, ale po półgodzinie znowu jakby łączyło, ale słabiej").

W nierównym pojedynku z chińskim internetem nietrudno nabrać przekonania, że ma on inteligencję, osobowość i poglądy na nasze życie i karierę; toczy z nami osobistą grę. (Na przykład nie życzy sobie wizyty Davida, uważa, że ma on na mnie zgubny wpływ). (Czy czytałam w ogóle jego książki? Doskonałe, ale BARDZO niepokojące. Ogółem

dziwny facet). Z jakichś jednak powodów coś nagle odpuszcza, udaje nam się skomunikować i ani się obejrzę, a David już wysiada z taksówki przed Skiline jak zwykle: genialny i szalony, ubrany w gratisowy podkoszulek „The Nature of Komodo" czy coś takiego, przygodny strój osoby, która budzi się codziennie w innym kraju, na innym kontynencie i nie ma czasu na przebieranie się za pisarza. Zero marynarek, zero porozstawianych w strategicznych miejscach maszyn do pisania, żadnego ogłaszania chropawym od whisky głosem, że „literatura jest jak dziwka, jak ty ją coś tam, to ona coś tam" – stanowczo nie mógłby wystąpić jako pisarz w *Apetycie na miłość*.

W totalnej logorei, nie może przestać gadać. Spędził właśnie miesiąc w jakimś prowincjonalnym (czyli w chińskich warunkach wielkości Warszawy) mieście, gdzie nikt nie mówił po angielsku, celebrowany i ciągany po bombastycznych ucztach, kolacjach i niemych popijawach z lokalnymi dygnitarzami, hipnotyzowany *lazy Susan*, na której całymi wieczorami mijały go w melancholijnych korowodach prosięta, żółwie, homary, stonogi i kraby. Nasza skromna jamajska popijawka to dla niego prawdziwe wytchnienie, inni ludzie! inni ludzie! – krzyczą radośnie jego oczy. I już mingluje, już smalltalkuje, już się zapoznał z Isabelle i już jej opowiada o pogodzie, zdrowiu i jak to jego ojciec popełnił samobójstwo. Włączam muzykę, zaczynamy tańczyć i oczywiście muszę siłą powstrzymywać go, żeby nie robił niczego głupiego, nie bujał się na żyrandolu albo nie wchodził pod dywan. I pomyśleć, że to tak, jakby William Faulkner wchodził pod dywan! Musi już jechać, bo ma jeszcze jutro masterclassy, a potem jedzie do Polski. Właściwie to jestem zazdrosna, że na Okęciu wsiądzie w taksówkę i ot tak, po prostu przejedzie sobie koło mojego domu…

Utopijna literacka rodzina; są tańce do rana w pokojach, zwierzenia, łzy i pocieszania, kłopoty zdrowotne, zasypianie po pijanemu nawzajem w swoich łóżkach, filozofowanie, debaty polityczne i wspólne opychanie się batonami przed FamilyMartem.

Ale erasmusowa psychodynamika jest nieubłagana: równolegle rozwijają się podskórne napięcia, fochy, toczą się na zapleczach psychologiczne wojny; są sojusze, przymierza, podszepty, intrygi, zdrady, nocne głosowania i przejścia do obozu wroga. Isabelle rozgrywa wojny zaplecowe, na backstage'ach sytuacji wbija sztylety, wydaje wyroki, uruchamia zapadnie. Tak zwani Włosi – Gabriele i Viola – non stop obserwują, szepczą i wybuchają toksycznym chichotem. Elena potrafi rozmawiać, jednocześnie czytając książkę na tablecie i pisząc z kimś na Messengerze. Mnie też udaje się drogą narastających wymownych spojrzeń i uwag rozwinąć z jedną ze współrezydentek szczerą, milczącą kolonijną nienawiść. Gdyby istniał Google Translator z języka toksycznych spojrzeń, westchnień i wywracania oczami na polski, nasze codzienne przymusowe interakcje brzmiałyby mniej więcej tak:

– Ojesu, nie śmiej się tak głośno, bo widzę twoją macicę.

– Ślicznie się pomalowałaś, czarny zawsze na propsie, lizałaś się z szatanem?

– Nie stawaj mi koło mnie.

– Nie wchodź do windy, gdy ja jadę windą. Cofnij czas i pojedź wcześniejszą.

– O, cześć, Rzygi. Jak tam, Rzygi?

– Rzygi, czy możesz nie rozmawiać z osobą, z którą ja przed chwilą rozmawiałam? Nie masz swoich znajomych, musisz się przypierdalać do osób, które ja lubię i akceptuję?

– Wyjdź stąd. Wiem, że nie ma tu akurat ścian i drzwi, ale tym bardziej: wyjdź stąd!

Chwilami zdaje się, że gramy w jakimś Netflixie o pisarzach („błyskotliwy / prześmiewczy / komedia pomyłek"). Serialu napisanym w strasznym życzeniowym angielskim, będącym sumą błędów, kalk i klisz, pomyłek i złej wymowy każdego z nas, angielskim równającym do najsłabszego użytkownika. Każdy wnosi do niego swój niepowtarzalny profil; każdy degraduje go na swoją modłę; każdy po swojemu wykręca i kontaminuje pojęcia. W swoim kraju najmądrzejsi w całej wsi, mistrzowie słowa, właściciele języka, szlifujący tylko większą i większą jego precyzję, tu nagle mówimy z bożą pomocą rzeczy mniej więcej OBOK tego, co chcemy powiedzieć. Sądzę, że nawet wytworna angielszczyzna Gerarda, profesora uniwersytetu w Bath, nie wyjdzie z tej karuzeli bez szwanku. Nie wiem, czy ktoś chciałby oglądać ten serial.

Gabriele: Cześć.

Dorota: Cześć.

G: Ja idę po bao.

D: No, aha.

G: Są w FamilyMarcie, jest też w sklepie na drodze.

D: Możesz też je kupić tu w rogu.

G: Tak. Wszędzie takie samo. Jest bardzo tani.

D: Aha.

G: Koszt 2,80 juana. To na razie, bye.

(Trzeba by to przepisać, przerobić na coś w rodzaju:

– Podaj mi, proszę, tę maszynę do pisania. Muszę dokończyć kilka stron na jutro.

– Znowu ten cholerny wydawca! Mówiłam mu, by wysłać te szczotki do dziennikarzy.

– Literatura, brachu, jest jak dziwka. Bierzesz ją, a ona coś tam. Im więcej coś tam, tym bardziej ona coś tam).

Ale rzeczywistość rezydencji literackiej jest też nienetfliksowalna z innych względów: jest coś fundamentalnie nieprawdziwego w pisarzach mnogich, pisarzach stłoczonych. To społeczny oksymoron; statystyczne nieprawdopodobieństwo. Pisarstwo to projekt solowy i każdy z nas, przez lata przyzwyczajony do losu *the only writer in the village*, doświadcza na rezydencji tego dziwnego rozmnożenia, skolektywizowania. Rozpowszechnienia i umasowienia tej kondycji, w którą zdawałoby się wpisane są odosobnienie, izolacja, pewna osobność. Nie twierdzę, że koniecznie chodzi tu o aspołeczność, bo przecież pisarze, jak to ludzie, bywają różni, autystyczni i nietowarzyscy, ale i towarzyscy, średnio towarzyscy, ale i upiornie, upiornie towarzyscy, na ludziach by jeździli, ludźmi poganiali. Jednak ostatecznie do tej pracy chodzi się bardzo samemu. Tłum pisarzy, kolonia pisarzy, banda, orkiestra pisarzy to sytuacja sztuczna, niewystępująca w przyrodzie. A gdy któregoś dnia, pijąc piwo przed FamilyMartem, rozmawiamy o tym, nad czym tutaj właściwie pracujemy, i ja coś kręcę, i wreszcie udaje im się ze mnie wycisnąć, że piszę o nas, o tym naszym pobycie, to zalega dziwna, wielomówna cisza. W pokoju pojawia się słoń. Bo kto chce być opisywany, oszacowywany, obserwowany, ewaluowany przez drugiego? Na pewno nie pisarz. Na pewno nie ktoś, kto sam to robi i wie aż za dobrze, jak wielka jest arbitralność i subiektywność opisu, jak idiotyczna i niesprawiedliwa przewaga opisującego nad opisywanym.

(Choć wielokrotnie spotykałam się z tym, że ludziom pochlebia sam ten potencjał, sama ta możliwość, że mogą być opisani! Chcą się w pisarzu przejrzeć, chcą wejść do niego jak do budki na zdjęcie! W obecności pisarza ZACHOWUJĄ SIĘ. Reżyserują, ustawiają się, modulują, pozują do portretów. Wierzą, że da się pisarza jakoś urobić, naprowadzić na pożądane tropy. Sami siebie próbują pisarzem napisać. Rzucają specjalnej urody zdania, intuicje, stylizują się, ustawiają korzystnym profilem, odgrywają role. Zrozumiałam to kiedyś, gdy w jakiś letni poranek nad morzem dopadł mnie jeszcze pijany, ale już jakby jednocześnie skacowany znajomy, zalewając falą bełkotliwych

teorii, stwierdzeń i luźnych refleksji. Zakończył rozbrajającym: „Ja to ci tak mówię, a ty już sobie z tym zrobisz, co tam będziesz chciała". Chwiejąca się w posadach piramida piramidalnych pierdół okazała się więc darem dla mnie, darem świadomym swej drogocenności, świadomym, że jest zbyt wielki, by zmieścić go całego w skarbcu, trzeba będzie coś wybrać, brylanty oddzielić od diamentów, szmaragdy od bursztynów. Wreszcie: darem niechcianym, przymusowym, wręczonym siłą, ale sprawiającym darczyńcy tak wielką rozkosz, że właściwie niejako sam się tym obdarowywaniem obdarował, świata poza sobą nie widząc w tej radości dzielenia się i ozłacania. Od czasu otrzymania go dostrzegłam, że dostaję tego typu dary, podarunki, prezenciki wcale nie rzadko. Podtyka mi się paczuszki, drobiazgi, bibelociki. Oddaje na przechowanie, na niezmarnowanie złoto i klejnoty. Szkoda, że najczęściej totalnie lewe, bo byłabym bardzo, bardzo bogata).

Złej baletnicy przeszkadza rąbek u spódnicy: choć początkowo moim problemem zdają mi się samotność i izolacja, to ani się obejrzę, a jest nim narastająca kolektywizacja. Moja skrzynka mailowa zapełnia się wezwaniami do stawienia się na wycieczkach, spacerach i wizytacjach.

Jeśli mogę tu zaryzykować pewne krzywdzące i bezczelne, ale prawdziwe i obiektywne generalizacje, to Chińczycy widzą wielką wartość w robieniu rzeczy razem. Sporą, dużą, ogromną, a z pewnością większą niż ja. Przy czym siły nie są tu wyrównane: ja jestem niechlubnie jedna, a ich jest miliard, ja mam trzydzieści sześć lat, a oni sto tysięcy. A jednak też mam swój upór i zdrowy rozsądek, i nie dam się zwariować tylko dlatego, że jest ich więcej, są bardziej znani i silniejsi. Też mam swoje racje, też mogę nie lubić już w pewnym wieku jeżdżenia autokarem, zdjęć grupowych, pogadanek i łażenia na rozlazłe spacerki w piętnaście osób. Właściwie nic bym do nich nie miała, gdyby tylko nie były obowiązkowe – w takiej opcji inni ludzie mogliby sobie na nie jeździć i chodzić do woli, ciesząc się sobą i swoim narastającym udziecinnieniem, nie musząc martwić się o jedzenie, picie, a nawet o to, czy w ogóle chce się im jeść i pić, gdyż godziny posiłków są odgórnie ustalone. Towarzyszącą dorosłości udrękę ciągłych wyborów i decyzji zastępuje tu nienegocjowalny plan, a osobistą odpowiedzialność za

nie – przyjemna inercja i półsen, w którym człowiek toczy się w masie, powoli, bezwolnie, bez celu i bez końca, odgórnie opity i objedzony.

Jednak obowiązkowość tych form wspólnego spędzania czasu, choć niewyartykułowana, jest całkowicie obowiązkowa. Żadne próby wymigiwania się, kręcenia i podgrzewania termometru w herbacie nie spotykają się z pobłażliwością, żadne tłumaczenia nie lądują na miękkim „nic nie szkodzi" – na twarzach wychowawczyń maluje się szczere niezrozumienie, wręcz niedowierzanie, dysonans poznawczy. Nic nie tłumaczy niepójścia na wycieczkę, niedotrwania do końca dwugodzinnej dyskusji, która dawno wytraciła energię, ale zaplanowana na dwie godziny musi trwać, nie może się tak po prostu skończyć wtedy, kiedy się skończyła.

Człowiekowi nawykłemu do pewnego marginesu samostanowienia trudno tak nagle poddać się deindywidualizacji: wręczyć dyżurnej dowód osobisty i wsiąść do autokaru, pobierając w wejściu przydziałową buteleczkę wody. Tam czeka już przewodnik (trajkoczący do rozstrojonego aparaciku nagłaśniającego w samorobnym angielskim. Absurdalne zbitki sylab, nagłośnione do niemożliwości i z magicznym pogłosem właściwym tyradom czarnoksiężników, magów i smoków, szaleją po całym autokarze, zaganiając nas do kątów z plecakami naciągniętymi na uszy). Biwak, wspólna podróż koleją (przez księżycowe krajobrazy: puste bloki, bloki, bloki, słupy wysokiego napięcia, beżowa ziemia, bloki), wizytowanie parków maszyn (gdzie prześliczna oddelegowana kobieta maszyna fikcyjnym głosem recytuje prezentację o rozwoju technologicznym Chin). Wspólne eksplorowanie turystycznych uliczek, w którym demonstrowane nam są największe atrakcje kulinarne Szanghaju: restauracja włoska, francuska i amerykańska. (Zatrzymujemy się tam, gdzie ludzie zazwyczaj robią zdjęcia, i mamy dziesięć minut przerwy na zrobienie tych właśnie, wstępnie już wykadrowanych zdjęć). Wizyta w ogrodzie botanicznym, która okazuje się najdziwniejszą strukturą biologiczno-fizyczną, jaką kiedykolwiek widziałam: wielką, generyczną, ciągnącą się po horyzont farmą kwiatów, poprzecinaną słupami wysokiego napięcia. Wizyta w fabryce odzieży (gdzie oglądamy odzież na wieszakach). Niekiedy towarzyszą nam fotografowie z prasy i operatorzy z kamerami – a nasze

niby to spontaniczne wypady okazują się doniosłymi wizytacjami połączonymi z sesją zdjęciową na tle rosnącej potęgi państwa chińskiego.

To wpędza mnie w dyskomfort i różne upokarzające na dłuższą metę, niegodne mojego wieku i pozycji społecznej emocje, frustracje, knowania, kombinacje. Pozoruję przeziębienia, wypisuję lewe zwolnienia pismem mojej mamy, popijam ogórki kiszone mlekiem, a potem, gdy już minie godzina zbiórki w lobby Skiline, którą zatrwożona przeczekuję z kołdrą zaciągniętą na głowę, nie będąc pewna, czy ktoś po mnie nie przyjdzie, siadam ze swoimi karaluchami, parzymy sobie kawę i gawędząc, kontemplujemy wykradziony kolektywowi czas oraz nieczutą od dawna towarzyszącą zdradzie i wagarom mieszankę poczucia winy, anarchicznej satysfakcji i wzmożonej kreatywności.

A jednak są rzeczy, od których nie sposób się wymigać. Ani szybko, ani powoli zbliża się dzień pogadanki w Stowarzyszeniu Pisarzy. Dzień, w którym zmuszona będę ogłosić publicznie swój słynny esej o tym, dlaczego na świecie nie jest dobrze, nie ma wspólnoty i są problemy (najwyższy czas je rozwiązać!). Napisać to jedno, wysłać do obdarzonej dość zjadliwym poczuciem humoru Antonii Lloyd-Jones to drugie, ale stanąć twarzą twarz z ludźmi i zacząć obwieszczać te zdania… zdania, które po przetłumaczeniu okazują się obfitować w różne trudne wielosylabowe słowa, karkołomne zbitki tychże, co do których mam uzasadnione podejrzenia, że mogą stanąć mi w ustach dęba jak sfałszowane klejnoty. Wizja czytania wypracowania przed całą klasą, może nawet szkołą, jest torturą, konieczność obczęstowania wszystkich intelektualnym zakalcem przykra, poczucie osobistej niespójności nie do wytrzymania – ostatnie tygodnie spędzone na tańczeniu techno w klubach i siedzeniu z podpitymi facetami w sklepie spożywczym niespecjalnie predestynują mnie do publicznego załamywania rąk nad trudną sytuacją w Syrii. Błądzę po mapie obgryzionym paznokciem… szukam Syrii w Syrakuzach, Iraku w Iranie, Berlina w Barlinku, Austrii w Australii, lewej po prawej i dołu na górze, widzę śledzące moje desperackie szamotaniny oczy współuczniów – niby obojętne, ale podniecone antycypowaną kaźnią… Budzę się cała spocona,

klimatyzacja huczy, a spłuczka ciurka; z pokoju powyżej słychać miarowe okrzyki profesjonalnej rozkoszy.

Wreszcie, razem z Isabelle i Yasyrem z Egiptu, zasiadamy w sali plenarnej Stowarzyszenia. Naszymi gospodarzami są pisarka i dwóch starszych pisarzy, oprócz tego Kevin, jak zawsze spłoszony, lecz zdeterminowany, performujący swój zawód z zaciekłością ambitnego dziecka, które dzięki zachętom dorosłych miało prawo zacząć myśleć, że dzięki wytężonej pracy pewnego dnia zostanie geniuszem. Jestem przygotowana na najgorsze, pod nosem powtarzam sobie rzeczy takie jak *„virtualization of interpersonal connections”* i *„unimaginably complicated, specialized devices”*, które w moim wykonaniu brzmią, jakbym próbowała ułożyć kostkę Rubika ustami. Modlę się o wybawienie do Boga Imprez, a raczej do Boga Bezsensownych Odczytów, Paneli i Pogadanek. Ten wysłuchuje mnie niemal natychmiast. Zaczynamy. Moderator wyjmuje z kieszeni marynarki telefon komórkowy i odczytuje wikipedyczną definicję Polski. Ta – dość uproszczona – z miejsca wskazuje, że niepotrzebnie się bałam, bo będziemy mówić o rzeczach bez zbędnego zadęcia, w pewnym przybliżeniu, a dyskusja będzie miała charakter literacki, nieco krajoznawczy, ale też ogólny. Chwilami główną jej cechą wydaje się to, że trwa dwie godziny, a wszystkie inne są wobec tego wtórne i nieistotne. Polska to duży kraj, z dużą populacją – tłumaczy pilnie Kevin – były tam obozy koncentracyjne. Znanymi Polakami są Chopin i piłka nożna. Podczas gdy siedzę jeszcze oniemiała, przechodzimy już do paru wglądów na temat Belgii, z której pochodzi Isabelle. To mały kraj, z małą populacją. Z Belgii pochodzą czekolada, smerfy i Audrey Hepburn. Kolejny etap dyskusji to recytacja dowolnego wiersza z naszego kraju (filmowana w urzeczeniu przez całą publiczność!). Potem odzywa się do tej pory nieco marginalizowana pisarka. Mówi, że ważne dla niej są zaćmienia Księżyca. Wszystko, co pisze, pisze o zaćmieniach i ostatnia jej książka również dotyczy zaćmień. KONIEC.

To jest właśnie kolektywność. Bo chodzi o to, by trochę pobyć razem, posiedzieć razem tyle, ile zostało przewidziane w planie, porozmawiać, nie musi od razu nic z tego wynikać.

A jednak ulubienie działań kolektywnych objawia się też w zachwycających formach. Urzekające zdaje się zachodniemu indywidualiście na przykład uprawiane przez tutejsze społeczeństwo rozbuchane, namiętne życie parkowe. Praca i rodzina to jakby poboczności względem parku, w którym od rana do wieczora praktykowane są rozliczne aktywności: od gier przez tańce i zabawy po tai-chi i choreografie starszych pań z plastikowymi mieczami. Staruszkowie tańczą solo i w parach, łopoczą targane w szale tanecznym kolorowe spódnice. Pióra, tamburyny; gwiazdy, wyskoki i hołubce, lśniące jednorodną bielą uśmiechy sztucznych szczęk. Stuletni mężczyźni fikają kozły, obok wirują ich stuletnie partnerki w adidasach i bejsbolówkach, spod których dyndają jędrne sztuczne warkocze. Słoneczne niedziele na centralnym placu Ludowym to wprawiające w oniemienie potańcówki totalne, na których setki starszych ludzi suną w szalonych korowodach; biada błąkającej się między nimi ciekawskiej białasce, którą raz po raz ktoś łapie za ręce i próbuje wciągnąć do zabawy lub do udziału w quizie.

Ostatnie dni przed wyjazdem: amok, nadbagaż, walizka się nie zamyka; leży na środku pokoju jak niemogąca przestać krzyczeć paszcza. W panice dekonstruuję skonstruowane, rozpraszam sproszony majątek, oddaję, deponuję książki, wykonuję mnóstwo ruchów, ale trzpień tego dyskomfortu jest metafizyczny. Nagła łapczywość, pazerność, w której objawia się niezgoda na koniec: wydaje mi się, że nie mogę wyjechać bez pewnych kluczowych rzeczy w rodzaju białego snickersa o smaku mydełka cytrynowego.

Melancholijnie snujemy się więc po pustym, nocnym FamilyMarcie; za szybą kontuaru w mrocznym rosole gotują się wieczne klopsiki i szaszłyki, w piecyku grzeją stare bao. Jeszcze raz przechodzę przez wszystkie komnaty tego sezamu, sezamu życiowych *emergencies*: słuchawki, kondomy i bezpruderyjnie wyeksponowane przy ladzie wibratory, onigiri i blade kanapki z fałszywym serem, piwa i napoje, baniaki z wodą pitną, liofilizowane kacze języki, lay'sy o smaku ogórkowym, maski przeciwsmogowe. I gdy z głośników nagle rozlega się bardzo donośna, niezrozumiała, rzewna piosenka, wiem, że to nie

dla mnie, ale właśnie w jakiś sposób dla mnie, bo FamilyMart był do mnie co najmniej tak samo przywiązany, jak ja do niego. Wykończona jestem już tymi ciągnącymi się od tygodnia rozstaniami, łzawymi pożegnaniami z wymianą danych teleadresowych i nierozsądnymi zapewnieniami, że jeszcze się przecież spotkamy, choć przecież nigdy już się nie spotkamy… Patrzeniem, jak ta sztucznie skonstruowana z zaskakujących elementów i postaci, abstrakcyjna, międzynarodowa rodzina rozpada się… Vany wożą na lotnisko kolejne osoby, kolejne samoloty odlatują na inne krańce świata, wrzynając się w niebo śladami, które już pewnie jacyś ludzie pokazują sobie jako chemtraile. Szanghaj jest jeszcze piękniejszy, jeszcze ostentacyjniej mami, pachnie rozkrawanymi na ulicznych wózkach pomelo, łyska z platanów kolorowymi lampkami, łopocze pidżamami rozwieszonymi na sznurach.

Dużo splątanych uczuć i potworne zmęczenie, kładę się do łóżka nad ranem; wiedząc, że i tak już nie ma sensu zasypiać, robię *check-in*, modląc się do Boga Udanych, a Przynajmniej Niekoszmarnych Długich Podróży Transkontynentalnych, aby nie wszystkie miejsca w moim rzędzie były zajęte. I ostatecznie, gdy półprzytomna wchodzę do samolotu, los zdaje się do mnie uśmiechać. Obstawiony przeze mnie rząd siedzeń jest pusty. Na skraju siedzi wyłącznie skromna, nierozpustna Chinka w średnim wieku. Dwa puste miejsca pomiędzy nami to dla mnie coś wspaniałego. Wizja komfortowej, beztroskiej podróży, stateczna kobieta jest wymarzoną jej współtowarzyszką. Niby nic, ale jednak to szesnaście godzin, które lepiej spędzić w towarzystwie Olive Kitteridge niż Charlesa Mansona. Albo Harveya Weinsteina. Widziałam oczami wyobraźni, jak sprawiedliwie dzielimy się wolnym miejscem, jak rozentuzjazmowane sprawną kooperacją ponad oczywistymi kulturowymi różnicami osiągamy międzykobiece porozumienie poza banalnym wynalazkiem języka, komunikując się spojrzeniami, dłońmi, stopami lub tą specyficzną ciszą; ciszą, którą można wyrazić wszystko, co trzeba, wszystko, co ważne…

Ona nagle, sama zdziwiona swoją szczerością, opowiada mi milcząco o rozwodzie z nieudacznym mężem. Wystarczy jeden gest, by domyśliła się prawdy o wykańczających mnie, nawracających uporczywie aftach.

W jej lekko zaszklonych oczach widzę pogrzeb niedawno zmarłej na raka jajnika bratowej. Mnie odbija się kimchi. Ona zdejmuje buty i wymowną mimiką poleca mi najnowszy krem BB – względnie tani i bardzo skurczybyk trwały. Ja pokazuję jej, jak robić dobierańca. Ćwiczymy na sobie nawzajem dobierańca – gdy kolejny raz jej nie wychodzi, zarzuca mi ręce na szyję dziecinnym gestem bezradności i śmieje się w mój spocony kark. Wreszcie urządzamy bitwę na niczyje, wciąż ofoliowane poduszki. Potem zmęczone kładziemy się na wolnych miejscach na łyżeczkę, przykrywając wszystkimi kocykami. Wolne słuchawki dzielimy między sobą na prezenty dla bliskich. Ona daje mi swoją bułeczkę, ja odstępuję jej swoją porcję winegretu i masełko. Wreszcie, gdy nadchodzi chwila nieuchronnego rozstania, wiemy, że jest ono wpisane w naszą przyjaźń, ale ulotność tylko potęguje jeszcze siłę tego niezwykłego doświadczenia. Już nigdy więcej się nie spotkamy, ale momenty spontanicznej, zaskakującej, pozawerbalnej synergii są warte więcej niż niejedna rozmowa, a może nawet kolejna upadlająca wigilia z bliskimi, na której nic się nie zgadza, a barszczyk i uszka są jedynie przykrywką dla wzajemnych uraz, żali i tajonej pogardy dla przejawianego stylu życia i modelu konsumpcji. Więc łatwo można sobie wyobrazić, co czułam, gdy ociężałym krokiem, powoli, obracając wszystkie te plany w perzynę, pojawili się w naszym rzędzie dwaj około czterdziestoletni mężczyźni.

Zeskanowawszy nas kilkoma krótkimi, suchymi spojrzeniami (atrakcyjność fizyczna, narodowość, status społeczny) (w skrócie: czy będzie można zachowywać się swobodnie) (czyli pić), zawiśli nad nami wśród donośnych sapań, w których nawet osoba głucha rozpozna syndromy przedwczesnej choroby wieńcowej.

– Czemu zawsze muszę siedzieć obok takiego paszkwila? – rozżala się wreszcie jeden, siadając obok, a właściwie ze względu na swoje gabaryty nieco NA Chince.

– Bo tak to już jest – tłumaczy mu filozoficznie drugi, moszcząc się koło mnie i śmiejąc się, radując się tym wstępnym, testowym chamstwem.

Głupie obcokrajowce – ani słowa po polsku! Cieszą starych chłopców czar niewidzialności, chwila luzu i wytchnienia: a nie zesrajcie się z tym

ciągłym bułkę przez bibułkę! Rozkoszują się intymnym kloszem bariery językowej, która umożliwi swobodną wymianę szczerych myśli. I pod którym zostaję również zatrzaśnięta, przypadkowo uznana za nie-Polkę, ja. Nie wiem, co mnie podkusiło, by nie wyprowadzać ich z błędu: oszołomienie? Zmęczenie, inercja? A może ta durna ciekawość, która, wiem to, jest pierwszym stopniem do piekła, ale myślę jak zawsze: tylko jeden stopień, a zejdę, a zerknę, a ile to roboty? Tymczasem ledwie stanę, a trap już się zwija, łódź gwałtownie odrywa od lądu, unosząc mnie ze sobą wraz z dwoma mężczyznami rasy polskiej biznesowej.

Niby rasy, a jednak też nie rasy. Rasy, ale jakby z nielegalnej, niecertyfikowanej hodowli. Zerkam dyskretnie, by sprawdzić, kto wprowadza do samolotu tak surowe normy estetyczne, kto jest tak świadomy swojego prawa do siedzenia obok osób ładnych. Cóż – i tu sytuacja paradoksalna, choć wcale nie rzadka. Bywa i tak, że najsurowsi krytycy literaccy sami piszą okropne książki, a wybitni komentatorzy piłki nożnej stracili obie nogi w wypadku. Bywa, że genialnym profesorom fortepianu słoń na ucho nadepnął, a bezwzględni przy spowiadaniu duszpasterze wymyślający najokrutniejsze pokuty (tysiąc razy *Zdrowaś, Maryjo*, dwa tysiące razy *Ojcze nasz*, pięć tysięcy razy *Pod Twoją obronę* i dziesięć tysięcy złotych na fundację Dajemy Księdzom Siłę) sami mają niejedno za uszami, natomiast ich partnerzy nie są w łatwej sytuacji, musząc zdążyć i z lekcjami, i ze szkołą, i z nauką, i z zabawą, i z pożyciem seksualnym. Bywa, że wybitni znawcy i apologeci seksu sami nigdy go nie uprawiają; bywa, że lekarze powinni leczyć się sami, szewcy zaś chodzą bez butów.

Tak jest i tutaj. Mężczyźni nie wyglądają za dobrze. To znaczy może mogliby wyglądać dobrze, jednak musieliby w takim wypadku wyglądać zupełnie inaczej, o wiele, wiele, wiele lepiej. Sierść na tyłospłaszczonych czaszkach jest przerzedzona, potarmoszona i poodginana w strategicznych miejscach, twarze zaś obrzmiałe od alkoholu i tryskające wszystkim, tylko nie zdrowiem. Mimo pewnych atrybutów statusu (walizeczki, niedyskretnie markowe okulary) (odzież z TK Maxxa, wieszak jednocześnie „NAJLEPSZE MARKI" i „Ostatnia przecena do 80%") odnosi się wrażenie jakiegoś przebrania, kostiumu: ni to biznesmen, ni to strój halloweenowy „biznesmen". Zdaje się, że

wymagając tak wiele od napotykanych w przestrzeni publicznej kobiet, kwestię własnej urody traktują jak ukochanego, ale rozwydrzonego jedynaka: pobłażliwie, niedbale, nie czepiając się drobnostek i przymykając oko na trudności, które często „przechodzą same z wiekiem". Płyniemy, dalibóg, płyniemy razem ku ojczyźnie. Morze zaś pełne jest whisky, whisky i pobieranego od stewardes na zapas i na przepitkę chardonnay.

Wtedy myślę o Szanghaju, o tych cudownych dwóch miesiącach zanurzenia w bardzo głośnej ciszy. Choć wokół krzyczano, bekano, siorbano i kłócono się napastliwie, choć jak to wśród ludzi zdarzały się awantury i scysje, wybuchy złośliwego śmiechu, nienawistne wrzaski i tępe nawoływania, choć śpiewano i ryczano, a odgłos głośnego ściągania flegmy z każdego zakamarka czaszki… ba, może nawet czaszek innych ludzi, czaszek przodków, odgłos, który zawsze zwieńczony jest błotnistym plaśnięciem wydzielin o chodnik… obmywały mnie jak huk oceanu. Stopniowo doceniłam tę deprywację, fakt, że nic mnie nie dotyczy, jakbym znowu była dzieckiem na tylnym siedzeniu samochodu, w którym dorośli kłócą się o kredyty i o to, u kogo spędzić święta… Teraz, zdetoksowana i bezbronna, chłonę język ojczysty jak wyschnięta gąbka. Nieustający, inkrustowany beknięciami strumień niepotrzebnych informacji ni to wprawia mnie w półsen, ni to bezustannie z niego budzi. Dzięki temu mogę zobaczyć współpasażerów w nieco szerszej perspektywie niż tylko przez pryzmat niekorzystnej fizys. Jak mylne, naskórkowe nierzadko jest tak zwane pierwsze wrażenie, książka zaś, którą oceniliśmy po okładce, może się okazać pełna nieinteresującej i przykrej, może nawet odrażającej, a jednak treści. Treści, treści, treści.

Albowiem i ci mężczyźni mają horyzonty, mają plany („Stary, wypożyczyć samochód i Floryda. Półwysep Florydzki"), znajomości wśród prominentów (konieczna operacja przegrody, na szczęście ekspartnerka jest ordynatorem w Mławie), wspominane już surowe normy estetyczne („Była strasznie się duża zrobiła, strasznie. Wrzuciła teraz jakieś zdjęcia na Feju, to bardzo duża") oraz moralne („Do młodego do klasy chodzi normalnie pedał"), („Byłem do szkoły

wezwany, że zmacał. Pytam, czy zmacał, on mówi, że co, jak wszyscy macali. No to pytam: zmacałeś czy nie zmacałeś? No zmacałem, mówi").

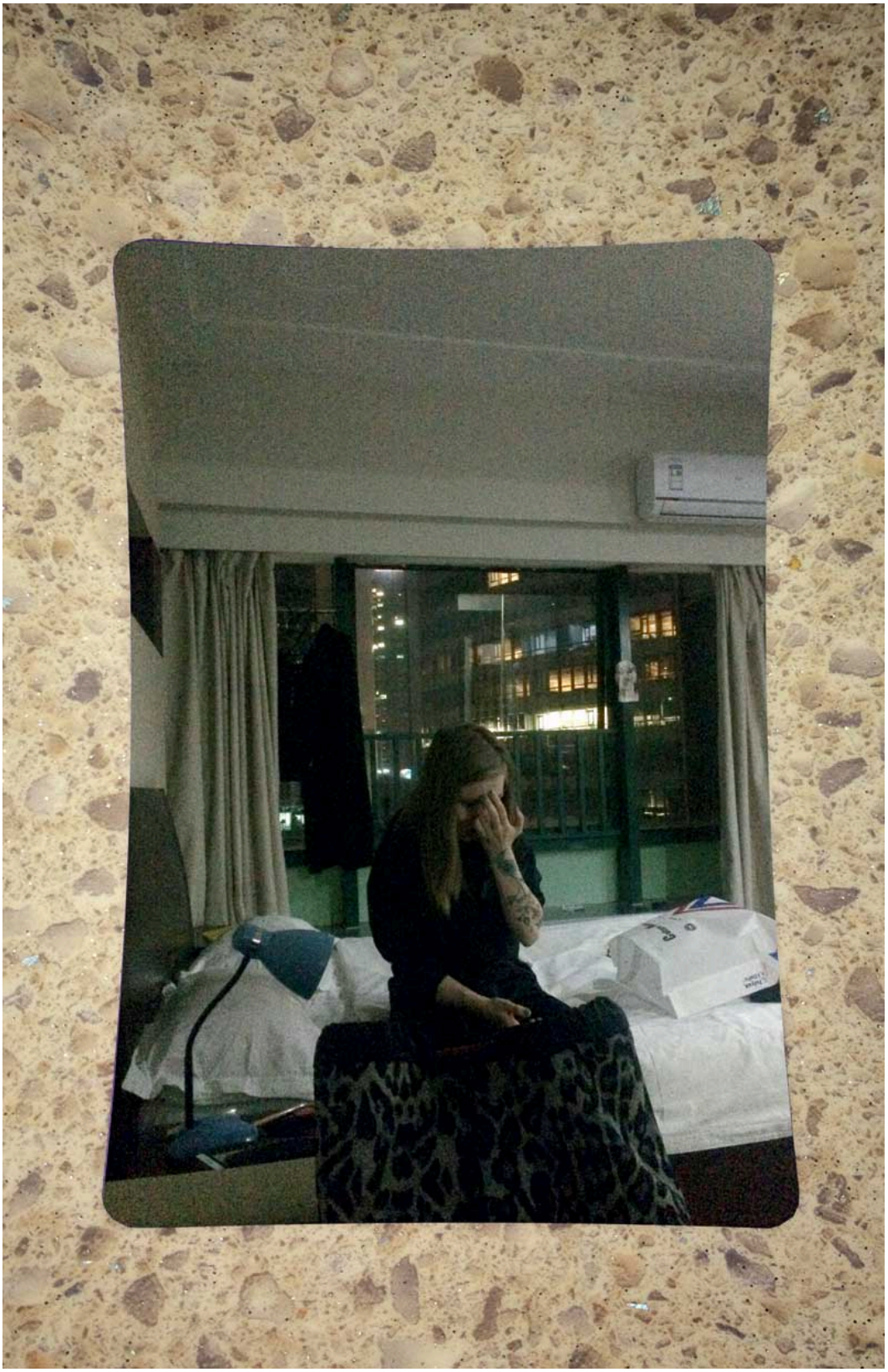

Gadać można bez końca, zwłaszcza jeśli nie przepuszcza się żadnego przejazdu stewardesy z napojami, ale z tego samego powodu szybko też pojawia się problem wyjścia do toalety. Otwieram oczy. „Weź, kurwa, uważaj, bo ma minę taką, że ci zaraz jebnie" – słyszę, gdy mężczyzna przepycha się nade mną do klozetu.

Rozmyśliłam się, nie będę dalej opowiadać tej historii. Powiem tylko, że skończyła się w jedyny możliwy sposób: źle. Jednak gwałtowna dekonspiracja, której koniec końców musiałam w samoobronie dokonać, miała swoje pozytywy. Zobaczyłam w przekrwionych oczach rodaków przerażenie i wstyd nagły, otchłanny, po bokach ozdobiony mało subtelnymi napisami „Gucci" i „Calvin Klein", paraliżujący czynności umysłu i ciała (już od jakiegoś czasu i tak nieczynne). Straszny, głęboko ludzki, organiczny wstyd, który prawdopodobnie był w rzeczywistości mieszanką alkoholowej dezorientacji, szoku, samoupodlenia i wywołanej przez nie wściekłości, a który jedynie w pisarskiej egzaltacji efektownie tu przeinterpretowuję, aby mieć puentę. Ale to paradoksalnie podniosło mnie na duchu, utwierdziło mnie w wierze w ludzi.

Ludzi, którzy w głębi serca wcale nie chcą być potworni, tylko po prostu tacy są i nic nie mogą ani nie chcą na to poradzić.

Problemy

Od początku roku miałam problemy. Wielu z nas ostatnio je ma. Ale ja mogę powiedzieć, że byłam w awangardzie. Byłam tu trendsetterką, prekursorką. Miałam je, zanim *before it was cool*. Nie to, żebym chciała od razu robić o tym instastory. Chociaż właściwie może to kolejne moje bezproduktywne uprzedzenie. Współczesność oferuje tak wiele praktycznych narzędzi do kreatywnego samoobnażania. Tyle razy patrzyłam z mieszaniną politowania i ekscytacji na tych różnych celebrytów przehandlowujących ochoczo na instagramach swoje nieciekawe życie aż do ostatniej cytologii i USG, a moje zęby jadowe świeciły w ciemnościach pokoju. A może w tym szaleństwie jest metoda. Metoda, której po prostu nie znam. Może niepotrzebnie się na to zamykam, wyniośle ograniczając się do anachronicznego cierpienia w swoich czterech ścianach. Może to jest jak ściągnięcie *in front of everyone* wrzynających się od miesięcy w ciało majtek stabilizujących; są w tym gniew, bunt, szał, emancypacja, euforia wyzwolenia, wreszcie ulga, ulga stanięcia w prawdzie.

Albo i nic takiego tam nie ma. Są odsłony, kontrakty reklamowe i miliony monet. Ale potrafię sobie wyobrazić, że i jakieś bardziej niejasne, metaforyczne, niematerialne profity. Deprywatyzując swoją prywatność, podając ją do konsumpcji i oceny znajomym i nieznajomym, bliskim i obcym, doświadcza się na pewno jakiegoś… cóż, nie wiem, jak to wyrazić. Międzyludzkiego zanurzenia? Bliskości? Społecznego ciepła? Nawet jeśli jest ono toksyczne, upadlające, wstrętne i niebezpieczne jak powietrze w kiblu na Orlenie, w którym zacięła się i spłuczka, i suszarka do rąk. Niepodważalnym powetowaniem za publiczną ekspozycję i pewną idącą za tym bezbronność jest ludzka atencja. Kontrolne przejrzenie się w odsłonach i łapkach w górę, możliwość przewalutowania ich na poczucie własnej ważności, przyjemność i satysfakcja z bycia sobą… Wreszcie – wartość nie do przecenienia: feedback od internautów. Mogę sobie wyobrazić, że

w momentach kryzysu jest coś sympatycznego. „3maj się cieplutko!" „Nic się nie martw, na pewno wszystko się ułoży. Duuużo zdrówka dla ciebie i córy!" „Ta grafomanka? Pilch ją wylansował, niestety już nic nie napisała". „W takim wypadku robię sobie taką oto herbatkę: melisa, dwie łyżki mięty i łyżka miodu albo coś mocniejszego". „WALE WŁAŚNIE KONIA MI ZAWSZE POMAGA pozdrawiam". „Kto to w ogóle jest? Nic nie słyszałem o tej pani, jakaś kolejna celebrytka wypromowana na niczym, niestety w Kaczorlandzie mentalność niewolnicza, zapraszam na mojego bloga, www.militarnepolary.pl".

No i co z tego? To wszystko nie ma już w pewnym momencie znaczenia. Problemy wymuszają przewartościowania, relatywizują, zobojętniają. Zwłaszcza takie duże, nierozwiązywalne w warunkach chałupniczych, takie, na które nie działa ani witamina C, ani Problemer Forte, ani Problemin Fast, ani nawet PROBLEMAX MAX Zatoki – zdawałoby się, taki mocny. Problemy, które wymuszają konieczność zwrócenia się o pomoc do SYSTEMU, jakkolwiek by był niewydolny. Więc wyobraźcie sobie, jak stoję w izbie przyjęć (estymowany czas oczekiwania: cztery i pół godziny) i recepcjonistka krzyczy do mnie przez szybę, a ja jej odkrzykuję. Nazwisko? MASŁOWSKA! Imię? DOROTA! Nie słyszę! Jeszcze raz nazwisko? MASŁOWSKA. MASŁOWSKA? MASŁOWSKA! Jak masło? TAK! Dorota? TAK! Jak Dorota? TAK! PESEL? Tu wywrzaskuję swój PESEL. Adres? Jak się domyślacie, tu wywrzaskuję adres. NIE SŁYSZĘ! Wrzeszczę ponownie swój adres wraz z kodem pocztowym, wrzeszczę datę urodzenia, wrzeszczę imię matki i wszystkie moje dane, te niewrażliwe, wrażliwe i te bardzo wrażliwe echem odbijają się od ścian pomalowanych mdłym duluxem w odcieniu „żółć wariacka", podczas gdy recepcjonistka dwoma palcami wprowadza je do systemu, do wielkiego rejestru problemów i nieszczęść ludzkich, gdzie tkwić będą na wieczność, aż po miliardach lat odnajdą je może i wystawią w Muzeum Ludzi i Dawnej Ziemi jakieś światłe bakterie…

Potrafię czasem pomyśleć, że w takich chwilach jest jakaś wolność. Chyba taka, jak kiedy bardzo długo boisz się czegoś najgorszego i to coś się dzieje, i jest, i nie możesz już nic zrobić, możesz wreszcie odpocząć, rozpiąć się. Nie jest to wolność wymarzona, ale jest to wolność. Aż chce

się krzyczeć. Jak na rollercoasterze. Tak się czułam, kiedy musiałam wielokrotnie obszernie opowiedzieć o swoich problemach systemowi, wiele razy otworzyć się przed obcymi, niebudzącymi do końca mojego zaufania, czasem pierwszy raz widzianymi osobami, w pomieszczeniach, w których często siedzą jeszcze inne obce, pierwszy raz widziane osoby. Mówiąc o różnych, jak się niegdyś wydawało, prywatnych rzeczach, widziałam z bliska plecy, kawy, herbaty, humorystyczne kubki z długopisami i otwarte excele. Moja opowieść nabierała w tym ujęciu jakiejś fantastycznej, wyzwalającej, ale i zniewalającej niedorzeczności. Moimi wyznaniami spisanymi przez osoby nielubujące się w stylu (a jedynie od czasu do czasu, przy jakiejś bardziej skomplikowanej metaforze, podnoszące na mnie wzrok ze zdegustowanym: że *whaaaat*?) można by zapełnić trzy listy dialogowe *Trudnych spraw*. Piszę to z pełną odpowiedzialnością, mierząc to wszystko w oficjalnym przeliczniku osobistych perturbacji na seriale paradokumentalne. W dniach wybuchu pandemii problematyczność mojego życia wynosiła trzy *Trudne sprawy*, dwie *Ukryte prawdy* i jeden *Szpital*.

Zdawałoby się, że jak przydarzają się takie rzeczy, to też zostają po temu stworzone pewne zgodne z dyrektywami unijnymi warunki. Że los wynajmuje dla człowieka komfortowe, ciche studio, by mógł sobie spokojnie się tam wić z niepokoju i chodzić po ścianach. Zapewnia na tę okoliczność udogodnienia, benefity, posiłek regeneracyjny w opcji wege i przede wszystkim karnet MultiSport. Zobowiązania zawodowe rozpływają się w powietrzu, domem zajmują się specjalnie oddelegowani pracownicy socjalni, kot niechętnie, bo niechętnie, ale sam zaczyna sprzątać kuwetę, a pies też rozumie wyjątkowość sytuacji, bierze smycz, worki i się wyprowadza na spacer. Ku memu najwyższemu zdumieniu nic takiego nie nastąpiło. Bilety były kupione, kości rzucone. Teksty musiały zostać oddane w terminie, zakontraktowane spotkania się odbyć. W związku z tym w szczycie problemów leciałam do Stanów.

Wtedy się jeszcze latało. Bez masek, bez rękawiczek, normalnie wszystko robiąc, siadając na fotelach i wodząc palcami po ekranach przedstawiających rozmaitość filmów i seriali, pokrytych sutą warstwą drobnoustrojów z całego świata… Celowo tu tak nerwicowo, kompulsywnie żartuję. Było to jednak bardzo trudne doświadczenie. Jeśli chcieliście zacytować jedną z tych zdroworozsądkowych, uniwersalnych, staropolskich prawd: „No i bardzo dobrze, że poleciałaś – co z oczu, to i z serca" albo „Dupa w troki, kłopoty z głowy" czy coś takiego, to nie, stanowczo nie tak to działa. Pozbawiona resztek (iluzji) sprawczości i kontroli nad sytuacją jeszcze bardziej frikowałam. Odbywszy trzy wykłady i dwa spotkania autorskie na czterech uniwersytetach w osiem dni, dorobiłam się zakwasów ryja od neutralnych, a przynajmniej nieoficjalnie zrozpaczonych min. Od mówienia bardzo wiele, choć wszystko, co miałam do powiedzenia, to nic.

Codziennie czytałam w hotelu gazety, z których dochodziły dramatyczne wieści o (jeszcze wtedy) chińskiej (jeszcze wtedy)

epidemii. Ale gdy wracałam przez Monachium, zobaczyłam, że zdumiewająco dużo osób nosi maski. Po przylocie samolot długo stał na Okęciu i trzeba było wypełnić ankietę z ministerstwa, co i jak, numery, obok kogo się siedziało i tym podobne. Wypełniłam wszystko bez problemu, wykonałam zadanie na szóstkę i poirytowana czekałam na wyjście, patrząc, jak reszta tych spowolnionych matołów, melepet, które chyba mają oceany wolnego czasu i nie muszą prosto z lotniska jechać do szpitala, obgryza długopisy do wkładu nad prostymi pytaniami. WYŁAAAZIĆ!! KONIEC CZASU, oddawać kartki!!! – ryczałam w duchu, napierając ciałem astralnym na stojące przede mną w przejściu osoby, a właściwie osoby, NA których stałam, tak się wtedy jeszcze stało. Dziś wydaje mi się, że mój mózg dyskretnie obliczył, że mając tak obiektywnie straszne problemy jak ja, STATYSTYCZNIE nie da się już niczym zarazić. Zresztą powiem wprost: nie obchodziło mnie to. W tamtym momencie szczerze nienawidziłam życia. To znaczy ciągle je kochałam, ale mniej, bardzo mało, nieszczerze i tylko dla wspólnych selfie i pieniędzy. Miałam parę dni na pranie i przepakowanie walizki i zaraz zaczynałam trasę po Niemczech. Potem dalsze wyjazdy. Więc wiecie co? Jak Rademenes spytał, czy chcę, żeby spełnił jakieś moje życzenie, powiedziałam, że już się tak nie da. I żeby stało się cokolwiek, COKOLWIEK, co by zatrzymało ten wir, ten pojebany młyn i krzyż. On zaś powiedział: „Hathor, Hathor, Hathor" i już parę dni później zaczęto wszystko odwoływać.

Na początku bez przekonania, potem lawinowo. Jak zobaczyłam, co się dzieje, trochę zrzedła mi mina. Zrzedła, ale i zgęstniała. Rozmach realizacyjny mojego marzenia trochę mnie przerósł. Choć nie powiem, cieszyłam się. Panicznie bałam się zdemaskowania, ale w sercu wstydliwie skakałam pod sufit, to była radość nieprywatna, to była radość cywilizacyjna. Wreszcie coś zatrzymało ten porąbany świat! Tę wielką kasę fiskalną! Cholera, tak. Przepraszam, ale aż huczało mi w uszach z żenującego podniecenia, że wreszcie to wszystko się zesrało. Bo szczerze? W końcu musiało. A że z naszej ulicy coraz częściej dobiegają syreny karetek, do tego i tak byliśmy już po części przyzwyczajeni. Potem zaś zobaczyłam w Rossmannie, że półka

z mydłami jest pusta. W Rossmannie! W tej krainie mydłem i powidłem płynącej. Żel do kibla kupiłam ostatni. Nie było też proszku do prania. W aptece dość niezdarnie zaimprowizowane zasłony ze stretchu, od razu widać, że jak na ZPT były „ekrany przeciwwirusowe", to ich wykonawcy akurat poszli do łazienki zmoczyć gąbkę i długo ją moczyli.

Wokół wszędzie przemyka ktoś z papierem toaletowym. Stoimy przed Lidlem, patrzymy na wielki baner, na którym z Lidlem oszczędzają Jan Matejko i Mieszko I. I oni połasili się na łatwą kasę z reklamy, Dobrawa chce dobudować na wiosnę nowe skrzydło zamku, chce posadzić tuje, chce kupić nowe trony, bo te są powycierane i wyplamione, wyświnione, a skąd na to wszystko brać? Matejko też cienko przędzie, nieżycie kosztuje. Gdzie wersja z Markiem Edelmanem i księdzem Tischnerem? Byłeś zbyt popierdolony, świecie, pal się, żegnam cię bez żalu. Obok nas typ upychający do seicento dziesięć albo piętnaście paczek wiadomego papieru… Albo jest intendentem hotelu Gołębiewski, albo chce mieć już do końca życia spokój z tym ciągłym lataniem do sklepu… Patrzymy z S. po sobie niby sarkastycznie, ale coraz bardziej niepewnie. Nikt nie chce pierwszy powiedzieć, że może też powinniśmy zrobić jakieś większe zapasy.

To były najbardziej fascynujące zakupy spożywcze mojego życia. Przyznam: dotychczas tego nienawidziłam. Teraz jednak dobitnie czułam ich fizykę, czułam ich metafizykę. Nie wiadomo było, jakie jest to, co właśnie robimy: zupełnie racjonalne? kompletnie irracjonalne? jedno i drugie? Na środku Lidla przez nasze ciała przemawia historia, uruchamiają się transgeneracyjne zapisy i zalecenia, przemawiają do nas ze skrętów DNA babcie i prababcie, krzyczą przez czasoprzestrzeń, zagrabiając naszymi rękami kasze, pasze, makaron, ryż. Obok inni drżącymi, nerwowymi dłońmi napychają kosze suchą karmą. Odbijamy się w sobie nawzajem jak w lustrach weneckich. Czujemy na własnym ciele swoje uwikłanie w stado, nawet jeśli pojedynczych osobników widzimy po raz pierwszy i ostatni w życiu. Robimy zapasy, bo oni robią zapasy. Sięgamy po makaron, bo oni po niego sięgnęli, może coś wiedzą. Działa inteligencja (albo i nieinteligencja) zbiorowa. Wreszcie: objawia się w tych żałosnych staraniach, uwijaniach przy półkach nasza wielka bezradność. Bezbronność. Wielka mizeria naszej kondycji.

Straszna naiwność, jałowość tych wysiłków. Nic nie wiemy. Coś wiemy, głównie to, że możemy być okłamywani. Kupujemy, by uzyskać choć złudzenie własnej sprawczości. Kupujemy, bo chcemy działać, robić cokolwiek. Wiadomości o zagrożeniu aktualizowane są co kilka minut. Liczba zakażonych rośnie. Karetki jeżdżą, wyją. Po chodniku walają się maseczki, rękawiczki. Chcemy coś robić! Działać! Bronić się, gdzie mój pałasz? A siedzimy. *Mother tongue* zakupów to ostatni kod, w którym możemy coś wykrzyczeć. Albo szepnąć. Gromadzenie dóbr to pusty gest działania, wpływu. Coś robimy, zmieniamy. Często nic. Ale jest to wrażenie, że ogarniasz. Załatwiasz. Idziesz do przodu. Trzymasz rękę na pulsie. Kupujesz makaron i teraz możesz się zająć aktywnym, gruntownym MIENIEM go.

Co będzie z tym całym wykupionym ze sklepów żarciem? Cały internet zalany przepisami, co gotować na kwarantannie; za parę miesięcy będą potrawy ze zbyt gorączkowo poczynionych zapasów. W ogóle: gradobicie przepisów. Instruktaży, porad, tutoriali, pomysłów, sposobów na przetrwanie. Uniwersytet wszystkiego. Feeria propozycji kulturalnych. Koncerty, spektakle, „czy też poukładaj z rodziną puzzle"; po chwilowym zatrzymaniu już zaraz znowu wszystko zmierza w kierunku szerokiego wachlarza, ogromnego wyboru i wreszcie: starego, dobrego przytłaczającego nadmiaru. Walka na śmierć i życie z nudą, bezproduktywnością i ciszą. W ten sposób marnuje się bezmyślnie jedną z najcenniejszych jakości lockdownu. Dziwi mnie, że tak łatwo oddajemy swoją supercenną, superrzadką, odrażającą nudę we władanie innym. Jej niewytrzymywalność powinna być dla nas zagadką, wyzwaniem, tajemnicą. Tymczasem jest zwyczajnie wstrętna, zagrażająca. Smartfony wyrugowały nudę z naszej codzienności, ani jednej pustej chwili, telefon w łapę i znikasz. Niezogniskowana, niezarządzana uwaga mogłaby się okazać niebezpieczną, nieprzewidywalną, może nawet niszczącą siłą. Uczepiałaby się, czego popadnie, głośnego oddychania, trawienia i mrugania bliskich; zamknięci w domach ze swoją nadmiernością rzucilibyśmy się sobie zbiorowo do gardeł. Dziwaczny szmer własnego zdezorganizowanego istnienia, dziwaczny szmer nieczynnego świata, to niepokojące tak po

prostu go usłyszeć. A jednak coś mi mówi, że to jest właśnie trudny, ekscentryczny dar tego czasu.

Ten szmer mówi rzeczy, które i tak niby wiemy, podkreślam: niby, bo w rzeczywistości nie chce się nam ich wiedzieć. Świat, w którym żyjemy, jest okropny, zły, cyniczny, niesprawiedliwy, pazerny i pusty. A my wraz z nim. Zmierza ku nicości, a my wraz z nim. Gdy na chwilę wypada z kolein, jako pierwsi ofiarą padają najsłabsi, najgorzej zabezpieczeni, bezbronni, reszta próbuje trzymać równowagę z mniejszym lub większym powodzeniem, wdziękiem i lifestyle'em. To chwilowe bankructwo systemu, jego niewydolność, ma szansę zapaść w naszą pamięć, bo nie kończy się na przerażających statystykach na głównej „Wyborczej". COVID-19 nie jest abstrakcją, tylko zjawiskiem cielesnym, którego doświadczamy wszyscy, również zdrowi. Przez noszenie masek i foliowych rękawiczek w obronie przed niewidzialnym, niemal fantastycznym zagrożeniem, przez kupowanie nadmiaru papieru toaletowego i makaronu, przez fizyczny lęk o siebie i bliskich, przez brak zajęcia. Wszyscy przeżywamy pandemię przez ciało. Nasze ciała to zapamiętają, zmienią się. Ale gdy tylko wróci codzienny pęd i amok, mamy wielką szansę nawet tego nie zauważyć.

Kapitalizm, konsumpcjonizm, te wszystkożerne potwory nowotwory mają sataniczną właściwość przetwarzania w produkty i sprzedawania nam wszystkiego, nawet braku, nawet niczego. Jeśli nie będzie już nic, to będą pakować nic i wciskać nam jako Supermodne Nic do Posiadania Niczego, będzie Nic w wersji podstawowej i Nic Premium, Nic Molekularne i Nic Funkcjonalne, a Natalia Siwiec będzie pozowała z Niczym wysadzanym brylantami na Bali, trzymając je między piersiami. Najpierw będziemy się z tego podśmiewać, potem pomyślimy: a może coś w tym jest? Może to nie jest wcale takie głupie? Kupimy sobie małe Nic na próbę, „bo wszyscy mają"; nic bardzo ciekawego, takie Nic, jakie i tak już mieliśmy, ale może coś w tym jest. „Kupisz trochę Niczego?" – będę mówiła w piątek wieczorem. Na bazarach staną budki z Niczym z Niemiec, z większą zawartością Niczego w Niczym, bo wiadomo, że polskie zawsze jakieś wybrakowane, do polskiego Niczego dadzą zawsze czegoś tam mniej. Minimalistyczne

Nic ze Skandynawii – maksymalnie proste i klarowne w designie. „Kremy z Nanokomórkowym Niczym – ten ze szczególnie dużą dawką zredefiniuje cerę. Cena? Dobra!" Można tę fantazję podbijać bez końca, bo wszyscy doskonale wiemy, jak działają sztucznie rozbudzane i kreowane w nas potrzeby, jak działa wciskany nam jako „szeroki wybór" nadmiar, frustrująca nadpodaż opcji, produktów, bodźców, atrakcji, seriali i filmików. Wymuszony przez pandemię post konsumpcyjny powoduje lawinę objawień duchowych: „Po co kupowałam tyle tego Niczego? Wcale nie było mi aż takie potrzebne! Tyle dni już mija, a ja ciągle żyję. O, jak kiciuś wygrzewa się na parapecie".

W tych mindfulnessowych epifaniach objawiają się nasze szczere braki, szczere tęsknoty za „dawnym porządkiem świata". Wspólnotą, dobrymi relacjami, spokojnymi chwilami patrzenia na drzewo i robienia obiadu, nicnierobieniem bez poczucia winy i bezproduktywności. To mi mówi, że gdzieś w głębi duszy może jeszcze jesteśmy trochę normalni. Ale czekajcie, aż dorwą się do tych pochopnie wygadanych tęsknot tropiciele trendów! „Szybki obiad instant do zrobienia z rodziną – wystarczy zalać wrzątkiem", „Wspólnota – gra towarzyska dla 1 osoby", „Dzianinowe swetry do patrzenia na drzewa – przepiękne wzory", „Drzewa do patrzenia w dzianinowych swetrach na drzewa – bez uciążliwego sadzenia!" To wszystko zaleje rynek już jutro. Nie wierzę w ogólnoludzkie przebudzenie. Śmierć papieża też sprawiła, że kibice Wisły i Cracovii padli sobie w ramiona, ale wyłącznie na chwilę i z maczetami w kieszeniach.

Maska

Jest coraz nudniej. Do nudy podstawowej, nudy gotującego się w wiosennym słońcu mieszkania i rozpiżdżonych na stole puzzli tysiąc elementów z Zamkiem Książąt Habsburskich dochodzi nuda stanu wyjątkowego. Stały strumień wiadomości monotonnie złych; wciąż sensacyjnych i elektryzujących, ale w tej nadpodaży już niesensacyjnych, nieelektryzujących. Susza. Żarty schną na wiór. Rolki papieru nie cieszą jak kiedyś. „Koronawirus czy koronaświrus?" – cieszą się zwariowaną grą słów ostatni gapcie spóźnialscy. Na ciągle aktywnej pianie serwisów informacyjnych dryfuje, niby dorodna sparciała gąbka kąpielowa, twarz prezydenta. Jeszcze może tego dnia, w którym ogłoszono obowiązek zakrywania nosa i ust, poziom nieoczywistości utrzymywał się na całkiem stabilnym, przyzwoitym poziomie.

Jechałam rowerem przez wygaszoną, zombiczną Warszawę jak przez sen, każdy człowiek miał zasłoniętą twarz, każdy. W masie to mnie przechodziło nagłym dreszczem: nie sądziłam, że coś takiego jak „każdy" istnieje, że w ogóle jest jakiś zbiór, do którego należy policjant, złodziej, sprzedawczyni jarzyn, bezdomny, ja, chłopiec, operator koparki i z przekąsem gapiący się w szybę zamkniętego lombardu Ormianin. Nagle ja i moi bracia-ludzie, siostry-ludzie, moi kuzyni, wujowie-ludzie, my wszyscy w tych maskach. Obok niespiesznie, z wyniosłością osób świadomych swej śmieszności, ale z nią niepogodzonych, kroczą żandarm w niezwykle czerwonym berecie i fluorescencyjny strażnik miejski; i oni nie są winni, że wyglądają jak ściągnięte z suszarki w histerycznym pośpiechu dwie skarpetki z różnych par. To, co mnie wtedy też uderzyło, to nieporadność, daremność tych naszych stylizacji. Co za oddolność, co za nieudolność, wzruszająca prowizorka!

Jedni widać, że zamówili sobie z Zalando; wbudowane w maseczkę mikrolaboratorium cały czas monitoruje wdychane i wydychane powietrze, jest w niej też minicrossfit, bilard, licznik spalanych kalorii

i samowystarczalna szklarenka biowarzyw. Innym z kolei mama szyła tuż przed balem, nocą, przy kopcącej lampie; przekomarzały się z igłą jej prędkie, gibkie palce, gdy wykrawała maseczkę z kawałka starej firanki. Są zwykłe chirurgiki, jednorazówki; są banalne kawałki płótna w kwiatki, w paski; chustki, szaliki, maski-pyszczki kotków, cokolwiek infantylne, ale sexy (mrrrrrrau!). Fan Legii – chusta ze szczęką szkieletu. Dunin – nieskładna pajda prześcieradła. Moja córka – maseczka z koszuli, z gumkami wyciętymi z teczek, konsekwentnie pobrudzona od wewnątrz szminką. Ja – zgubiłam gdzieś swoją, więc chodzę w chińskiej przeciwsmogówce z poliuretanu. Starsi państwo z naszej klatki – maski niewidzialne, wykonane ze specjalnego włókna nieistniejącego, dzięki którym nie widać ich ani nie czuć na twarzy – i człowiek chodzi normalnie, nie dając się odurnić, skoro gorsze rzeczy już przeżył.

Był taki wieczór jeszcze na samym początku, że poszliśmy im dać maseczki ochronne, myśleliśmy, że to może będzie miłe. Oczywiście po drodze przepychaliśmy się, kopaliśmy po dupach i robiliśmy złe miny do dobrej gry, ale gdy stanęliśmy przed ich drzwiami, serca drżały nam świątobliwie jak harcerzom odbudowującym zniszczony przez wandali karmnik. Znacie ten zew. Na twarzy cyna i obojętność, a w myślach już udzielamy wywiadu do „Dobro Daily". „Uczyniliście dobro". „Chyba tak… To było kompletnie spontaniczne i wyszło trochę «mimochodem»". „Na pewno mieliście z tego jakiś wyraźny zysk?" „Wręcz przeciwnie, obiektywnie rzecz ujmując, wręcz na tym straciliśmy. Lecz to dla nas nieważne. Zrobiliśmy to w geście solidarności wobec starszych mieszkańców naszego domu, całkowicie bezinteresownie. Ale na koniec dnia nie żałujemy. Tacy po prostu jesteśmy". „Plany na przyszłość? Też dobro? Czy może teraz coś innego? Zło?" „Na razie to chyba… musimy odpocząć (*śmiech*). Butelka dobrego wina i serial na Netflixie powinny zrobić robotę. A tak serio: mamy dla was sporo niespodzianek, sprawdzajcie na naszym kanale, będziemy komunikować tam nasze dalsze akcje…" Stoimy przed drzwiami, napięcie jak w roku 1987. Głosy cichną, spłoszone naszym pukaniem. Potem długo nic. Potem ostrożne skrzypienie parkietu. Oddech przy judaszu. Potem szczęk zamków, łańcuchów, żelazne jęki sztab, odsuwanie kredensu, przekładanie worków z piaskiem, przeparkowywanie czołgów, zdejmowanie sideł i rozmontowywanie wnyków; wreszcie w szparze nieufne jak peryskop pojawia się oko. „A nie, nie, nie, my nic nie chcemy" – ucina starsza pani.

Jesteśmy zaskoczeni tak stanowczą odmową, nie mamy żadnych argumentów. „Dobro Daily" wycofuje się z patronatu, reklamodawcy rezygnują z kontraktów, Nike zabiera nam wszystkie buty i outfity z najnowszej kolekcji. „NIE CHCEMY" – powtarza ona, starannie omijając wzrokiem podejrzany dar, zapewne obawia się pętli kredytowej albo numeru „na maseczkę": mili młodzi ludzie, przekazując środki ochrony przeciwwirusowej, notorycznie przejmują mieszkania i oszczędności naiwnych staruszków. „Powiedz, że nie chcemy!" – piekli się z głębi mieszkania podsłuchujący najwyraźniej mąż. „NIE CHCEMY" – powtarza zgodnie z instrukcją nieco speszona jej

brutalnością staruszka. „I zamknij, cholera, wreszcie te drzwi!! – wrzeszczy mąż. – Zamknij drzwi!" By wyleciał z siekierą, ale nie może jej podnieść. Nieraz widuję go, jak trzymając się jedną ręką ściany, na sercu ściskając plik recept, zsuwa się ze schodów jak z oblodzonej skarpy, zacięty i przerażony, jakby zaraz miał się zwalić w przepaść, w wieczność. Ona zaś zawsze w swoich przyjemnych popelinowych trenczach, jesienią w jesionkach, zimą w zimowcach, drapie się pogodnie po schodach z torbą na kółkach, wiechciem kwiatów, gazetą, kuwetą, sałatą. Teraz stoję na brzegu ich niedoświetlonego świata, słysząc, jak zatrzaskują się na powrót sztaby, łańcuchy, zasuwy, kłódki. Czego od nich chcę, czego się tu ładuję, się nagle ich czepiam, wymachuję im przed nosem swoimi widzialnymi rękami. Czego raptem ciągnę ich na drugą stronę tęczy, namawiam, kuszę, naciskam, by pilnie zakładać tam wspólny kompostownik. Niczego nie mam prawa się domagać od mieszkańców tego cichego, kruchego, dzielnie trzymającego się królestwa, permanentnie najeżdżanego przez osoby udające krewnych, fałszywych monterów z UPC, przedstawicieli Providenta, handlarzy przecenionych o dziewięćdziesiąt pięć procent dywanów perskich, choroby, rachunki i złe wiadomości.

Zwłaszcza że dotychczas byli dla mnie niewidzialni. Nie miałam czasu na jakieś tam non stop patrzenie, zauważanie! Owszem, były jakieś sylwetki na schodach, plecy z rękami i nogami; drzwi, zza których dochodził brzęk łyżek i czytał Janusz Szydłowski. Gdy zrozumiałam, że cały czas żyli tam ludzie, co najmniej tak samo obiektywni dla siebie jak ja dla siebie, poczułam się zdziwiona. Wręcz oszukana. Oszukana przez samą siebie! Przytłoczona ilością własnych niedopatrzeń. Nieobecności, godzin nieusprawiedliwionych, braków, dziur, białych plam, gliczy. Wychodziło na to, że pod moim nosem rozgrywały się całe warstwy, całe klastery rzeczywistości, których permanentnie nie rejestrowałam. Nie dostępowały jakoś tej łaski. Płynęły nieczytelne, zamazane gdzieś w tle, jak muzyka w centrum handlowym. Spuszczałam na pasek, przewijałam niepotrzebne, nie dość efektowne, nużące fragmenty, usuwałam rzadko używane, nieobiecujące wątki i postacie, pomiń, pomiń, pomiń. Nie miałam do tego wszystkiego głowy. Ani serca.

Optymalizowałam. Niby roztargniona, ale tu nagle racjonalna, skrzętna, zaborcza, zazdrosna o swoją uwagę, pamięć, o swój supercenny czas. Ekonomiczna, racjonalna, boleśnie konsekwentna; każdy kwadrans ciasno zbudżetowany, przyjaźnie i znajomości podzielone na najbardziej niezbędne, bieżące i te zawieszone, odłożone na później. Przekładane w nieskończoność spotkania („zdzwonimy się") i książki kupione i złożone na pryzmach; „mogące zostać w każdej chwili przeczytane", czyli tak jakby prawie przeczytane. To jest akurat dobry przykład; kupowanie jako surogat realnego przeżycia. Łatwiej zamówić książkę niż ją przeczytać, a prawie nie ma różnicy. Łatwiej kupić buty do biegania niż biegać, a na pewno dużo łatwiej jest kupić młody jęczmień niż go spożywać. Nie trzeba wcale wielce żyć, ciągle się fazować, przeżywać! Dużo mojego życia to były pewne możliwości, idee, potencjały, wstępnie już gotowe, zatwierdzone do dziania, musiały się już tylko zdarzyć. Jednak do tego właśnie nie miałam głowy, na to nie miałam sił i czasu. Kto miał mój czas, skoro ja go nie miałam? Spieszyłam się i spieszyłam, optymalizowałam i kompresowałam, sprawnie przechodziłam od punktu do punktu, robiłam zakupy online podczas rozmów telefonicznych z bliskimi i sprawdzałam pocztę, oglądając film w kinie.

Jednocześnie były sprawy, na które nigdy nie było mi żal. Nigdy nie oszczędzałam na rzeczach kluczowych. Po całym dniu wszystkie wydarte rzeczywistości, fanatycznie uciułane dwudziestogroszówki były moje, tylko moje. Wydrapane pazurami, mogłam przepierdolić je, na co chciałam. Albo na co nie chciałam. Więc Eldorado. Nikt mi nie mógł zabronić. Byłam zmęczona, wykończona. Włączałam kompa i podjeżdżałam pod to Las Vegas 24 bzdur jak Daniel Martyniuk zarysowanym porsche z urwanym lusterkiem. Szalałam w tych jałowych burdelach, kasynach bzdur, kasynach śmieci. Włączałam Netflixa i nie, nic nie zamierzałam oglądać, dajcie spokój! Po prostu sprawdzałam, co MOGŁABYM obejrzeć. Tak zwany suchy browsing. „Kropla drąży skałę / trzymający w napięciu"? „Wzruszający / błyskotliwy / intelektualny"? „Zaskakująca tematyka / więzienie" czy „szumny / kontrowersyjny / walka"? Nierzadko zasypiałam, syta i ukojona samą liczbą propozycji,

ich cudownym ogromem. Nigdy nie zabraknie dla mnie fikcji!! Nigdy, nigdy! Na to nie było mi żal.

Nie żal mi też było na pudelki, na te feerie szoku i sensacji, na Wyspy Kretynów („Adrian ciągle nie wie, czy Nikola chce być z Sebastianem, czy z Patrykiem i kto dzisiejszego wieczoru zdobędzie immunitet. Dawid postanowił zbliżyć się do Violety, ale konkurencja z oponami w basenie nie poszła im dobrze, czy para wygra dzisiejszy wyścig z jajkiem? Łuki coraz bardziej zbliża się do Wery, a Mateo kręci z Ramoną"). Słowem, trzymałam rękę na pulsie. Zawsze w centrum zdarzeń. Platformy chciały wysyłać mi powiadomienia! Serwisy dopytywały mnie o zdanie. Znajomi wysyłali pliki zdjęć z wakacji w Polinezji („Wiesz co, narobiłem tu jakichś fot, sam nie wiem, co tu jest, weź mi to obejrzyj, bo mi się nie chce". „Ale pięknie!" – odpisywałam, w ogóle ich nie oglądając, ale wiecie, mnie to po prostu nie obchodziło; jakieś morze, palmy… Bez wahania podbiłam im pieczątkę, „widziane przez innych, certyfikat budzonej zazdrości", by mogli spać spokojni, że jest im fajnie, że są szczęśliwi, że żyją pełnią życia i co najważniejsze, wszyscy to widzieli, a nie tylko babcia z zaćmą). Rozmawiałam przez telefon, przeglądając gazetę i z drugiej strony słysząc familiarne klikanie, i wiedziałam, że rozmówca też optymalizuje naszą rozmowę. Bo oboje wiemy, że życie jest tylko jedno, a każda chwila tak cenna; przy odrobinie sprytu można zrobić z niej co najmniej dwie albo trzy inne chwile! Korzyści tych wszystkich zabiegów i starań były nieuchwytne, niejasne, ale z drugiej strony niepodważalne, oczywiste, tylko nie wiem jakie. Jeśli chodzi natomiast o takie bzdury jak rzeczywistość, to mogło poczekać, bez tego jeszcze nikt nie umarł.

Te długie, oniryczne w swojej powtarzalności, świstaczące się dni przywodzą mi na myśl młodość, pełną trującej małomiejskiej nudy i monotonii. Przyznaję, niewiele się wtedy działo. Tam gdzie żyłam. A może w ogóle. Rzadko coś zmieniano czy kupowano, wszelkie gwałtowniejsze ruchy budziły podejrzliwość i podlegały wnikliwej kontroli, innowacje przyjmowano niechętnie i nieufnie, a zbyt częste, bezsensowne, nie wiadomo po co wychodzenie z domu traktowane było jako malwersacja, zdrada. Senne, puste Detroit mojej młodości, którego

rytm wystukiwały krople kapiące z zepsutych kranów, bzyk przepalających się żarówek, ostatnie pierdnięcia kończącego się keczupu, jęk żelaznych huśtawek na placu zabaw, zardzewiałych huśtawek, na jakich swoje dzieci buja tylko Hannibal Lecter, dzwony kościołów i dżingle sobotniej ciężarówki Family Frost, „Kartofle!" – zdecydowanie mało sexy ryk chłopa, który przyjechał koniem pod blok. Gdzieś to jeszcze widzę w sobie: parking w słońcu, szary trabant, srebrny opel omega, polonez caro, maluch, maluch, seicento, kura, sra sznaucer sąsiadów; nic się nie dzieje i nic nie ma prawa się tu stać. Niedziania się strzegą rozparte w oknach kobiety o grubych, gąbczastych ramionach pooranych szczepieniami, kontrolujące sytuacje w bramach, na podwórzach, zapleczach, trawnikach; oczami prowadzące dzienniki wyjść, wejść, przejść, przyjazdów i odjazdów, mikro- i makroprzemieszczeń, i interakcji. Strażniczki rzadko schodzą ze swych posterunków, mają nielimitowany czas i nieskończone zasoby uwagi, patrzą i widzą, obrastając w niekontrolowaną władzę i prominencję. Ich wzrok bywa narzędziem wpływu, presji, przemocy, terroru.

Do dziś mam ciarki na myśl, co wtedy można było robić oczami, na jak olimpijskim poziomie była sztuka ulicznej obcinki. Ktoś mógł dopaść cię spojrzeniem i wodzić nim po twoim ciele od stóp do głów jak widelcem po szybie, WIDZIEĆ cię tak, że przechodzą cię dreszcze. Mógł wypatrzeć cię od stóp do głów, mógł perwersyjnie wwiercać się albo kąsać niby przypadkiem, lekko, kontrolnie, że niby ci się zdaje. Nie wiem, kiedy przeszliśmy wszyscy na wzajemną niewidzialność. Niewątpliwie smartfon jest tu pomocnym gadżetem, miejską czapką niewidką. Odsysając naszą uwagę, uwalnia nas od siebie na zawsze.

Wiecie, któregoś dnia wiatr przywiał nam pod nogi kartkę. Los stosuje czasem takie niegustowne rozwiązania. Były to czyjeś zapiski. Nerwowe, wartkie, pełne werwy pismo osoby, która umie pisać ręką. Przyznajmy, że to już rzadki, cenny rodzaj pisma. Niezwłocznie ją więc podnosimy. Podeptana i pożółkła, mogłaby być listem Sobieskiego do Marysieńki wyciągniętym z kiszki stolcowej posłańca. Po bliższym przyjrzeniu okazuje się, że jest to czyjś względnie aktualny dziennik. Piszecie dziennik? Ale nie w sensie: dziesięć rzeczy, za które jestem dziś

wdzięczny („Przyszły już ciuchy z Zalando!", „Przyszedł stepper, kurier wniósł mi na dziesiąte pod same drzwi, więc luzik, bo zepsuta winda", „Jest wynik testu, jednak nie mam HPV, uff"). Prawdziwy pamiętnik, w dodatku z zacięciem publicystycznym. Autopoprawki wprowadzone w hiperpoprawny tekst skomplikowanym systemem strzałek i numerków sugerowałyby wykształcenie wyższe dydaktyczne autorki. Styl – ukształtowany w latach siedemdziesiątych, zaklasyfikowałabym jako „przekąs inteligencki". Szlachetna nosicielka dawnych ideałów kontra skurwiały świat. Mamy tu obrazy klaustrofobicznej codzienności w akustycznym mieszkaniu – niepełnosprawne dziecko (zwane kąśliwie „dziecięciem") hałasuje, a jego matka głośno (zamiast w milczeniu) czyta mu bajki. Wyprawa do sklepu nie przynosi radości, jednak narratorka nie rezygnuje z niej, by nie dać sprzedawczyni i klientom satysfakcji, że umarła. Zasłyszane rozmowy kobiet w kolejce („o miesiączkach, ciążach, porodach i połogach") nie cieszą jej. Obrywa się też menelom, którzy „wściekają się, bo chlać się chce", a wchodząc do sklepu pojedynczo, nie mogą nic ukraść. W telewizji zaś „albo koronawirus, albo koronaświrus" – no, tu naprawdę nie pokombinowała.

Literacko to potworność. Jednak dojmująca fizyczność tej kartki zniewala mnie. Porwana przez wiatr z okna, z czyjegoś zatrzaśniętego, opresyjnego świata, napromieniowana goryczą, samotnością, niechęcią uwięzionej wśród zakurzonych tomów Iredyńskiego kodziary albo przeciwnie, żądnej krwi parweniuszy wyniosłej pisówy. Goryczą i bezradnością tak wielką, że nie da się już wytrzymać, łapie się kartkę, długopis i pisze; zrzuca na papier gniew, bezsilność, szaleństwo. Na odwrocie kserówka kursu angielskiego (Casette 1, lesson 1), ćwiczenia nigdy nieuzupełnione, porzucone w bardo nierozwiązania. Kartka frunie na chodnik, tam pokrywa się odciskami butów i psich łap; po bliższym przyjrzeniu się można dostrzec również rojące się jędrne, lubieżne korpusiki SARS-CoV-2, wirusa celebryty; obok zaś jak brzydsze i mniej popularne, ale łase na profity i zainteresowanie mediów, przyjaciółki baunsują bakterie E. coli, pospolite gronkowce, wirus grypy i jajeczka tasiemców. Dokument czasu, zdezynfekowałam i włożyłam w koszulkę, by to wszystko nie rozbiegło się po całym mieszkaniu.

#hot16challenge

Od wielu dni słysząc tę powtarzaną z lubością przez wszystkich frazę, myślałam: ludzie, przestańcie to gadać, bo ożywiacie znowu i znowu coś, co powinno leżeć sto metrów pod ziemią niebudzone, niewspominane nawet szeptem. Nie słuchali. „Ostry cień mgły" włóczono końmi po sieci i realu, co powoli skreślało kolejne osoby z mojej shortlisty, ale potem, gdy obejrzałam sobie tego (obejrzanego już ówcześnie jedenaście milionów razy) prezydenta, jak tam z tym minoderyjnym półuśmiechem rzeźbi z telefonu, to pomyślałam, że coś w tym jednak jest naprawdę hipnotyzującego. Jakieś wywrócenie rzeczywistości na nice i potrząsanie, potrząsanie; darmowe narkotyki, którymi można się wpędzić w grubą fazę drogą oglądania YouTube'a oczami. Dobrze, przyznaję, odkąd to usłyszałam, sama mam ochotę powtarzać to ciągle, raz ciepło i nisko, to znów ostro, piskliwie, despotycznie, już to dyszkantem, już to sznapsbarytonem, obracając w ustach piramidalny kasztan zrodzony przez przeciążoną głowę głowy państwa, rozkoszując się kostropatością zlepku i jego niecodzienną, podniosłą, romantyczną melodyką.

Do tego ten bit, jakby zrobiony przez Cormaca McCarthy'ego. Kojarzy mi się to z błyszczącą stroboskopowo w latach dwutysięcznych gwiazdą Syntetica, którego koncerty obracały się w czarne msze lingwistycznego chaosu, nabożeństwa ku czci antysensu, gdzie tajemnicze, niedorzeczne, śląskie frazy skandowane były zbiorowo przez wtajemniczonych w religijnej ekstazie. Potem celebrowanie skorup rozpiżdżonej przez Człowieka Widmo polszczyzny stopniowo przechwycili studenci, jego kościół gwałtownie się rozhermetyzował, a wyznawcy rozpierzchli lub zestarzeli. W obrabianej przez wszystkich „walce z ostrym cieniem mgły" widzę jednak ten sam subwersywny potencjał nonsensu, tę samą zbiorową szajbę, z jaką publiczność na koncertach Syntetica wywrzaskiwała: „Gdzie jesteś, stara babo? Tu jestem, a kokko!" i „Pal się człowieku, paaaal się!", cały czas oglądając

się, czy nie przyjdzie zaraz policja sensu i wszystkich nie spisze. „Ostry cień mgły" to podobne zjawisko. Przynosi chwilową ulgę i rozkosz zbiorowe demolowanie i plądrowanie porządku języka i wraz z nim – symbolicznie – rzeczywistości, na którą nie można nic poradzić. Coś jak performatywny mem.

Kocham memy; gdyby memy powiedziały: „Wyjdź za nas za mąż", nie wahałabym się ani chwili, oczywiście nie za wszystkie, ale za „Żodyn nie wie, żech jest psym" i „Siemaneczko, sakralne świry" na pewno. Jednak nie sposób nie dostrzec ich niebezpieczeństwa: w mgnieniu oka zamieniają one rzeczy potworne w rzeczy potwornie śmieszne. Ich zaletą jest to, że odbierają okropieństwu jego grozę, wadą zaś, że odbierają mu jego grozę. Jest niepodważalna groza w prezydencie kraju deklamującym kocopoły godne pióra Syntetica, przy czym ten drugi jawi się tu jako świadomy swej kreacji, wyemancypowany artysta. A pierwszy nie. (Zaznaczam, że niepokoić się już należało, gdy Andrzej Duda założył TikToka, by przemówić do młodzieży: wskakiwał w kadr z porozumiewawczą miną wujcia-wariatuńcia i zdaniem: „Wiem, że teraz CIĘŻKO SIĘ UCZYCIE!" zdradzał, że sam uczył się niecięższko).

(Swoją drogą, tak naprawdę po ludzku marzę: założyć okulary superświadomości, przejrzeć warstwy minionych dni, ściany budynków, kości czaszek i zobaczyć rzeczywistą genezę „cienia mgły". Chciałabym nominować wszystkich polskich pisarzy i filmowców do zaspekulowania na ten temat. Chciałabym zobaczyć tę naradę PR-ową, tych rwących włosy z łysych głów doradców, spanikowanych ghostwriterów smażących prezydentowi szesnastkę, negocjujących każdą kolejną linijkę, zastanawiających się, czy ubierać mu czapeczkę daszkiem do tyłu, czy lepiej tak po prostu – elegancki casual – świeża koszula, podwinięte rękawy).

(Albo jego samego, przy biurku gryzącego długopis w napadzie podłego *writer's block*. Dzwoni do Kornhauserów – nikt nie odbiera, może są na działce. Na stole podręczniki: *Rapujący polityk – bez tabu i wstydu, Rapowanie w 3 dni – podręcznik z płytą*; ściągnięty z Amazona za niedorzeczne pieniądze, a potem nawet nieotwarty *Right Wing Hip-Hop for Rookies* już zawsze będzie plątał się po biblioteczce jak wyrzut sumienia).

(Albo inaczej: zadymione mieszkanie niegdyś obiecującego, dziś upadłego rapera. Przyjeżdżają agenci specjalni przebrani dla niepoznaki w bluzy Prosto i zlecają mu napisać zwrotkę NA WCZORAJ. Dają do zrozumienia, że wiedzą o niechlubnej doniczce w suszarni kamienicy i płaconych nieregularnie alimentach. Zaszantażowany skręca gibona, otwiera warkę strong i zasiada do pracy. Ku własnemu zdziwieniu po dziesięciu minutach jest gotowy).

(Po namyśle stwierdzam, że nominuję wszystkich oprócz Patryka Vegi).

Nie trzeba oczywiście być zbyt surowym: to wszystko przecież w służbie służbie zdrowia. Ta jednak, jak to bywa w kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba, w międzyczasie zdążyła zostać obiektem hejtu, szykan i spontanicznych sąsiedzkich linczów; do szesnastek przeniknął zaś bardzo szybko cały mentalny syf spod znaku Wuhan400 i 5G. Strasznie się rozmigdaliliśmy nad swoim dobrem, ale czy w hot@16 chodziło o nie choć przez chwilę? Nie podważam serdecznych pobudek wielu uczestników, ale myślę, że kompletnie nie. Niewątpliwie jednak o coś chodziło. Coś wydarzyło się tu ciekawego. Coś tu się ostro odjaniepawliło! Mówiąc o okropieństwie ogólnonarodowego rapowania, nie można pomijać w nim tej niepowtarzalnej jakości, jaką jest zbiorowy odpał. Narodowy taniec świętego Wita. Pandemia nadaje wszystkiemu cechy pandemonium; jedyną wystarczająco plastyczną perspektywą zdaje się perspektywa psychodeliczna. Do powoli wychodzących z dystopijnej flauty miast i krzaczącej się obyczajowo, ekonomicznie i politycznie rzeczywistości dochodzi jeszcze TO, pospolite ruszenie rapowe.

Oprócz raperów z aktualnymi uprawnieniami, jak i tych z dawno już niepodbijaną legitymacją, udział wzięli Maryla Rodowicz, Jacek Kawalec, Tomasz Kammel i Janusz Korwin-Mikke, Urszula Dudziak, Michał Wiśniewski (oraz jego dzieci, Etiennette i Xavier), Mata, tata Maty i mata Tamy, ja, siostra Janina, lekarze, nauczyciele, Jeden Osiem L, bohaterowie seriali i postacie z reklam. Swoje szesnastki zrobiły logo produktów, instytucje i ich budynki, T-raperzy znad Wisły oraz profesor Bralczyk. Rapowa Arka Noego (w tym wypadku Solara) przez kilka

ładnych tygodni swobodnie dryfowała po czasoprzestrzeni. Ludzie wciągnęli konie, psy wciągnęły koty, koty zaprosiły dinozaury, te zaś powiedziały mamutom i roślinom kopalnym, świeżo zmarli zaprosili tych już po części zbiodegradowanych, pierwotniaki nominowały bakterie, postacie z baśni bohaterów filmowych, Jezus zaprosił Osho (nominacje zagraniczne), Szatan świętej pamięci biskupa Paetza. „Gdy już weszły do arki samiec i samica każdej istoty żywej, Jahwe zamknął za nimi drzwi". Samce i samice wchodziły jednak dalej, nie bacząc na nic, pożądając wzajemnego ciepła, tłoku, macania, chaosu, emocji i przepychanek, spragnione sensacji, detali wnętrz swoich mieszkań i widoku swej bezradności, zawstydzenia, kompromitacji, nierównej walki z obciachem, jednocześnie cały czas z najwyższą powagą przypominając sobie nawzajem, że link do zbiórki jest w opisie. Była w tym zaraźliwość, amok, szał, upust sfrustrowanej izolacją energii, nawet nie twórczej, bo często odtwórczej, może więc po prostu fizycznej? Pragnienie bycia, działania, wpływania, mówienia, wyglądania, wydawania się i bycia oglądanym, dostrzeganym i postrzeganym. Coś jakby spontaniczna narodowa terapia zajęciowa z elementami rywalizacji. I wątkiem charytatywnym (link do zbiórki jest w opisie).

Z pewnej perspektywy setki klipów są po prostu fantazyjnym sposobem przekazywania sobie nawzajem numeru konta, który w związku z tym jest już tak bardzo przekazany, że naprawdę nie musi być więcej przekazywany. Czyż nie jesteśmy więc świadkami spektakularnego klarowania się nowej odmiany postprawdy – fake-dobra? Nasza naturalna potrzeba gestów wspólnotowych, pomagania sobie nawzajem w kryzysach (których, wygląda na to, będzie tylko więcej) realizuje się tu nie poprzez konkretne działanie, ale poprzez zdalne deklarowanie go, kwieciste opowiadanie o nim, multimedialne POMAGAMY! POMAGAMY! Problemem jest to, że do jakiegoś szczególnego dobra nie dochodzi, a potrzeba zostaje spełniona. Zebrane obecnie trzy i pół miliona to kwota ogromna, ale z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że zrzucała się cała Polska, to akurat tyle, by wykupić jeden z samochodów z garażu Kuby Wojewódzkiego. I puścić go wolno, niech jedzie, frunie, tnie znaki, taranuje, powoduje wypadki!!! Niech bogaci

będą bogaci! Niech biedni będą biedni! Niech wszystko się zmieni, a poza tym będzie tak, jak było! (HIT INTERNETU, galeria zdjęć).

Gdyby wyzwaniem formalnym były jeszcze jakieś tam piosenki, fraszki, dytyramby, sonety. Ale jakoś tak wyszło, że jest nim rapowa szesnastka. To otwiera domino paradoksów, puszkę Pandory dysonansów. Hip-hop – ni to kościół, ni to gang, jak każdy gango-kościół dość mało autoironiczny, przy tym silnie zhierarchizowany, pilnie strzeże swojej hermetyczności. Obsesyjnie oziębia wizerunek, ma swoje oficjalne i oddolne straże, z orężem beki strzegące bram przed zakusami laików, indolentów, samozwańczych aspirantów, PiKejów. Na sztandarach ma autentyczność. Sama już rytmiczność tekstu opartego na rymach jest w moim postrzeganiu pewnym jej formalnym nośnikiem, połączeniem (mogącego kłamać) języka z (prawdziwym) ciałem. Jednocześnie hip-hop ma swój własny teatr: trudne do pomylenia kostiumy, gesty, figury, choreografie. Ta dziwna kombinacja prawdy prawdziwej z bardzo silną konwencją sprawia, że udawanie rapu jest usiłowaniem czasem karkołomnym, a często obscenicznym, przed czym na zawsze ostrzega nierozważnych śmiałków Pan Japa i dezodorant RAP, z zakrętką-czapeczką nałożoną daszkiem do tyłu, w której na dobre i na złe tkwi poperfumowana watka (sprawdź to!).

I tu wchodzi cała Polska, ubrana na biało. Uważam, że w tym świetle #hot16challenge dopisało samoistny appendix do *Historii polskiego szaleństwa* Miry Marcinów, zapewne nie ostatni, krótki, ale za to bardzo dobrze zadokumentowany. Niektórzy, by dodać sobie punktów rapowości, zakładają stosowne outfity i stosują sprawdzone już w Mini Playback Show gesty i techniki, czy to całkiem poważnie, czy z przekąsem; inni jadą ostentacyjnie bez rekwizytów i scenografii (strategia „będę się wygłupiać, ale nie będę się wygłupiać"), z suszarką kipiącą od staników i majtek za plecami; jeszcze inni z góry PRZEPRASZAJĄ, że nie umieją, ale to przecież dla służby zdrowia; powraca motyw „przepraszam raperów!". („Do czego to doszło, że muszę rapować – pyta retorycznie Krzysztof Pieczyński, radny miasta Katowice featuringowany przez Piotra Kupichę. – Artystyczne

kompleksy czeba dzisiaj schować. Cel jest szlachetny, jak i cała misja, rapują dziś wszyscy od Chicago po Wodzisław").

Nie można powiedzieć: są popmagicy, co przez ten małpi gaj przechodzą nawet bez zadyszki. Choć od twórczości duetu Taconafide, Dawida Podsiadły czy Natalii Szroeder jest mi jako odbiorczyni daleko, to podziwiam, jak błyskotliwie potrafią obejść wszystkie pułapki i zapadnie challenge'u, nikogo nie zawstydzić, a wielu jeszcze rozbawić i zachwycić. Trudno sprecyzować, jaki jest tu przepis na sukces: chyba doskonale wyczute popintuicją proporcje, trochę ironii, trochę autoironii, trochę braku ironii. Jednak niewielu śmiałkom udaje się wyjść z tego wszystkiego cało. Obostrzenia formalne rozszczelniły się dawno; teraz już za rap robi wszystko, od melodeklamacji, przez piosenkę poetycką i musicalową, soul, rock, hardrock i inne slip knoty, po utwór konceptualny Michała Wiśniewskiego, który ogłasza, że zaśpiewa w języku rządzących i dwie minuty wypełnia melodyjnym „bla bla".

To radosny zbiorowy gwałt na gatunku, ratunku! z udręczonego łona hotchallenge'u gramolą się kolejne mutanty, rarogi, człekozwierzoupiory. Ciekawe (choć trudne w odbiorze!) wydają mi się interpretacje starszych panów, których frustracja polityczna od razu ciągnie do kaczmarzenia i pietrzakowania, jadowitych rymowanek rodem z kultury opozycyjnej z lat osiemdziesiątych. Prężna sekcja katolicka: zakonnice nominowane przez kleryków i biskupi nominujący arcybiskupów wnoszą elementy gospelu i patosopranu mszalnego. Patotrenerki fitness i samozwańcze wokalistki w swoich szesnastkach czynią dobro autorską metodą czynienia zła („Jeszcze niedawno mówili, że rak, tylko świeci dupą, tylko na to ją stać... Mówili: nie, nie zmieni się, teraz każdy się bratać chce" – Lil Masti; „Dziewczynki mnie nie lubią, no i ja nie lubię ich. Jak masz, suko, jakiś problem, no to grzecznie wstań i wyjdź. Nie obchodzi mnie twój melanż, nawet nie chcę tam iść. Twój chłopak nie odpisuje, do mnie dzwoni, czy chcę wyjść" – Ruskie Fajki), a nieco zapomniani celebryci wykorzystają każdą okazję, by odgrzać swoje schabowe („Jestem na półmetku, dbam o rodzinę. O piękne córeczki i piękną Elizę. Chcę z nimi spełnić sen w najbliższym czasie, wybudować dom, skończyć z mistrzowskim pasem" – Trybson). Jest też

sekcja „bizaria” („Klap, klap, klap oto nadchodzi seniorski rap!” – Krzysztof Piasecki; „Jako rap – piosnka z *Żab*. Rech-rech-rech-rap!” – Grzegorz Turnau). Urzeka niesamowita, nieprzebrana rozmaitość estetyczna i formalna, jednocześnie naznaczona powtarzalnością przekazu. Wyłania się z niej dość ubogi zestaw figur covidowych: wspomniany ostry cień mgły, Jarek, tata Maty, maska (często jako podwójny symbol: pandemii, ale też zakłamania), puste ulice, frustracja izolacją, marzenie o wakacjach, oglądanie Netflixa. W miarę wysychania tego rezerwuaru challenge zaczynają coraz częściej opowiadać o innych challenge’ach. W międzyczasie zostaje zniesiony obowiązek noszenia słynnych masek; niedogodności pandemicznej rzeczywistości nieco bledną przy koszmarze, który rozpętał się równolegle w Stanach, a okropność naszych najokropniejszych polityków przy tym, co wyprawia Donald Trump, to faza nienormalnego wujka na weselu.

Tak czy siak, nienarodzeni jeszcze antropolodzy, badając kulturę pandemiczną i postpandemiczną, raczej nie sięgną do czytania prozy i koncertów papieskich z programu „Kultura w sieci”, lecz właśnie po szesnastki. To one wygenerowały właściwy folklor zarazy. A może jest w nich po prostu instynkt zbiorowego autoportretu? Wspólne selfie z narodem? Albo z pandemią? Pragnienie zaznaczenia swej przynależności do „wszyscy”? Na pewno. Ale nie znaczy to wcale, że jest to działanie jakkolwiek wspólnototwórcze. Raczej rekonstruujące istniejące hierarchie. Fajni nominowali przecież fajnych. Każdy kolejny uczestnik łącznie z wyżej podpisaną ulegał pokusie wpisania się do tej księgi pamiątkowej fajności. Jej porządku internauci pilnowali (do pewnego momentu) z aspergeryczną zaciekłością. „Słabe, że zrobiłaś kawałek bez żadnej nominacji, to jednak jakbyś WPIERDALAŁA SIĘ na CUDZĄ imprezę bez zaproszenia” – skarciła mnie (niesprawiedliwie!) pod klipem jakaś dziewczyna. Bijąca z komentarza surowość świadczyła o tym, że zabawa zabawą, ale oddolnie wykształcone challenge’owe policje nie bawią się w półśrodki. I że na tym balu to niezaproszeni pilnują innych niezaproszonych przed próbami nieuprawnionego forsowania bramki. Koniec końców niemogący doczekać się zaproszenia uczestnicy coraz częściej jednak zaczęli nominować się

sami. Po wydrenowaniu ograniczonego pandemicznego imaginarium oraz, nie ukrywajmy, zamkniętej puli rymów (maska-szesnastka, covid-vibovit, puste ulice-robię jajecznicę, ostry cień mgły-psy) zostało już niewiele do dodania i ponownie zaczęło wiać nudą, niepewnością i nicością. Wychodzi na to, że po prostu odtańczyliśmy gremialnie spektakularny taniec niemocy. Znany w kulturze polskiej pod określeniem „chocholi".

Cóż, to było trochę nieuniknione. Gdy czytacie te słowa, ogień #hot16challenge może wciąż się żarzy, się jątrzy, ale już tylko wątle i dziwnie, ma niepokojące kolory, jak to w piecu, gdzie na początku wyłącznie najprzedniejszy ekogroszek, a potem stopniowo płyta pilśniowa, stary tapczan, który łatwiej spalić, niż wywieźć do lasu, a wreszcie styropian, folia i plastikowe butelki. Jednak co zostało zarapowane, już się nie odrapuje. Ostatecznie zostanie może z nami na stałe tylko właśnie wspomniany na początku frazeologizm. Choć bowiem pozostaje logicznym rachatłukum, wszyscy instynktownie czujemy, że nic dodać, nic ująć. „Walka z ostrym cieniem mgły" perfekcyjnie przewodzi emocjonalną jakość ostatnich miesięcy: zagmatwaną niemożliwość, odrażający nonsens i naszą bzdurną niemoc.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Stanisławowi i Malinie, którzy od początku do końca wspierali mnie w pisaniu tej książki myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.

Dziękuję Maćkowi Chorążemu, który mi w tym procesie towarzyszył. Dziękuję za zawsze inspirującą obecność Małgosi i Michałowi, Oli, Marcie i Szymonowi, Magdzie, Agacie, Sylwii. A także osobom, które spotykałam na ścieżkach moich podróży, moim wspaniałym gospodarzom, przewodnikom i towarzyszom przygód intelektualnych, morskich i górskich, są to: Oskar Mármol, Benjamin Paloff, Karen Underhill, M.P. Markowski, Kasha Bittner, David Vann, Isabelle Wéry i Marcel, Noé Moralez Muñoz i Paulo Scott, Antonia Lloyd-Jones, Tomasz Ewertowski, Rui Mao i Jagna Malejka, Marcin Szurgot, Piter Pasek i Michał Bartosik, Dorota i Mariusz Pieńkosowie.

Niektóre teksty zawarte w książce były publikowane w latach 2018–2020 jako cykl felietonów pod tytułem *Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu* w magazynie o kulturze Dwutygodnik.com.

PRZYPISY

[1] M. Billig, *Banalny nacjonalizm*, przeł. M. Sekerdej, Kraków 2008.

[2] D. Miller, *Teoria zakupów*, przeł. M. Król, Kraków 2011.